

TROLLE ROBIĄ POLITYKĘ
Nasze państwo jest bezbronne
wobec manipulacji w sieci

KS. KACZKOWSKI
Tak słabość
zamienia się w siłę

WOJCIECH JAGIELSKI
O najlepszym
przywódcy na świecie

POCHWAŁA GŁUPOTY
Tylko ona może
ocalić naszą wspólnotę

Kraków 11 lutego 2018 nr 7 (3579)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

PAWEŁ ŚPIEWAK

Polacy-Żydzi suma bólu

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO



REKLAMA

Nagroda Literacka – za najlepszą książkę roku – przyznawana jest twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku.

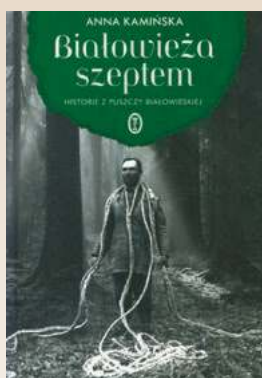
Nagroda przyznawana jest autorom najlepszych książek, spośród wszystkich gatunków literackich. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania i publikacje naukowe.

Nagroda przyznawana jest za książki wydane pomiędzy 1 stycznia a 31 grudnia roku kalendarzowego poprzedzającego rok przyznania nagrody, także w formie elektronicznej (e-booka).

Nagroda jest przyznawana od 1991 roku.

Laureata bądź laureatów Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego poznamy 23 marca 2018 r.

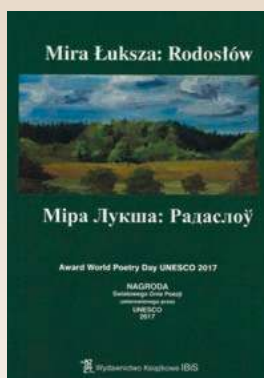
Książki nominowane do nagrody za 2017 rok, spośród 29 zgłoszonych tytułów



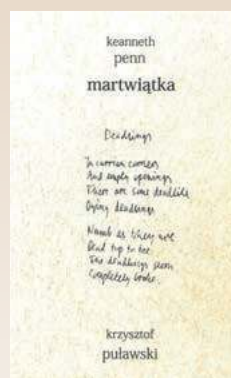
„Białowieża
szeplem.
Historie z Puszczy
Białowieskiej”
Anna Kamińska
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2017



„Miłość”
Ignacy Karłowicz
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2017



Mira Łuksza
– za całokształt
twórczości,
z uwzględnieniem
książki
„Rodosłów”
Wydawnictwo
Książkowe IBIS,
Warszawa 2017



„Martwiątka”
**Krzysztof
Puławski**
Stowarzyszenie
Schola Humana,
Białystok 2017



„Licencja
na pierwszy śnieg”
Ewa Włodarska
Miejska Biblioteka
Publiczna
im. C. K. Norwida,
Świdnica 2017

KS. ADAM

Boniecki: *Dwie nowelizacje*

PRZEDSTAWIONY W KNESECIE PROJEKT NOWELIZACJI ustawy o tzw. kłamstwie oświęcimskim ustanawia kary nie tylko – jak do tej pory – za negowanie istnienia Holokaustu, ale i za negowanie tego, że byli pomocnicy nazistów lub za umniejszanie ich roli w zagładzie Żydów. Projekt jest odpowiedzią izraelskich parlamentarzystów (podpisało go 61 ze 100 posłów) na nowelizację ustawy o IPN, która przewiduje karę trzech lat więzienia dla tego, „kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Polskiemu Narodowi lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką lub inne zbrodnie przeciwko ludzkości, pokojowi i zbrodnie wojenne”.

Zwolennicy naszej nowelizacji podkreślają, że jest ona reakcją na pojawiające się co jakiś czas określenie „polskie obozy koncentracyjne”, jednak spór, którego jesteśmy świadkami, nie tego dotyczy, bo Izraelczycy dobrze wiedzą, kto zbudował obozy koncentracyjne i zagłady, a izraelskie instytucje, w tym Yad Vashem, wspierały i wspierają polski sprzeciw wobec tego sformułowania.

Sprzeciw Izraela (i nie tylko) budzi zapis dotyczący „publicznego, wbrew faktom przypisywania Polskiemu Narodowi lub Państwu Polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę”. Ustawa precyzuje, że nie będzie przestępstwem popełnienie tych czynów „w ramach działalności artystycznej lub naukowej”. A więc teraz sąd rozstrzygnie, czy np. działalność Jana Tomasza Grossa jest, czy nie jest działalnością naukową.

Nowelizacja ustawy o IPN wywołała gwałtowne reakcje w Izraelu, USA i innych krajach. Złożono ważne deklaracje, np. minister spraw zagranicznych Niemiec Sigmar Gabriel powiedział o Holokaucie: „To zorganizowane masowe morderstwo zostało popełnione przez nasz naród i nikogo innego. Jeśli byli pojedynczy kolaboranci, to oni nic tu nie zmieniają”. I wbrew głoszonej czasem tezie, że Niemcy wybrali Polskę na miejsce realizacji „ostatecznego rozwiązania”, bo w Polsce panował anty-



semityzm, minister wyznał, że nigdy nie miał wątpliwości, iż niemieckie obozy koncentracyjne znalazły się w Polsce, ponieważ Niemcy chcieli zniszczyć zarówno kulturę Polski, jak i doprowadzić do zagłady Żydów.

Nie umiemy się uczyć na własnych błędach. Konflikt w połowie lat 80. o klasztor karmelitanek na terenie KL Auschwitz raz na zawsze powinien nam uświadomić szczególną, ze zrozumiałych przyczyn, wrażliwość na wszystko, co się wiąże z Holokaustem.

Rozwiązanie tamtego konfliktu wymagało kilku lat pracy i interwencji papieża. Kto dziś się okaże „czyniącym pokój”? Może Międzynarodowa Rada Oświęcimska, która od lat wspiera wysiłki i angażuje się w działania służące walce z kłamliwymi sformułowaniami o „polskich obozach”. Dziś zgłasza ona swoje obawy, że „nowe nieprecyzyjne przepisy” mogą prowadzić do „ograniczenia wolności w odkrywaniu prawdy o Holokaucie”. Wydane 2 lutego oświadczenie Rady pozwala domniemywać, że w pracy nad nowelizacją ustawy tego doświadczonego grona nie pytano o zdanie. Rada jednak nie traci „nadziei na dialog między zainteresowanymi stronami” i ofiarowuje swoje usługi. „(...) od 2000 r. to Międzynarodowa Rada Oświęcimska przy Premierze RP jest miejscem właśnie takiego dialogu i porozumienia – z poszanowaniem dla prawdy, w trosce o pamięć o wszystkich ofiarach, przy zachowaniu wzajemnego szacunku. W obliczu obecnego konfliktu jesteśmy zdeterminowani nadal pełnić powyższą rolę” – czytamy.

Nikt normalny nie chce, żeby jego kraj był szkalowany. Mówienie o „polskich obozach” Polaków boli, zwłaszcza nas, którzy w KL Auschwitz czy w innych obozach straciliśmy swoich bliskich. Praca nad prawdą okropnych lat okupacji jest jednak także pracą nad własnym myśleniem i tematami, które bywają tabu, lecz nie mogą pozostać nieprzepracowane dla dobra naszej wspólnoty właśnie. Dzięki ludziom, którzy temu poświęcili życie w Polsce (jak Dariusz Libionka, z którym wywiad publikujemy w tym numerze „Tygodnika”), przeszliśmy już spory kawał drogi. Nie zwracajmy z niej. © P



Wyjazd reporterski sfinansowany przez Czytelników!

W ostatnim czasie prosiliśmy Państwa o pomoc w sfinansowaniu wyjazdu naszego reportera do Bangladeszu. Dzięki Państwa nadzwyczajnej hojności zebraliśmy potrzebną kwotę przed czasem! Marek Rabij, finalista Nagrody im. Teresy Torańskiej za książkę „Życie na miarę”, w najbliższym czasie uda się na pogranicze Birmy i Bangladeszu, by stamtąd relacjonować kryzys dotyczący Rohindżów – muzułmańskiej mniejszości pozbawionej przez oba państwa prawa pobytu. „Pisanie o tym – jak mówi

ks. Adam Boniecki – jest naszym, redakcji, obowiązkiem”. Dzięki blisko 300 osobom ciężar finansowy tego obowiązku stał się dla redakcji „Tygodnika” możliwy do uniesienia, i za to jesteśmy ogromnie wdzięczni. Materiały z wyprawy będą się pojawiały na stronie powszech.net/bangladesz oraz w papierowym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”. Wszystkim biorącym udział w zbiorce raz jeszcze dziękujemy!

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 USA: coraz więcej pytań o atak prewencyjny na Koreę Północną

MARCIN ŻYŁA

6-9 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

19 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Trolle robią nam politykę

AGATA KAZMIERSKA

26 Prawo przed trybunałem Facebooka

MARCIN MATCZAK

28 Mistrz mów wzruszających

MARIUSZ SEPIOŁO: *Marcin Paweł Panek zdążył napisać za innych kilkanaście książek i setki przemówień*

■ ■ WIARA

32 Siła bezsilnego

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Życie ks. Kaczkowskiego to historia tabu: obecności chorych i niepełnosprawnych duchownych w Kościele*

38 Omylny papież i jego krytycy

PIOTR SIKORA

40 Ludowa czy drobnomieszczańska

JAREMA PIEKUTOWSKI
o badaniach nad religijnością Polaków

■ ■ ŚWIAT

44 Olimpiada miłości i atomu

ROMAN HUSARSKI
o zimowych igrzyskach w Pjongczangu

47 Tratwa dla rozbitków

SZYMON ŁUCYK:
Historia z podparyskiego squatu

50 Mahmud wraca do domu

INGA ROGG: *Mieszkańcy wyzwolonej Hawidzy zaczynają na nowo*



YAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

■ ■ TEMAT TYGODNIA ■

10 Suma bólu

PAWEŁ ŚPIEWAK

Zmieniając ustawę o IPN, rządzący działają na szkodę Polski. Budzą podejrzenie, że coś jest z Polakami nie tak: że chcemy ukryć prawdę, a zamiast wymiany argumentów wybieramy sądy i więzienie.

14 Niepamięć narodowa

ROZMOWA Z DARIUSZEM LIBIONKĄ,
HISTORYKIEM ZAGŁADY:

Polacy brali udział w zabijaniu Żydów. Mówimy o tym publicznie, ale nie wbrew faktom.

18 Inny głos Izraela

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Konflikt wokół ustawy o IPN najbardziej boli tych Izraelczyków, których korzenie są w Polsce.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

43 SZYMON HOŁOWNIA

55 WOJCIECH BONOWICZ

76 JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: PAWEŁ ŚPIEWAK

Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dzewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Fanaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał

P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ® mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



W strefie zagrożenia: ćwiczenia amerykańskich sił powietrznych w bazie Yokota k. Tokio, Japonia, 14 stycznia 2018 r.

USA: coraz więcej pytań o atak prewencyjny na Koreę Północną

MARCIN ŻYŁA

DZIESIĘĆ TYSIĘCY POCISKÓW I RAKIET może spaść na terytorium Korei Południowej tylko w ciągu pierwszej minuty ataku z Północy – gdyby do niego doszło. W ich zasięgu żyje prawie 19 mln ludzi, w tym mieszkańcy Seulu, miasta, w którym już od czterech dekad każdy nowo postawiony dom musi mieć własny schron. To wszystko wiadomo od lat, jednak minione dni przyniosły kolejne przyspieszenie pelzającego kryzysu koreańskiego – spór w Stanach Zjednoczonych o to, czy należy dokonać prewencyjnego uderzenia na Koreę Północną.

Dziennik „New York Times” opisuje narastającą w Białym Domu irytację na Pentagon. Wojskowi podobno opierają się z dostarczeniem prezydentowi Trumpowi listy „militarnych opcji” rozwiązania kryzysu. Powód jest paradoksalny: obawiają się, że mając je do dyspozycji... prezydent z nich skorzysta. Miałby w ten spo-

sób udowodnić, że jego pogroźki pod adresem Kim Dzong Una, dyktatora z Północy, nie są czcze. Jesienią 2017 r. Trump ostrzegł, że w obronie własnej lub swoich sojuszników Stany Zjednoczone mogą nie mieć innego wyjścia niż „znieść Koreę Północną z powierzchni ziemi”. Zwolennicy ograniczonego ataku prewencyjnego twierdzą, że może on być jedyną możliwością zażegnania jeszcze większego kryzysu w przyszłości; powołują się przy tym na przykład z 1981 r., kiedy lotnictwo Izraela przeprowadziło nalot na irańskie instalacje atomowe, skutecznie opóźniając realizację programu nuklearnego o wiele lat. Przeciwnicy odpowiadają: Kim to nie Chomeini – jest dużo mniej przewidywalny i posiada już około dziesięciu głowic jądrowych. Były amerykański sekretarz obrony Chuck Hagel przestrzega, że w efekcie północnokoreańskiego kontrataku mogą zginąć miliony Koreańczyków z Południa. Cytowany zaś przez brytyjską prasę pewien dyplomata z Japonii ujmuje spr-

wę tak: ewentualny amerykański atak poświęci „dziesiątki tysięcy istnień ludzkich dziś, aby ocalić miliony w przyszłości”.

Od 2003 r., kiedy ogłosiła, iż jest w posiadaniu broni atomowej, Korea Północna przeprowadziła sześć testów nuklearnych, a wykres liczby prób rakiet balistycznych przypomina coraz bardziej strome schody: w minionym roku było ich już 26. Logika podpowiada więc, że w niedalekiej przyszłości musi dojść do konfrontacji – w Stanach przybywa polityków i wojskowych, którzy chcieliby do niej doprowadzić na „swoich” warunkach. Nawet oni przyznają jednak, że skutki ewentualnej wojny na Półwyspie Koreańskim są niemożliwe do przewidzenia.

A „olimpijski pokój”, którego symbolem jest wspólny występ sportowców z obu Korei na rozpoczynających się w ten piątek, 9 lutego, zimowych igrzyskach w Pjongczangu [patrz tekst w dziale Świat – red.] – ten potrwa wszak tylko dwa tygodnie.

©P

W SKRÓCIE

PAŃSTWO POLSKIE...

Na stronie Kancelarii Premiera pojawiło się telewizyjne wystąpienie Mateusza Morawieckiego na temat nowelizacji ustawy o IPN z angielskimi napisami; problem w tym, że skorzystano z automatycznego tłumaczenia serwisu YouTube, które zmieniło sens wypowiedzi. Szef rządu powiedział: „Obozy, w których wymordowano miliony Żydów, nie były polskie”, a w angielskim tłumaczeniu podano: „Camps where millions of Jews were murdered were Polish”.



KPRM / YOUTUBE

...ISTNIEJE TYLKO...

Trwa mozolne dochodzenie prawdy o wypadku Beaty Szydło w Oświęcimiu: jak poinformował przedstawiciel producenta limuzyny, którą jechała ówczesna pani premier, rejestrator w samochodzie nie zapisał ani prędkości, ani informacji o tym, czy sygnalizacja dźwiękowa była włączona. Danych z dodatkowego rejestratora, montowanego w pojazdach uprzywilejowanych, nie udało się odszyfrować. Przypomnijmy, że z niedawnej opinii biegłych o wypadku limuzyny Andrzeja Dudy wynika, że samochód głowy państwa miał tylko jedną sprawną oponę.

...TEORETYCZNIE.

„Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek miał wstąpić do PiS-u” – powiedział wicepremier Jarosław Gowin, który w życiu nie wyobrażał sobie już mnóstwa innych politycznych decyzji.

PRAKTYCZNIE NIE ISTNIEJE.

Setki pacjentów, w tym noworodki, dostawały w ostatnich miesiącach wadliwie szczepionki – napisał „Dziennik Gazeta Prawna”, powołując się na inspektorów farmaceutycznych, sprawdzających stan sprzętu chłodniczego w aptekach i przychodniach. Okazało się, że tysiące szczepionek nadawało się do kosza, bo nie były przechowywane w odpowiednich temperaturach.

Cisza wokół szkoły



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TO ZŁY CZAS DLA NIEZADOWOLONYCH ZE szkolnej reformy. Wokół typowanej jeszcze rok temu na główne pole napięć i protestów edukacji zaległa głucha cisza. Za nami tymczasem kolejny – przepchnięty w zasadzie bez echa – etap remontu nadzorowanego przez minister Annę Zalewską. Podpisała ona w ubiegłym tygodniu rozporządzenie w sprawie mających obowiązywać od roku szkolnego 2019–2020 podstaw programowych dla czteroletniego liceum, pięcioletniego technikum i dwuletniej branżowej szkoły II stopnia.

Niemal wszystko w ministerialnych opowieściach o tej zmianie rozjeżdża się z rzeczywistością. „Szerokie konsultacje społeczne”? MEN wzięło pod uwagę w zasadzie tylko sugestie idące po linii PiS, czego nie zmienia jedynie bodaj wyjątek, czyli dodanie do listy

lektur obowiązkowych fragmentów „Podróży z Herodotem” Ryszarda Kapuścińskiego. Podstawa programowa „wyznacza jedynie ramy kształcenia” i „w żaden sposób nie ogranicza nauczyciela”? Wprost przeciwnie: nowy dokument jest tak przeładowany, że nauczycielom – głównie polonistom – nie wystarczy czasu na realizowanie własnych, choćby czytelniczych pomysłów. „Położenie większego nacisku na kształcenie kompetencji kluczowych”? W opiniach nauczycieli o nowej podstawie aż roi się od diagnoz, że nie mieliśmy od lat dokumentu tak bardzo sprzyjającego nauce anachronicznej, bazującej na „wkuwaniu”.

W ciszy, bez gwałtownych protestów domyka się reforma będąca odzwierciedleniem całego pakietu zmian w Polsce. Usiłuje się zmienić szkołę w instytucję zideologizowaną, konformizującą, nieeliczącą się z wizjami świata odbiegającymi od wizji reformatorów. ©P

Jak się w Polsce leczy raka

Dane potwierdzają odczucia: z nowego raportu NIK-u wynika, że skuteczność leczenia onkologicznego w Polsce jest gorsza od standardów w większości krajów UE. I to przynajmniej z trzech powodów. Brakuje specjalistów: jeden onkolog przypada na około 40 tys. mieszkańców. A na cztery placówki realizujące świadczenia onkologiczne

– zaledwie jeden patomorfolog (specjalista, który pełni kluczową rolę przy stawianiu diagnozy; co ważne – ponad 40 proc. patomorfologów ma powyżej 60 lat, a jedynie 12 proc. jest w wieku poniżej 40 lat). Brakuje pieniędzy: w Wielkiej Brytanii wydatki na onkologię wynoszą równowartość 171 euro na mieszkańca. W Polsce – zaledwie 42.

Brakuje leków: ponad połowa nowoczesnych specyfików onkologicznych zarejestrowanych w Europie (od 2004 r.) jest niedostępna w Polsce. Zaledwie jeden spośród 19 nowotworów będących najczęstszymi przyczynami śmierci jest u nas leczony zgodnie z najbardziej aktualną wiedzą medyczną. Najpóźniej w 2025 r. nowotwory staną się prawdopodobnie główną przyczyną zgonów w Polsce. ©P AG

Niedziela niech będzie dla nas

PREZYDENT PODPISAL ustawę zakazującą handlu w niedziele, za sprawą której będziemy stopniowo przyzwyczajać się do konsumpcyjnego postu w ostatnim dniu weekendu. Pierwsza niedziela wolna od handlu przypadnie już 11 marca. Od 2020 r. zakupy będą możliwe tylko od poniedziałku do soboty.

W ustawie pozostawiono jednak niedzielną furtkę m.in. dla sklepików przy stacjach benzynowych, nic nie stoi więc na przeszkodzie, by przy każdym supermarkecie otworzyć stację paliw. W końcu największy w tej bran-

ży Orlen, który ma 1758 stacji, poprosił niedawno akcjonariuszy o zgodę na rozszerzenie działalności m.in. o sprzedaż hurtową mięsa i wędlin, sprzętu RTV i AGD, kosmetyków, farmaceutyków oraz obuwiu i biżuterii. Inni rozważają zamianę sklepów stacjonarnych w tzw. showroomy, w których klienci będą mogli w niedzielę jedynie obejrzeć lub przymierzyć produkty, a następnie kupić je online i odebrać na miejscu.

Rynek nie znosi próżni – mawiają ekonomiści. O tym, czy wyrwanie jednego dnia z siedmiodniowego karnawału konsumpcji rzeczywiście tworzy próżnię, ostatecznie zdecydują jednak klienci. Pomysł na niedzielę nie kończy się przecież na zakupach. ©P MR



TEN SPÓR SZYBKO SIĘ NIE SKOŃCZY. Co najmniej 140 tys. Greków demonstrowało w minioną niedzielę w Atenach przeciwko rządowym planom zakończenia dyskusji z Macedonią, sąsiadem Grecji od północy, na temat nazwy tego kraju. Wielu Greków uznaje ją za uzurpację. Wśród protestujących był m.in. kompozytor muzyki do „Greka Zorby”, 92-letni Mikis Theodorakis, który określił z trybuny macedońskie państwo mianem „nielegalnego”. Kiedy szef greckiego MSZ zapowiedział niedawno rychłe uregulowanie stosunków z Macedonią, nieznani sprawcy zagrozili mu śmiercią. © MŻ

Indie: niechciane dziewczynki

To już patologia – alarmuje indyjski rząd. Chodzi o dysproporcję w populacjach kobiet i mężczyzn. Pragnienie posiadania syna jest w Indiach tak silne, że wielu Hindusów decyduje się na kolejne

dzieci tak długo, aż urodzi się chłopiec. To sprawia, że w kraju żyje obecnie ok. 21 mln niechcianych dziewczynek, które otrzymują gorsze wyżywienie i edukację niż ich bracia. Z populacji Indii „zniknęło” do tej pory ponad 63 mln kobiet – co roku, z powodu aborcji żeńskich płodów, chorób i zaniedbań, „ubywa” ok. 2 mln. Porównując obecną sytuację z dany-

mi z lat 1991–2011 widać, że stosunek płci pogorszył się nawet w miarę poprawy dochodów; w bogatych północnych stanach Pendżab i Haryana na 1200 sześciolletnich chłopców przypada 1000 sześciolletnich dziewczynek. Ekspertci alarmują: w przyszłości to zjawisko będzie miało wpływ na przestępczość, przemoc seksualną i handel ludźmi. © MŻ

Migawki z kryzysu

■ **PRZYWÓDCY FRANCJI I WIELKIEJ BRYTANII** podpisali traktat graniczny regulujący ruch między tymi państwami po brexicie. Umowa przewiduje szybsze rozpatrywanie spraw migrantów, w większości z Afryki i Azji, chcących dostać się na angielski brzeg. Od czasu jej zawarcia do portu w Calais przybywa o 25 proc. więcej ludzi niż wcześniej. W trudnych warunkach coraz łatwiej o konfrontację między przedstawicielami różnych narodowości: w minionym tygodniu w zamieszkach między Afgańczykami a Erytrejczykami zostało postrzelonych pięć osób.

■ **RODZINNĄ SZAJKĘ** przemysłowców ludzi rozbili władze w Islamabadzie. Zawiadujący nią z Pakistanu ojciec rodziny, jego brat (w Libii) i syn (we Włoszech) organizowali transport lotniczy przez Dubaj do Libii, gdzie migranci wsiadali na łódzie. W miniony piątek, kiedy jedna z nich zatoniła, zginęło kilkunastu Pakistańczyków (a w sumie co najmniej 90 osób).

■ **SILVIO BERLUSCONI** obiecuje, że jeżeli koalicja partii centroprawicowych, którą firmuje, dojdzie do władzy po planowanych na początek marca wyborach, Włochy deportują 600 tys. imigrantów. Były premier stwierdził, że imigracja to

Ciemne chmury nad brexitem



PATRYCJA BUKALSKA

POUFNY BRYTYJSKI RZĄDOWY RAPORT NA temat skutków brexitu, który wyciekł do mediów, nie napawa optymizmem. Wynika z niego, że niezależnie od tego, czy i jaką umowę uda się Londynowi zawrzeć z UE, brytyjska gospodarka i tak na tym ucierpi. W przypadku zawarcia nowej umowy handlowej krajowe PKB w ciągu 15 lat może być mniejsze o 5 proc., a w przypadku braku umowy (czyli tzw. twardego brexitu) nawet o 8 proc. Co więcej, nawet jeśli Wielka Brytania utrzymałaby dostęp do wspólnego rynku, co wydaje się mało prawdopodobne, to też należy przygotować się na spowolnienie brytyjskiej gospodarki. Negatywnie dotknięte zostaną wszystkie regiony państwa, w tym Londyn. Potencjalne umowy z USA czy Chinami nie zrekomensują tego Brytyjczykom.

Najbardziej radykalni zwolennicy opuszczenia Unii starają się raport lekceważyć, jako jedynie wstępną analizę – lub nawet sugerując, że to tylko gra polityczna. Trudno jednak uciec od pytania, czy Wielka Brytania naprawdę powinna opuszczać Unię. Tym bardziej że w ostatnich tygodniach zwolennicy pozostania w Unii zaczęli zyskiwać przewagę w sondażach.

Brak umowy jest lepszy niż zła umowa – zwykła mówić premier Theresa May. Teraz można dodać, że bez względu na umowę lub jej brak, dla Wielkiej Brytanii skończy się to raczej źle. © MŻ

„społeczna bomba, która zaraz wybuchnie”. Skomentował tak zdarzenie z miasta Macerata, gdzie niedoszły kandydat do wyborów z ramienia Ligi Północnej postrzelił z okien swojego samochodu sześcioro imigrantów z Afryki.

■ **KRYZYS UCHODŹCZY** nie dotyczy uchodźców – przekonuje w dzienniku „The Guardian” chiński artysta Ai Weiwei: „Zachód niemal całkowicie porzucił wiarę w ludzkość i swoje poparcie dla cennych ideałów zawartych w deklaracjach o powszechnych prawach człowieka. Poświęcił te ideały na rzecz krótkowzrocznych: tchórzostwa i chciwości”. © MŻ



ANDREAS SOLARO / AFP / EAST NEWS

Samokrytyczny jak papież

KAŻDEJ WŁADZY trudno jest wycofać się z błędnych decyzji, dlatego zwykle ograniczana jest ona różnymi mechanizmami kontrolnymi. Tych mechanizmów z zasady nie ma władza absolutna. Czy zatem władca absolutny, jakim jest np. papież, skazany jest na trwanie w błędach? To zależy od odwagi jego współpracowników i jego własnego samokrytycyzmu. Pokazał to przypadek bp. Juana Barrosa z Chile.

Ks. Barros zaczął robić karierę w chilijskim Kościele jako bliski współpracownik wpływowego kapłana ks. Fernanda Karadimy, którego w 2011 r. Watykan ukarał suspensą za molestowanie nieletnich. Barroso w 1995 r. został biskupem pomocniczym diecezji Valparaiso. W 2015 r. Franciszek mianował go ordynariuszem diecezji Osorno. Nominacja wywołała sprzeciw – ofiary Karadimy oskarżyły bp. Barrosa o tuszowanie sprawy swojego mentora.

Mimo to Franciszek bronił swojej decyzji. Przed niedawną pielgrzymką do Chile mówił, iż nie ma dowodów na winę bp. Barrosa. Że papież idzie błędną drogą, w bezprecedensowy sposób uświadomił mu jeden z jego najbliższych współpracowników, przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich kard. Seán Patrick O'Malley, publicznie przyznając, że domaganie się dowodu od ofiar seksualnego wykorzystywania ze strony duchowieństwa „jest źródłem ich wielkiego bólu”.

Franciszek nie tylko przyznał kardynałowi rację, ale wysłał do Chile abp. Charlesa Sciclunę z Malty (na zdjęciu u góry) – do niedawna jednego z najbardziej skutecznych watykańskich prokuratorów tropiących pedofilię w Kościele. Gdyby Scicluna pojawił się w Chile już w 2015 r., Watykan zapewne uniknąłby całego zamieszania. ©P

ARTUR SPORNIAK

W SKRÓCIE

WATYKAŃSKA CENZURA.

Organizowana 8 marca konferencja „Dlaczego kobiety są ważne” nie odbędzie się w Ogrodach Watykańskich – jak co roku – tylko w kurii jezuitów w Rzymie. Organizatorki – członkinie stowarzyszenia Voices of Faith, którego celem jest zabieganie o włączenie kobiet w strukturę Kościoła – zdecydowały się przenieść spotkanie, ponieważ prefekt Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia kard. Kevin Farrell nie zgodził się na obecność na konferencji Mary McAleese, nie podając oficjalnie powodu. Media przypominają, że była prezydent Irlandii jest zwolenniczką ślubów dla osób LGBT. Z Polski w konferencji uczestniczyć będzie nasza stała współpracowniczka Zuzanna Radzik.

POST W INTENCJI POKOJU.

Papież ogłosił dzień modlitwy i postu w intencji pokoju. Odbędzie się on 23 lutego, w drugi piątek Wielkiego Postu. „Ofiarujemy go szczególnie za mieszkańców Demokratycznej Republiki Konga i Sudanu Południowego” – zapowiedział Franciszek i wskazał, że nie tylko możemy się modlić: „Każdy może konkretnie powiedzieć »nie« przemocy, na ile zależy to od niego”. Franciszek zaprosił również „niekatolików i niechrześcijan do przyłączenia się do tej inicjatywy w sposób, jaki uznają za najbardziej stosowny”.

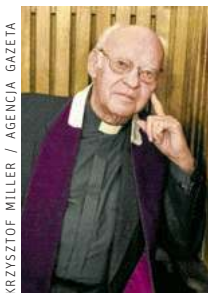
O. PAWEŁ KOZACKI został ponownie wybrany prowincjałem polskich dominikanów. Będzie pełnił urząd przez kolejne cztery lata. W minionym tygodniu w Krakowie odbyła się kapituła Polskiej Prowincji Dominikanów.

Bez księdza, po katolicku

DWUDZIESTU ŚWIECKICH

ceremoniarzy pogrzebów rozpoczęło w ubiegłym tygodniu pracę w archidiecezji Cardiff (Walia). Po zaliczeniu egzaminu praktycznego z liturgii pogrzebu, przeprowadzonego w kościele (przy pustej trumnie), otrzymali nominację z rąk arcybiskupa George'a Stacka. Do ich obowiązków, oprócz przewodniczenia obrzędom pogrzebowym, będzie należało przygotowanie rodziny zmarłego do uroczystości i pomoc w załatwieniu formalności związanych z pochówkiem. Pogrzeb nie jest sakramentem i do jego odprawienia nie są potrzebne święcenia. W wielu miejscach na świecie, gdzie brakuje księży, takim obrzędem przewodniczą wyznaczani przez kapłana świeccy. Jednak w przypadku Cardiff to nie braku kadrowe były najważniejsze. Biskup przyznał, że chodzi mu nie tyle o zastępstwo dla księży, co o alternatywę dla wiernych. – To propozycja dla tych, którzy są katolikami, ale nie czują się szczególnie związani z parafią – mówił mediom. – Nie każda rodzina widzi potrzebę zapraszania kapłana, nie wszyscy chcą pogrzebu z mszą. Takim osobom łatwiej będzie nawiązać kontakt z osobą świecką. Biskup wierzy, że dla ludzi stojących bezradnie wobec problemu śmierci świecki ceremoniarz będzie bardziej autentycznym świadkiem wiary w zmartwychwstanie aniżeli ksiądz, który tę prawdę głosi niejako z urzędu. ©P

EA



KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA GAZETA

Nestor teologii

VATICANUM II to „trzy lata Zielonych Świąt Kościoła”, a Jezus był „pierwszym feministą z prawdziwego zdarzenia” – mawia ks. prof. Alfons J. Skowronek, jeden z najwybitniejszych polskich teologów i ekumenistów, który właśnie skończył 90 lat. Wykładał m.in. na

UKSW; recenzentem jego habilitacji był Karl Rahner. Silnie zaangażował się w ruch ekumeniczny, działając m.in. w poświęconych mu komijsach KEP. Duszpasterzował warszawskiej wspólnotie niemieckojęzycznej. Wiele tekstów ks. Skowronek ogłosił w „TP” (zob. powszech.net/skowronek). „Powstrzymywanie kobiet

od dostępu do kapłaństwa nie da się utrzymać, ponieważ nie licuje z godnością kobiety. Nie daje się także uzasadnić Biblią” – napisał w głośnym artykule z 2009 r. W innych tekstach pocieszał przerażonych grzechem przeciw Duchowi Św., uczył zdrowego nabożeństwa do Maryi i wskazywał, jak przygotować się na starość i śmierć. ©P

MAM

Przyjemność karania



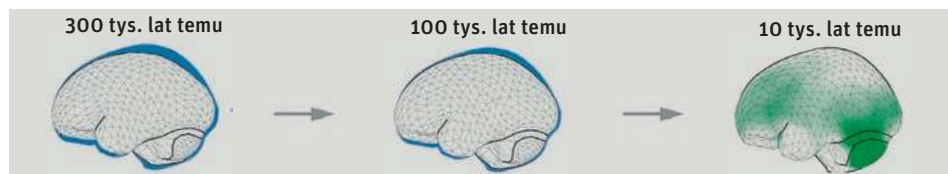
ŁUKASZ KWIATEK

STABILNOŚĆ NIEZWYKŁEJ U LUDZI GRUPOWEJ współpracy utrzymywana jest m.in. dzięki stosowaniu kar wobec aspołecznych osobników. Strach przed karą powstrzymuje „pasażerów na gapę”, czyli tych, którzy chcieliby czerpać korzyści z życia w społeczności, jednocześnie nie przestrzegając ustanowionych przez nią zasad. Z wielu badań wynika, że dorośli decydują się karać aspołecznego osobnika, nawet jeśli wymaga to poniesienia kosztów. Dotychczas nie było jednak wiadomo, czy takie zachowanie jest ograniczone do ludzi i na jakim etapie rozwoju się ono pojawia. Na te pytania postanowił odpowiedzieć niedawno zespół Josepa Calla (z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej Maxa Plancka) i Tani Singer (z Instytutu Ludzkiego Poznania i Nauk o Mózgu Maxa Plancka).

W ich badaniu, opisanym w „Nature Human Behaviour”, wzięły udział dzieci w wieku 4-6 lat oraz szympansy. Dzieci oglądały teatr kukielkowy (małpy – aktorów), w którym jedna z postaci zachowywała się prospołecznie (dawała dziecku zabawkę), a inna aspołecznie (tylko udawała, że daje zabawkę; u małp: jedzenie). Następnie pojawiała się nowa postać, która wymierzała karę jednej z pozostałych. Po chwili scena została przerwana. Dzieci i małpy mogły ją dalej oglądać, ale musiały za to „zapłacić” (dzieci – oddać monetę, którą mogły również wymienić na naklejkę; małpy – przejść do innego pomieszczenia, za ciężkimi drzwiami).

Zarówno małpy, jak i sześciolletnie dzieci (ale nie młodsze) decydowały się na dalsze oglądanie, o ile kara wymierzona była aspołecznemu osobnikowi. Oznacza to, że oglądanie uzasadnionego karania sprawia im przyjemność. W przypadku karania dochodzi więc do swoistego konfliktu emocji: oglądanie cierpienia drugiej osoby zarówno dla niemowląt, jak i dorosłych jest nieprzyjemne. Wina wygasza jednak empatię – już u sześciolatków. ©P

Jak ewoluował mózg



SCIENCE JOURNALS – AAAS

Na zielono zaznaczono obszary mózgu, których rozmiar się zmienił

CHOĆ JUŻ 300 TYS. LAT TEMU mózg człowieka osiągnął współczesne rozmiary, to dopiero 100–35 tys. lat temu przyjął współczesny kształt – przekonuje zespół niemieckiego paleoantropologa, Philippa Gunza. Ewolucja kształtu mózgu może mieć związek z „najbardziej ludzkimi zachowaniami”, takimi jak wierzenia religijne czy tworzenie sztuki, które pojawiają się w tym samym okresie. Członkowie zespołu Gunza w 2017 r. opisali w „Nature” najstarsze skamieniałości zaliczane do naszego

gatunku, odnalezione w jaskini Dżabal Irhoud w Maroku, datowane na około 300 tys. lat. Tym razem Gunz i współpracownicy na łamach „Science Advances” dokonali rekonstrukcji mózgowców na podstawie skamieniałości pochodzących z różnych okresów. Okazało się, że pomiędzy liczącymi 100 tys. lat i tymi sprzed 35 tys. lat pojawiają się znaczące różnice: w młodszych mózgowcach okolice czołowe są wyższe, ciemieniowe – bardziej wybrzuszone, potyliczne

– bardziej zaokrąglone, a mózdzku – rozrośnięte; całość wygląda bardziej sferycznie. Ponieważ podczas rozwoju mózg i tkanki mózgowcowskie uciskają na siebie (we wczesnym okresie rozwoju), kształt tej ostatniej pozwala wnioskować o kształcie mózgu. To pierwsze ustalenia paleontologiczne, które sugerują, że w naszym gatunku stosunkowo niedawno doszło do wyraźnych – i prawdopodobnie doniosłych – zmian w budowie mózgu, zapewne wywołanych zmianami genetycznymi. ©P ŁK

W SKRÓCIE



JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS

ZMARŁ WOJCIECH POKORA. Wybitny aktor komediowy i kabaretowy miał 83 lata.

MIESZKANIE TADEUSZA KONWICKIEGO. Wystawione na sprzedaż, zostało ostatecznie zakupione przez Instytut Książki. Będzie służyło programom rezydencjalnym. Pisarz zmarł w 2015 r.

NAGRODY IM. KSIĘDZA STANISŁAWA MUSIAŁA. Są przyznawane osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiego. W tym roku nagrodzony został ks. Michał Czajkowski, jeden z inicjatorów dialogu katolicko-żydowskiego w Polsce, a za działalność społeczną – Urszula Antosz-Rekucka, katechetka z Mszany Dolnej. Nagrodę ustanowił Klub Chrześcijań i Żydów „Przymierze”. Jej fundatorami są Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Prezydent Miasta Krakowa i Gmina Wyznaniowa Żydowska w Krakowie.

KUŹMIŃSCY NAGRODZENI. W konkursie organizowanym przez serwis granice.pl na najlepszą książkę roku, nagrodą główną została uhonorowana powieść „Kamień” Małgorzaty i Michała Kuźmińskich (Wydawnictwo Dolnośląskie). „Nagradzamy tę książkę, bo to po pierwsze rasowy kryminał. Nienagannie skonstruowany, ze świetnie poprowadzoną fabułą i sprawnie budowanym napięciem. Ale – co może ważniejsze – to także wnikliwe studium obcości, to historia pokazująca nasz – często nieuzasadniony – strach przed tym, co nieznane. I jego dramatyczne konsekwencje” – pisze w uzasadnieniu jury. Autorom gratulujemy!

REKOLEKCJE Z KS. ADAMEM BONIECKIM – NA POCZĄTEK WIELKIEGO POSTU:

Środa Popielcowa – godz. 18.30 – msza św. z homilią i konferencja
czwartek, piątek, sobota – godz. 9 i 18.30 – msza św. i konferencja

Bazylika św. Floriana w Krakowie, ul. Warszawska 1b

SUMA BÓLU

Zmieniając ustawę o IPN, rządzący działają na szkodę Polski.
Budzą podejrzenie, że coś jest z Polakami nie tak: że chcemy ukryć prawdę,
a zamiast wymiany argumentów wybieramy sądy i więzienie.

PAWEŁ ŚPIEWAK

POWIADA SIĘ, ŻE ISTOTA OBECNEGO KRYZYSU tkwi w reakcjach Izraela, Stanów Zjednoczonych i Ukrainy na zmianę ustawy o IPN. Nie chcę tego wymiaru pomniejszać, ale podstawowe znaczenie ma napięcie w stosunkach polsko-polskich: dzielenie nas i budzenie niechęci międzyetnicznej.

Bez Karskiego

Nic w tej nowelizacji nie daje się obronić. Jest nieprecyzyjna, wprowadza groźbę penalizacji w nieprzewidywalnych sytuacjach. Budzi poczucie zagrożenia, odbiera sens wielu oddolnym, społecznym działaniom na rzecz pojednania polsko-żydowskiego. Zagroza wolności badań naukowych, swobodzie wypowiedzi i nieskrępowanej edukacji historycznej. Piszę te słowa w pełni odpowiedzialnie, jako dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Już pierwszego dnia pracy po przegłosowaniu przez Sejm artykułu 55a rozmawialiśmy w Instytucie o trzech przypadkach. Jeden jest związany z trwającymi od dłuższego czasu badaniami nad miejscami pochówku Żydów w regionie łomżyńskim, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa leżą ofiary zbrodni popełnianych przez Polaków. Oczywiście nie ma mowy o tym, by wyników owych badań nie publikować, jeśli są oparte na rzetelnych podstawach metodologicznych – ale niepokój u ich autorów, niemających jeszcze tytułów naukowych, pozostał.

Drugi przypadek dotyczy Jana Karskiego, który w czasie wojny używał określenia „polskie obozy koncentracyjne” (mając na myśli ich geograficzne położenie) i informował rząd w Londynie o obojętnym

czy wręcz wrogim stosunku Polaków do Żydów w okupowanej Polsce. W myśl nowych rozporządzeń tego rodzaju sformułowania są przecież nie do przyjęcia.

Trzeci przypadek dotyczy pisanej przez Emanuela Ringelbluma w bunkrze na warszawskiej Ochocie, na przełomie 1943 i 1944 r., pracy o stosunkach polsko-żydowskich. Pada w niej wiele bolesnych sformułowań i zarzutów pod adresem polskiej społeczności. Czy można bezpiecznie taką pracę ogłosić, zwłaszcza że ustawa mówi coś o działalności naukowej, ale nic o publikacjach?

Nikt z badaczy zajmujących się Zagładą nie ma wątpliwości, kto tworzył obozy śmierci. Wiemy, jak one działały. Wiemy też sporo o likwidacji poszczególnych gett, o Judenratch. Wydajemy książkę poświęconą „policji żydowskiej” w getcie warszawskim. Ważne dla naszej historiografii są jednak również prace na temat zbrodni dokonywanych przez polskich sąsiadów w miasteczkach wokół Jedwabnego. Albo prace Barbary Engelking, Jana Grabowskiego czy Dariusza Libionki, poświęcone wydawaniu Niemcom ukrywających się Żydów. Trzeba w tym kontekście powiedzieć, że najpoważniejszą pracę nad poprawieniem polsko-żydowskich relacji wykonali polscy historycy.

To im właśnie zawdzięczamy wiarygodność i powagę, należną tym, którzy nie lekają się prawdy. Tyle że teraz okazuje się, iż wedle ekipy rządzącej była to jedynie forma „pedagogiki wstydu”, której celem było ukazanie Polaków od jak najgorszej strony. Z ustawy wynika, że mamy unikać wszystkiego, co trudne. Że lepiej nie nazywać rzeczy po imieniu.

Bez pojęcia

Wszystko w tej ustawie jest mętne, począwszy od wprowadzenia niejasnego prawnie pojęcia „Narodu Polskiego”. Można przecież przyjąć dwie wykładnie: polityczną i etniczną. Polityczna oznacza, że naród stanowią wszyscy obywatele państwa (chyba z roku 1939?), bez względu na religię czy przypisywaną sobie narodowość. W tej interpretacji Polakami są też Żydzi, Ukraińcy ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej, Litwini itd. Wedle etnicznej definicji Polakiem jest ktoś, kto ma czysto polskie korzenie, a minister sprawiedliwości polskość łączy dodatkowo z wyznaniem rzymskokatolickim. Z pewnością posłowie nie zadali sobie trudu zdefiniowania pojęć: wygląda na to, że gdyby Żydzi mówili źle o innych Żydach, polskich obywatelach, również byłiby narażeni na kary za znieważanie Narodu. Nie wiem także, co oznacza sformułowanie „rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni”.

Co więcej: wykładnię prawa zostawia się prokuratorowi. Nie sposób powiedzieć, co to jest owa działalność naukowa czy artystyczna, które nie będą poddane sądowym badaniom. Czy prawo do zajmowania się historią mają tylko absolwenci odpowiednich wydziałów ze stosownymi tytułami naukowymi? Niewiele jest książek równie odważnych i przemyślanych jak prace Anny Bikont o Jedwabnem i o Irenie Sendlerowej, ale czy ich autorka – posiadając tytuł magistra psychologii – będzie nadal mogła zajmować się tym, czym się zajmowała od lat, czy też zostanie – jako amatorka →

Synagoga w Sejnach



→ oskarżona o przypisywanie Narodowi Polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnię?

Trzeba jeszcze dodać, że wyjęte spod ochrony prawnej są działalność edukacyjna, kulturalna (np. wystawy!) i wydawnicza. Czy można sobie w tej sytuacji wyobrazić budowanie zbiorowej tożsamości, wiarygodne uczenie historii? Nie wiemy też, jak sobie prawodawca wyobraża stosowanie tego prawa wobec obcokrajowców.

Bez sojuszników

Polski parlament wysłał w świat jak najgorszy sygnał. Nie chroni dobrego imienia naszego kraju – raczej budzi podejrzenie, że coś jest z Polakami nie tak: że chcemy ukryć prawdę, a zamiast argumentów wybieramy sądy i więzienie. Można zrozumieć kary za negowanie Szoa, ale nie sposób sobie wyobrazić sądu, który będzie określać, czym jest fakt historyczny i jak należy go interpretować. Czysty absurd.

Reakcje światowe pokazują zresztą, jak błędnie nasi prawodawcy pojmują swoją rolę i odpowiedzialność w relacjach międzynarodowych. Zasięg w sieci tematu „polskich obozów śmierci” był ogromny: wyniósł między 23 a 28 milionów osób (w zależności od narzędzia badania) w ciągu kilku dni (dane za: Polityka w sieci), podczas gdy reakcja strony polskiej była prawie niesłyszana. To są szkody nie do naprawienia.

My w Polsce pewnie wiemy coś niecoś o niemieckiej okupacji, ale poza granicami kraju kampania informacyjna została doszczętnie przegrana. W prasie światowej pokazywane jest współczesne zdjęcie z Płaszowa z napisanymi na pomniku słowami: „Jude raus”. Mówi się dużo o żartach w telewizji publicznej panów Wolskiego i Ziemkiewicza, że Auschwitz był żydowskim obozem śmierci. Te gorszące słowa również nie będą zapomniane.

Nikt, zdaje się, nie wziął poważnie pod uwagę reakcji Jerozolimy i Waszyngtonu. Powiedzielibyśmy ostrzeżenie: rząd polski w istocie zaprzeczył własnym słowom i oszukał władze Izraela. Wypowiedź pani ambasador Azari w Auschwitz należy – wedle opinii prasy izraelskiej – czytać jako ostrzeżenie przed przyjęciem ustawy i zaproszenie do dalszych rozmów. Naszym władzom dano czas, by wydarzenia nie wymknęły się spod kontroli i by przed głosowaniem w Senacie podjąć rozmowy na temat nowelizacji. Premier Izraela kontaktował się w tej sprawie z premierem Polski. Po-
stanowiono, że rozpocznie się dialog między państwami, by znaleźć porozumienie i uniknąć konfrontacji. Izraelczycy próbo-

wali więc obniżyć temperaturę konfliktu: ambasador Azari nie udzielała wywiadów, nie była wzywana do swojego kraju na konsultacje. To Polska przyspieszyła prace legislacyjne. Dopiero gdy Senat przyjął nowelizację, Jerozolima zastosowała dodatkowe formy nacisku dyplomatycznego, m.in. odwołując w trybie nagłym wizytę w Izraelu szefa BBN, a także szukając (i znajdując) wsparcia w Departamencie Stanu USA.

Wiele organizacji żydowskich złożyło oświadczenia w tej sprawie, ale może najbardziej znaczące są słowa B'nai B'rith International: „Z najwyższym współczuciem odnosimy się do polskich frustracji związanych z użyciem terminu »polskie obozy śmierci«, ale przyjęte prawo daleko wykracza poza to zagadnienie. Jest to próba wyciszenia głosów ocalonych i ich rodzin. Jest kwestią niezwykle ważną, by każdy kraj skonfrontował się ze swoją bolesną historią i przykrymi epizodami w swojej przeszłości w sposób otwarty i uczciwy (...) W przypadku Polski oznacza to, że zobaczy historię antysemityzmu poprzedzającą Holokaust, a który przetrwał do dzisiaj”.

Słowa te nie są ani agresywne, ani też nie godzą w dobre imię naszego kraju – nie sposób więc pojąć, dlaczego zostały zlekceważone. Powołanie poniewczasie grupy do rozmów z Izraelem o wspólnej historii jest chyba nie najlepiej pomyślane. Nie powstała też reprezentacja polskich społeczników, edukatorów i historyków, którzy mogliby pokazać naszym ministrom i parlamentarzystom, co znaczy pojednanie i badanie wspólnej przeszłości. W tym kontekście przejmujące są słowa Bogdana Białka, który tak wiele zrobił na rzecz upamiętnienia żydowskich ofiar nazizmu, ale także ofiar pogromu w Kielcach: „Stała się rzecz najohydniejsza – dla małych egoistycznych celów politycznych używają milionów ofiar najstraszliwszej zbrodni nowożytnej historii, instrumentalizują niesłychane poświęcenie tysięcy bohaterów. Zmarnowali wysiłek tysięcy ludzi w miastach i miasteczkach, trud ratowania pamięci, budowania mostów, pokonywania wydawałoby się niepokonywalnego – niewysłowionego bólu. Cofnęliście nasz Kraj o dziesiątki lat – w epokę komunistycznego szowinizmu, sztygłego antysemityzmu, antyukraińskości i antynie miecką fobią”.

Bez zahamowań

Zbliża się 50. rocznica Marcy. W jej trakcie kluczowa będzie oczywiście rozmowa o polskim antysemityzmie. Po słowach

Ziemkiewicza i jemu podobnych wraca przekonanie, że czeka nas jeśli nie powtórka Marcy, to w każdym razie coś, co można nazwać jego echem. Polscy Żydzi mówią otwarcie o swoim lęku. Polacy za granicą (i nie tylko) wstydzą się za naszych antysemitów i tłumaczą, że bycie Polakiem czy Polką nie oznacza skażenia ową chorobą. Wiele wysiłku i wspaniałej roboty zrobiło Ministerstwo Kultury dla ochrony pamięci polskich Żydów. Czyżby ten wysiłek miał iść na marne?

Coś się zmienia w naszym kraju. Wydawać się mogło, że obłęd antysemicki ogranicza się do ekstremów w stylu Młodzieży Wszechpolskiej, ONR i podobnych faszystujących formacji. Władze także mówiły, że to są postawy skrajne, że nie wyrażają opinii większości Polaków. Bardzo stanowczą i mądrą odpowiedź na takie uspokajające głosy dał bp Tadeusz Pieronek w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”. „Ideologie, które wyznają narodowcy, są skierowane przeciwko drugiemu człowiekowi, jego wolności, tożsamości i zawsze są niebezpieczne. Zaczynają się zawsze od drobnych spraw, marginesu. Ktoś rzuca ziarno, a inny ktoś je podlewa. Ziarno nacjonalizmu powinno być natychmiast wypłenione” – powiedział. Biskup ostrzega: w Polsce rodzi się faszyzm. Czuć jego smród.

Niepokojąco przedstawiają się także wyniki badań socjologicznych na temat stosunku Polaków do obcych. Widać, jak rośnie poparcie dla języka wykluczania, niechęci, mowy nienawiści, które w dziwny sposób łączą się z przekonaniem, że Polska zasłużyła na lepszą ocenę w opinii światowej, z podtrzymywaniem dumy narodowej i obrazu odwiecznej polskiej szlachetności. Media publiczne i polityczne środowiska, od „Teologii Politycznej” po „Gazetę Polską”, stworzyły spójny ideologiczny przekaz, który uzasadnia uchwalenie nowelizacji ustawy o IPN. Ich język wyraża, można sądzić, opinię większości Polaków.

Bez wstydu

Dochodzimy do sedna sprawy: oto nadszedł moment, gdy wszystkie podejmowane dotąd przez polityków, kapłanów i autorytety intelektualne próby wyjaśnienia historii polsko-żydowskiej, a także wszystkie próby wyrażenia przeprosin, zostały ostatecznie odrzucone przez suwerena reprezentowanego przez PiS. On nie chce, by w jego imieniu ktoś przeproszał. Do władzy doszła kontrolita, która – posługując się retoryką bez-wstydu – wprowadza w Polsce wielką mentalną zmianę. Oni wiedzą, co robią, i dla potrzeb rewolucji czy kontrrewolucji (mniej o to, jak to

nazwiemy) są gotowi przeczekać wrogię – jak je nazywają – ataki z zewnątrz i wewnątrz Polski. Stawką jest tożsamość narodowa.

Można rzec: zrzucane są na naszych oczach maski pojednania, odrzucają się gesty i prośby o wybaczenie, akty skruchy. W ten sposób nie tylko ugruntowuje się rewolucję widoczną od dwóch lat, ale uzasadnia nowelizację ustawy, pokazując, że nowe elity gotowe są ponieść olbrzymie koszty, by zbudować Polskę i Polaków na swoje podobieństwo i wyobrażenie.

Bez skruchy

Ta ustawa z każdego – zdroworozsądkowego, etycznego i politycznego – punktu widzenia sensu nie ma. Nie dość, że nie zmieni historii, to pierwszy jej efekt jest dla nas katastrofalny. Co ciekawe, nie chodzi w niej tylko o to, by utrzymać silne poparcie, zdobyć władzę najpierw w samorządach, a potem w Sejmie. Zamyśl jest szerszy i daje się wyjaśnić jedynie w języku narodowej rewolucji, a ta oznacza w pierwszym rzędzie odebranie głosu i oparcia społecznego tym, których władza uważa za dawne elity, za wrogów Polski i wrogów ludu. Wiąże się z tym licencja na wyrażanie poglądów nieprawdziwych, często zawziętych, głupich i nieprzyjaznych Żydom.

Wykluczony zostaje tą ustawą język skruchy. Nie ma miejsca dla aktów wybaczenia i pojednania. Realizowany jest w całej dosłowności program Jarosława Marka Rymkiewicza, najwybitniejszego pisarza polskiej prawicy. Ale jeśli tak się dzieje, oznacza to nie tylko powrót do postawy defensywnej (bronimy się przed pomówieniami), godnościowej (dumni, niewinni Polacy) i agresywnej (winni są obcy), ale odejście od tego, co, moim zdaniem, stanowi kulturową i etyczną istotę europejskiego ładu.

Europa – inaczej niż Turcja czy Rosja – potrafiła się uczyć z przeszłości, umiała odkrywać swoje winy i brać odpowiedzialność za dawne błędy czy zbrodnie. Akt wybaczenia, podobnie jak zdolność do samokrytyki i sprawiedliwej oceny własnej przeszłości, należał i należy do jej tożsamości. Nowelizacja ustawy o IPN i narodowa ideologia neoautorytarna czynią nas nie tylko peryferiami tej wspólnoty kulturowo-etycznej, ale ukazują jako kraj obcy Zachodowi. Wrogi mojej Europie. ©

PAWEŁ ŚPIEWAK

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

prof. dr. hab. Jerzego Jedlickiego

jednego z najwybitniejszych współczesnych historyków idei,
laureata Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w 2015 r.
za fundamentalne studia nad fenomenem inteligencji jako warstwy społecznej
i jej rolę w procesach modernizacji w Europie Środkowo-Wschodniej.
Polska humanistyka poniosła wielką stratę.

Rodzinie i bliskim Profesora składamy szczere wyrazy współczucia

FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ

31 stycznia zmarł w Warszawie

prof. Jerzy Jedlicki

wybitny historyk i pisarz, badacz dziejów polskiej inteligencji,
laureat przyznawanego przez naszą redakcję Medalu św. Jerzego

Rodzinie i Bliskim Profesora
składamy wyrazy współczucia

Będzie nam Go bardzo brakowało

ZESPÓŁ „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Piotrowi Kosiewskiemu

składamy wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

Pogrzeb

Wojciecha Kosiewskiego

odbędzie się 8 lutego, o godz. 11.00,
na cmentarzu przy ul. Unickiej w Lublinie.

ZESPÓŁ „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



LUCAS VALLECILLOS / ZUMAPRESS / FORUM

Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie.

Niepamięć narodowa

DARIUSZ LIBIONKA, HISTORYK ZAGŁADY:

Polacy brali udział w zabijaniu Żydów. Mówimy o tym publicznie, ale nie wbrew faktom.

MICHAŁ OKOŃSKI: „Nie było żadnego udziału – ani Polski jako państwa, którego nie było, ani Polaków, pojmowanych jako Naród – w Holokauście”.

DARIUSZ LIBIONKA: Nie rozumiem.

To nie ja mówię, to pan prezydent. W Żorach, po wybuchu awantury.

Ale co to znaczy?! Co to znaczy „Polaków pojmowanych jako naród”?

„Naród” jest pisany wielką literą. Tym mniej rozumiem.

Czyli był udział?

Oczywiście. Znam kilkaset dobrze udokumentowanych przypadków udziału et-

nicznych Polaków w prześladowaniach Żydów na terenach okupowanych przez Niemców. Wydaje mi się też, że w czasie II wojny światowej polskie państwo jednak istniało. Był legalny rząd w Londynie, Rada Narodowa, a w kraju Państwo Podziemne. Działały cztery główne partie, był pion wojskowy, czyli ZWZ-AK, i pion cywilny, czyli Delegatura Rządu.

Mordowani Żydzi to polscy obywatele.

I oczywiście polski rząd przeciwko nim nie występował i nie uczestniczył w ich mordowaniu. Tylko że nikt tak nie twierdzi. Nikt nie zarzuca państwu polskiemu, rządowi emigracyjnemu, AK czy Delegaturze, że uczestniczyły w zaplanowanym

niemieckim mordzie. Nowelizacja ustawy o IPN to jest walka z fantazmatami, rozpętana nie wiadomo po co i jeszcze te fantazmaty wzmacniające.

Prezydent Duda czy premier Morawiecki mówią o „Żegocie”, ale ta organizacja powstała pod koniec akcji wysiedleńczej, kiedy Żydów w warszawskim getcie pozostało zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Do tego czasu polskie państwo nie miało strategii obrony i pomocy Żydom – polskim obywatelom, jak pan słusznie zauważył.

Możliwości były niewielkie.

O to też nie ma sporu: Polacy nie mogli zapobiec np. likwidacji getta warszawskiego. Historyk Libionka z Polski i historyk Gutman z Izraela powiedzą to samo: nie dało się zatrzymać nazistowskiej maszyny Zagłady. Ale też mało kto myślał, że można przynajmniej próbować działać doraźnie.

Jest słynny apel Zofii Kossak-Szczuckiej.

Pisarki drugorzędnej, antysemitki pierwszorzędnej. Ukazuje się w podziemnej gazecie, którą wydaje sama autorka, kiedy nie ma jeszcze oświadczeń delegata rządu czy dowódcy AK. I nie mówi o pomocy Żydom,

tylko o tym, że trzeba protestować, przezwyciężać milczenie. Pamiętając cały czas, że Żydzi są naszymi wrogami. Dopiero we wrześniu 1942 r. pojawia się w centralnej prasie konspiracyjnej oświadczenie Kierownictwa Walki Cywilnej, napisane przez Stefana Korbońskiego i potępiające Zagładę w imieniu społeczeństwa – a masowe mordy rozpoczęły się na początku roku.

Mamy więc problem adekwatności reakcji Polaków na Zagładę i problem komunikacji z Londynem. Są depesze, relacje kurierów, ale treści odnoszące się do losu Żydów nie mają znaczenia priorytetowego. Wokół misji Karskiego nie można tworzyć – co robił np. premier Morawiecki w wystąpieniu telewizyjnym – mitu, że oto Polacy próbowali obudzić sumienia, ale bili głową w mur, bo wszyscy inni byli obojętni. Z punktu widzenia rządu, podobnie jak podziemia w kraju, temat eksterminacji Żydów nie był pierwszorzędny i pewnie trudno się dziwić – najważniejsze było odzyskanie niepodległości, kwestia suwerenności, granic, stosunków ze Związkiem Sowieckim i później Katynia. Oraz terror w stosunku do etnicznych Polaków, których oczywiście postrzegano inaczej niż Żydów.

„Żegota”?

To była niewielka organizacja, która powstała spontanicznie. I była, o czym się często zapomina – polsko-żydowska. Duża część dotacji na jej działalność przychodziła od organizacji żydowskich z zagranicy.

Były też dotacje Delegatury Rządu.

Chyba nie powinniśmy ich traktować jako wielkiego gestu. Przecież chodziło o pomoc obywatelom polskim, którzy przed wojną płacili podatki, służyli w armii polskiej w 1939 r., byli wywożeni przez Sowietów w 1940 r. i 1941 r., walczyli w armii na Zachodzie. Pomaganie im było obowiązkiem państwa.

Dziś mówimy o nich jak o obcych.

Tak byli traktowani. Mamy też problem stosunku podziemia do Żydów: Żydzi służyli w armii polskiej w Związku Sowieckim, w Anglii i Szkocji, a nie było ich w AK. Jeśli byli, to na aryjskich papierach, ukrywając się przed Polakami.

Były rozkazy, żeby nie przyjmować?

Tak. Żeby nie przyjmować żadnych mniejszości narodowych. Nastroje antysemickie były bardzo silne. Raportował o tym Karski, pisali przywódcy podziemia. Nawet gdyby generałowie Rowecki czy Komorowski chcieli, w dołach AK-owskich spotkałoby się to z negatywnymi

reakcjami. W Szkocji w 1944 r. dochodzi do licznych dezercji Żydów, wywołanych antysemityzmem polskich kolegów. Podczas powstania warszawskiego również mamy ten problem: Żydzi funkcjonujący w AK nie ujawniali swojego pochodzenia, a niewielki oddział Żydowskiej Organizacji Bojowej wszedł w skład Armii Ludowej, bo w AK nie było na to warunków.

Był kontekst: zachowanie części społeczności żydowskiej na wschodnich terenach Rzeczypospolitej po wkroczeniu armii sowieckiej.

W Polsce okupowanej motyw „zdrady” Żydów był istotny, pojawiał się zwłaszcza w prasie prawicowej. Służył jako alibi dla pogłębiania dystansu i różnych zaniechań. Ale polski antysemityzm nie zaczął się w roku 1939 r.

A dlaczego nie można mówić o „systemowym udziale” w walce z Holocaustem?

Mówiłem już, że „Żegota” powstała spontanicznie. A we wrześniu 1941 r. generał Rowecki wysłał do Sikorskiego depeszę, w której pisał, że Londyn „przesadza w miłości do Żydów”. Na co Sikorski odpowiedział, że „Grot” musi zrozumieć, o jaki świat walczą alianci – że chodzi o wartości demokratyczne.

Jest także stale obecna sprawa statusu Żydów po wojnie. Większość partii jest zdania, że trzeba ich będzie zmusić do emigracji i że nie ma powrotu do sytuacji sprzed wojny. Oczywiście to, co robią Niemcy, jest paskudne, i my to potępiamy, ale nasza ludność już weszła w miejsce „opróżnione” po Żydach. I jeśli powojenny rząd spróbuje to zmienić, będzie miał problemy. Każdy rząd.

Ale zgodzi się Pan ze zdaniem, że „nie było żadnego wsparcia systemowego ze strony polskiej dla Holocaustu”?

Oczywiście. Ale nikt tak nie twierdzi.

Twierdzi tak fantomowy, bo chyba nie realny Jan Tomasz Gross. Wiceminister Jaki i posłanka Pawłowicz mówią, że jeśli w ramach swojej działalności publicystycznej coś „chłapnie”, to dzięki ustawie o IPN będzie go można ścigać.

Jesteśmy wielkim krajem, który wstał z kolan, i takie rzeczy wygadujemy? Najgorsze jest to, że ci ludzie niczego nie przeczytali. Krytykują nas, ale nie znają naszych książek.

Pan prezydent chyba zna, bo powiada tak: „Oczywiście nie mówię, że nie

było ludzi niegodziwych. Byli ludzie, którzy sprzedawali nawet za pieniądze swoich sąsiadów. Tak, byli, przynajmniej, ale to nie naród polski, tylko pojedynczy ludzie, to nie była żadna zorganizowana akcja, to były po prostu przypadki podłości”... Dalej mowa o sprawiedliwych i ratujących.

Tak. I ci sprawiedliwi to jest naród polski, a ci, co mordują i wydają – nie. Malinowski, który chowa Żyda w chlewiku za pieniądze, jest narodem, a Kowalski, który innego Żyda morduje przy użyciu pały, już do narodu nie należy. W aktach powojennych procesów dotyczących mordów na Żydach można znaleźć świadectwa poparcia, jakie oskarżeni mieli w społecznościach lokalnych – np. listy w ich obronę. Ci, co zabijali, z punktu widzenia sąsiadów nie byli renegatami. Nie mówię już o tym, że wyłapywanie Żydów na prowincji to były nieraz całe spektakle. Znęcanie się nad złapanymi na oczach wsi... Jak można mówić, że to wszystko nas, jako narodu, nie dotyczy? Przecież ci ludzie nie zostali wykluczeni ze wspólnoty. Przeciwnie: po odbyciu wyroku wracali między swoich.

Na jakiej podstawie Pan tak twierdzi?

Na podstawie badań. Skończyłem niedawno kwerendy dotyczące powiatu miechowskiego, największego w Generalnym Gubernatorstwie. Zachowało się tam wiele unikatowych źródeł, np. ogromny korpus dokumentów AK, gdzie jest sporo zapisów na temat traktowania uciekinierów z gett przez polską ludność i podziemie. Analizowałem dokumenty z posterunku policji granatowej w Brzesku Nowym. W dwóch etapach, na początku września i w listopadzie 1942 r., Niemcy prowadzą akcję likwidacyjną, której specyfiką jest to, że używają do niej Polaków: policji granatowej i oddziałów Baudienstu, służby budowlanej, do której przymusowo wcielano młodych ludzi. Kilkuset takich młodzieńców otacza domy, dostarcza ich mieszkańców do miejsc koncentracji (węzłów kolejowych Miechów, Słomniki i Wolbrom), wyłapuje uciekinierów. Na „straszne używanie” junaków z Baudienstu do likwidacji Żydów skarżył się Hansowi Frankowi abp Sapieha 2 listopada 1942 r. Miał informacje również z Miechowskiego.

Ilu Żydów próbowało ucieczki?

Zachowała się lista nazwisk 70 osób odprowadzonych przez policję granatową z Nowego Brzeska na posterunek niemieckiej żandarmerii w Miechowie. Zachowały się też księgi zatrzymań – na początku wpisywano do nich Żydów złapanych →

→ np. przez strażaków, potem policjanci przestali się zajmować takimi szczegółami. Są też pisma informujące o odprowadzaniu kolejnych grup Żydów, już bez nazwisk. Przed akcją mieszkano tu ok. 900 Żydów. Ucieczki próbowała połowa.

Niemców tam nie było?

Na cały ogromny powiat były tylko trzy posterunki żandarmerii, kilkadziesiąt osób, z czego większość to folksdojcz, dawni polscy żołnierze czy policjanci, dobrze dogadujący się z ludnością miejscową. Jedynie podczas akcji likwidacyjnych pojawiały się większe siły policyjne z Krakowa. Potem działali wyłącznie miejscowi żandarmi, Sonderdienst, złożony też z folksdojczów, i granatowi.

Co się dzieje z uciekającymi?

Po pierwszej akcji wysiedleńczej uciekinierzy, którzy przetrwali oblawy, wracają do miejsc zamieszkania – Niemcy zezwalają. Druga fala ucieczek następuje w listopadzie, podczas „ostatecznej likwidacji”. Problemem jest pogoda i znalezienie schronienia. Większość złapano w pierwszych dniach.

A ci, którym udało się przetrwać?

Są przedmiotem polowań: niemieckiej żandarmerii, polskiej policji granatowej i gorliwów spośród ludności miejscowej. Wieś jest początkowo skora do pomocy znajomym, z czasem ulega to zmianie.

Wszystko to dalej można sprowadzić do formułki: Niemcy i niemieccy kolaboranci. Poza nawiasem narodu.

Ale w polowania angażują się też członkowie konspiracji. Część granatowych policjantów ma zresztą związki z konspiracją. Nie wszyscy są zdemoralizowani albo wykonują niemieckie rozkazy.

Z moich badań wynika, że Żydzi, którzy przetrwali, przetrwali dlatego, że udało im się znaleźć schronienie niemal od razu. Większość jednak zginęła, albo została zabita przez miejscowych, albo doprowadzona przez nich na posterunki policji. Po wojnie kilkadziesiąt z tych przypadków było przedmiotem procesów, w których oskarżonymi byli policjanci, sołtysi, ale też zwykli gospodarze i członkowie konspiracji.

Na to z kolei można rzec: powojenne procesy są niewiele warte, bo zeznania wymuszali komunistyczni oprawcy.

Czytamy te zeznania ostrożnie, ale ich wartość poznawcza jest ogromna. Dla sądu ważne było to, czy zabił Kowalski, czy Malinowski, czy Nowak. My się dowiaduje-

DARIUSZ LIBIONKA:

To przerażające:
nie interesuje nas zniknięcie
trzech milionów ludzi,
tylko „nasze” zachowanie
wobec tego faktu.

my przede wszystkim, że ktoś – taki też miał nazwisko i imię – stracił życie. Mówimy o tym publicznie, ale nie wbrew faktom. To się zdarzyło.

A kim były ofiary? Dzieci, kobiety, osoby starsze. To nie sytuacja wyższej konieczności, jak na wojnie: że czasem ginie ktoś niewinny. Tomasz Strzembosz mówił podczas debaty o Jedwabnem, że nie ma wytłumaczenia dla mordowania kobiet i dzieci.

Ile takich imion i nazwisk Pan ustalił?

Przebadałem kilkadziesiąt ludzkich historii z terenu powiatu miechowskiego. Większość uciekinierów zamordowano. Udział Niemców był niewielki. Najczęściej stanowili ostatnie ogniwo – Żydów łapano, doprowadzano do aresztu gminnego, stamtąd na posterunek policji granatowej. Mogli zostać rozstrzelani na miejscu albo przekazani żandarmom. Czasem wzywano policję tam, gdzie się ukrywali.

Mówi się niekiedy, że Polacy zabili – i tu padają różne szacunki – kilkadziesiąt tysięcy czy ponad sto tysięcy Żydów. To nie tak. Ja mówię inaczej: brali udział w zabijaniu. Przyczynili się do ich śmierci. I staram się nie generalizować.

Byli „pomocnikami śmierci”, jak w wierszu Miłosza?

W takim wielkim powiecie widać w zasadzie wszystko. Pomoc. Brak pomocy. Obojętność. Zbrodnie. Konkretni Niemcy, konkretni Polacy, konkretni Żydzi. Nie da się tej historii opowiedzieć, skupiając się tylko na Niemcach. Dużo więcej Żydów mogłoby się uratować, gdyby nie postawa polskiego otoczenia i antysemicki klimat. Rolą historyka jest zdanie relacji – więc zdaje.

Tylko zdanie relacji?

Także próba zrozumienia i przedstawienia pełnego opisu. Ważne wydają mi się te dokumenty AK. Jeśli nastroje ludności ocenia ukrywający się Żyd albo mówi o nich po latach mieszkańiec wsi, ma to jednak inną wagę niż świadectwo wywiadowcy

organizacji podziemnej czy oficera sporządzającego raport.

I co oni piszą?

W 1942 r. opisują np. reakcje na eksterminację i likwidowanie skupisk żydowskich. Jeśli piszą o pomocy, to ze strony komunistów. Dominuje obojętność z odcieniem negatywnym. No i jest wielki temat majątku: nadziei na możliwość wzbogacenia się. To nie są rzeczy nowe. Opisywałem kiedyś, jak prasa podziemna relacjonowała wydarzenia w okolicach Warszawy – Otwocku, Legionowie, Falenicy, Stoczku. Przerazeni AK-owcy obserwują, jak ludność rzuca się na opuszczone domy i sklepy, i nie mogą nic z tym zrobić, poza ewentualnie napiętnowaniem w podziemnej gazetce. Ale nie wszyscy czytają gazetki...

A przedstawiciele konspiracji wobec ukrywających się Żydów?

Nie jest to budująca historia. W raportach kontrwywiadu Inspektoratu Miechowskiego AK i meldunkach są zapisy o kilkunastu morderstwach dokonanych przez członków organizacji konspiracyjnych – również PPS i NSZ. W miejscowości Rędziny-Borek w zabójstwo sześciorga Żydów angażuje się dowódca placówki AK. Stwierdzono, że ukrywający się stanowią zagrożenie dla organizacji i na tej podstawie wydano rozkaz egzekucji. Ma ją wykonać oddział Kedywu o kryptonimie „Dominika”. Kilku członków oddziału dopuszcza się przy okazji rabunku. Sprawa wychodzi na jaw. Jeden z żołnierzy – znany z niesubordynacji – zostaje na postrach rozstrzelany. Ale całej akcji nie potępiono, potępiono tylko kradzież zegarków i portfeli.

Może ukrywający się Żydzi faktycznie stanowili zagrożenie?

Czasem mogli stanowić. Było to jednak bardzo uznaniowe. W tym przypadku nadużycie jest oczywiste, ale dowództwo przymyka oko. Podobnie było w przypadku innych incydentów antyżydowskich, o których raportuje kontrwywiad AK.

W okolicach Proszowic Żydów – ukrywanych przy pomocy krakowskiej siatki „Żegoty” – morduje człowiek związany z PPS, który brał pieniądze na pomoc i wykorzystywał ukrywanych. Z ok. 20 osób, które próbują znaleźć ocalenie, część zabijają członkowie AK, a część właśnie ów PPS-owiec. Dzieje się to w okresie konsolidowania podziemia i AK-owcy opierają się przed wcieleniem miechowskiego oddziału PPS-u, uważając go za jednostkę bandycką. A PPS-owcy skarżą się do delegata rządu w Krakowie, że to AK-owcy mordują Żydów.

Wedle Piotra Zaremba, jeśli w przyjaźnym niegdyś Yad Vashem utrwalilo się przekonanie, że podczas wojny setki tysięcy Żydów zginęły z rąk albo z winy Polaków, to „dopomogła w tym także grupa polskich historyków z Centrum Badań nad Zagładą Żydów”. **Niedobrze z Wami, Libionka.**

Tak, wiem, jestem piątą kolumną. Ale jeśli ja jestem piątą kolumną, to Zaremba jest członkiem grupy rekonstrukcyjnej, która odgrywa redakcję „Trybuny Ludu” z Marca '68. W sam raz na 50-lecie.

Czyli gdyby prezydent albo premier jakimś cudem chcieli się Pana poradzić, toby Pan powiedział...

...że nie ma światowego spisku, który posługuje się frazą o „polskich obozach” w jakichś niecnym celach. Rzeczywiście pojawiają się takie sformułowania i lepiej żeby ich nie było, ale obecna reakcja władz to strzelanie z armat do wróbli. Nikt nie wmawia Polakom, że stworzyli Auschwitz czy Treblinkę. Przede wszystkim powiedziałbym jednak, że ofiary były polskimi obywatelami i nie można pamięci o nich traktować instrumentalnie.

Czytałem Pana książkę o Zagładzie Żydów w Generalnym Gubernatorstwie. Opis napędzanej przez Niemców maszyny. O roli Polaków w trzeciej fazie Zagłady raptem kilka stron.

W książce o Zagładzie wątek polski musi pozostać na obrzeżach. Jest kluczowy jedynie dla zrozumienia, jakie szanse przeżycia mieli Żydzi uciekający spod kół niemieckiej maszyny. Ale jest też pewnie kluczowy dla naszej dzisiejszej kondycji. To właściwie przerażające: nie interesuje nas zniknięcie trzech milionów ludzi, tylko „nasze” zachowanie wobec tego faktu.

Gross pokazuje skalę wyparcia problemu z polskiej świadomości.

Tylko że, także za jego sprawą, przez ostatnich kilka dekad sytuacja się normalizowała. Zagładę udawało się włączyć w naszą historię. To już nie były, jak pisała moja nauczycielka Krystyna Kerstenowa, prawda polska i prawda żydowska.

Ja nie jestem od potępiania. Po prostu opisuję. Kto, kiedy, dlaczego, jak to było odebrane. Kontrwywiad AK interesował się sprawami mordów na Żydach, ale na terenie Miechowskiego nie spotkałem się z informacją o postawieniu kogoś w stan oskarżenia. Czy to znaczy, że AK mordowała Żydów? Nie, to byłaby generalizacja. Kilku opisanych przeze mnie członków AK, niewielki procent członków konspi-



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCIA GAZETA

PROF. DARIUSZ LIBIONKA (ur. 1963) jest członkiem Centrum Badań nad Zagładą Żydów i kierownikiem działu naukowego Państwowego Muzeum na Majdanku. Ostatnio opublikował „Zagładę Żydów w Generalnym Gubernatorstwie”. Tekst o badaniach w powiecie miechowskim ukazuje się wiosną w wydanej przez Centrum pracy zbiorowej pt. „Dalej jest noc”.

racji na tych terenach. Kiedy liczę zbrodnie z udziałem członków PPS czy Ludowej Straży Bezpieczeństwa, wychodzi mi liczba około 70 ofiar. Około, bo byli też niezna- ni sprawcy.

A ilu Żydów ocalało w tym powiecie?

Ustaliłem 195 osób. Mogło być więcej. Rzecz w tym, że oni byli naprawdę dobrze ukryci i mogli się uratować, gdyby nie tych kilkudziesięciu facetów z bronią. Dla mnie to pozwala na uznanie, że podziemie na tym terenie było z punktu widzenia ukrywających się Żydów zagrożeniem.

A nie że co czwarty Żyd, który mógł się uratować, został zabity przez Polaka?

Tego się nie da tak powiedzieć. Na innych terenach, choć niechęć do Żydów była pewnie podobna, przypadki mordów mogły być rzadsze, albo nie ma źródeł.

Konspiracja to stan nienormalny. Jest taki raport oficera inspekcyjnego o działaniach Kedywu w Miechowskim – że nie trzymają się zasad konspiracji i że ich działania miewają charakter bandycki.

Tę historię też można opowiedzieć na dwa sposoby. Pierwszy: osoby działające w imieniu państwa polskiego popełniają akty bandytyzmu. Drugi:

osoby działające w imieniu państwa potępiają i ścigają akty bandytyzmu.

Problem utrzymania dyscypliny był gigantyczny. W Miechowskim w 1944 r. coraz więcej ludzi ma broń. Pojawia się alkohol, dochodzi do kradzieży i gwałtów. Sądy AK skazują za bandytyzm, najczęściej na śmierć.

Tej historii nie można oddawać politykom. Banał po jednej stronie spotyka banał i nieprawdę po drugiej, i mamy awanturę na cały świat. PiS nie odda ani guzika pod dyktando Izraela, Izraelczycy są wściekli i czasem też opowiadają bzdury.

A Pan uprawia pedagogikę wstydu.

Nie. Po pierwsze, piszę o pomagających, o Sprawiedliwych. Po drugie, nie uprawiam w ogóle żadnej pedagogiki. Opisuję fakty, w których na pierwszym planie tak czy inaczej muszą pozostać Niemcy. Na 150 stron tekstu, o którym tu rozmawiamy, rozdział o zbrodniach podziemia liczy stron 10.

Poza tym to są niszowe prace w niewielkich nakładach. Wstydić powinni się raczej ci, którzy bałamuca opinią publiczną, albo politycy, którzy mówią to, co wydaje im się, że ludzie chcą usłyszeć.

Musi się Pan czuć bardzo samotnie.

Mam swoje środowisko, Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Mam kolegów w lubelskim środowisku akademickim, pracujemy właśnie nad utworzeniem portalu historycznego. PiS uruchomił w ludziach potrzebę bycia razem i działania.

Z mojej perspektywy dzisiejsza awantura wygląda tak, jakby kilkunastu lat Pana pracy nie było.

Jestem góraliem z Bielska, robię swoje. Nie odpuszczam.

Nawet jak wydaje Pan opinię jako biegły w procesie hajlującego neonazisty, a sąd i tak uznaje, że postąpił w sposób zgodny z rzymskim pozdrowieniem?

Jednak czasem sąd uznawał, że popełniono przestępstwo – skazał np. ONR-owców hajlujących na Górze św. Anny w rocznicę powstania śląskiego, którzy podłączyli się wówczas do oficjalnych obchodów. Jedna z komórek ONR-u została rozwiązana, a co ważniejsze: publicznie przestali hajlować. Kilkanaście lat temu chodzili przez polskie miasta, wznosząc ręce w nazistowskim pozdrowieniu. Teraz chodzą dalej, ale nie wznoszą.

Na samochodzie Pana żony nasmarowano swastykę, próbowano Wam

→

→ **wrzucić bombę przez okno. Bał się Pan?**

Było to nieprzyjemne. Rodzina miała poczucie, że musimy uważać, idąc wieczorem na spacer z psem. Ale np. IPN zachował się bardzo ładnie, ówczesny prezes Łukasz Kamiński przysłał mi piękny list. Policja i ABW działały bez zarzutu.

Co mnie natomiast zdziwiło: moja 13-letnia wtedy córka chodziła do szkoły i żaden z nauczycieli nie zająknął się nawet w kwestii tego, czy nie potrzebuje pomocy. Żona prosiła, żebym przestał pisać opinie dla sądów... Trochę z tego mi się przypomniało, jak przeczytałem słowa Piotra Zaremby: za słowami mogą przecież pójść czyny. Różni ludzie wiedzą, gdzie mieszkam, bo ich adwokaci zawsze dostają pisma z adresami biegłych.

Kim byli Polacy w historii Zagłady? Odwołując się do triady Raula Hilberga, ofiary, sprawcy, świadkowie? Czasem ofiarami? Często ofiarami.

Czasem sprawcami?

Czasem sprawcami. Jedno drugiego nie wyklucza: można być katem i ofiarą. Można być świadkiem, gapiem, obserwatorem obojętnym i zaangażowanym, bezradnym i cieszącym się po cichu, że Hitler załatwia za nas problem...

Jako historyk opisuję takie przypadki. Nie jestem edukatorem ani terapeutą.

I może Pan nie brać pod uwagę, że historia staje się narzędziem polityki?

Staram się nie brać. Znałem Tomka Mertę, który jako jeden z pierwszych zaczął mówić o polityce historycznej – razem studiowaliśmy w Szkole Nauk Społecznych w Warszawie – i moim zdaniem jednak nie chodziło mu o zakłamywanie historii. Wiedział, jakie to skomplikowane.

Zginął w katastrofie smoleńskiej, nie zapytamy go o zdanie.

Zanim zginął, mieliśmy debatę o Jedwabnem, która polskiej pozycji nie osłabiła – przeciwnie, wyszliśmy z niej wzmocnieni, jako ci, którzy zmierzili się z trudną przeszłością. Mam wrażenie, że Polska miała wtedy fantastyczną prasę, mówiono o naszej dojrzałości, odwadze... Od tamtego czasu, owszem, na polskim pomniku pojawiły się kolejne rysy, ale przecież nie usunie się ich, nakładając na pomnik wazelinę. ©

Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Inny głos Izraela

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Konflikt wokół ustawy o IPN najbardziej boli tych Izraelczyków, których korzenie są w Polsce. Patrzą przecież, jak niszczy coś, nad czym wielu z nich pracowało przez lata.

H. MÓWI, ŻE PODA SIĘ DO DYMISJI, BO jego praca na rzecz przyjaźni polsko-izraelskiej poszła na marne. L. liczy na prezydenta Dudę. K., ocalona, Żydówka-katoliczka, śledzi internetowe profile księży i szuka pocieszenia (nie znajduje). M. posmutniał, mówi, że czuje się jak wtedy, w marcu '68. L., optymistka po uszy zakochana w Polsce, przyznaje, że tym razem nie wie, co o tym wszystkim myśleć.

Polskich Żydów w Izraelu boli chyba najbardziej. Ocalonych, tych, którzy przyjeżdżali tu w latach 50., za alii gomulkowskiej, i tych z marca '68, którzy przez lata nie stracili z krajem kontaktu. W mieszkaniach północnego Tel Awiwu czy Jerozolimy oglądają TVP, przeglądają internetowe wydania gazet, są na bieżąco. Dziś – jak nigdy dotąd – rozdarci.

Nic dziwnego, że gdy w ubiegłym tygodniu przez Izrael przetoczyła się fala krytyki wobec Polski, tłumaczyli, o co chodzi każdej ze stron. Jako Izraelczyków boli ich to, czego polski rząd zdaje się nie rozumieć: że tutaj Holokaust jest najdrażliwszym tematem, a umieszcza się go w kontekście szalejącego wówczas w Europie – także w Polsce – antysemityzmu. Że jest struną, której poruszenie wywołuje lawinę emocji. Takich, którymi łatwo manipulować.

Gdy doszło do nowelizacji ustawy o IPN, w Izraelu nie zostawiono na Polsce suchej nitki – choć niemal wszyscy komentatorzy przyznawali, iż sama walka z krzywdzącymi określeniami typu „polskie obozy” jest słuszna. Szerokim echem odbiły się wieści o antysemickich żartach w TVP, a także o apelu ambasady Izraela o zaprzestanie skierowanych w nią słownych ataków.

Ta reakcja o 180 stopni odwróciła przesłanie, na którym zależało Warszawie: utrwaliać mit Polaka-antysemity. Tylko jedna gazeta zauważyła, że akurat w tym momencie w Yad Vashem odbyła się ceremonia wręczenia pośmiertnego tytułu Sprawiedliwych trójce Polaków: Sabinie i Janowi Dziadoszom oraz ich synowi Aleksandrowi.

Choć nie zabrakło także publikacji prezentujących polską wrażliwość. „Jerusalem Post” przekonywał, że nowelizacją ustawy Polska nie zaprzecza Holokaustowi, i że ma prawo do oburzenia, gdy ktoś zarzuca jej współodpowiedzialność za Zagładę. „Haaretz” zauważał, że dzięki wysiłkom prawicowego rządu Sprawiedliwi otrzymali w Polsce wreszcie taki respekt, na jaki zasługują. Juli Tamir, była minister edukacji, wspominała na tych samych łamach spotkanie z Lechem Kaczyńskim: nazwała je „lekcją człowieczeństwa” i pytała, czy Izraelczycy na pewno rozumieją – i chcą zrozumieć – pełny obraz polskiej historii.

Podczas wizyty premier Szydło w Izraelu, w listopadzie 2016 r., we wspólnym oświadczeniu wyrażono sprzeciw wobec „wszelkich prób wypaczania historii narodów żydowskiego lub polskiego” i mówiono o stosowaniu „błędnych kodów pamięci, takich jak »polskie obozy śmierci«”. Wydawało się, że oba kraje mówią jednym głosem.

Izrael liczył jednak, że ustawa nie ujrzy światła dziennego w takiej formie. Nie do końca też rozumiał polską determinację w jej tworzeniu – bo aby to zrobić, musiałby wnikliwie wejrzeć w polską wizję historii. Sprawa wróciła (tuż przed dniem pamięci o ofiarach Holokaustu!) w kontekście politycznego wyścigu o używanie historycznych symboli między premierem Netanjahu a jego rywalem, Yairem Lapidem.

Reakcja na polską ustawę była więc wypadkową i terminu jej procedowania, i wewnątrzizraelskich rozgrywek. Paradoksalnie w dniu pamięci o ofiarach Zagłady to właśnie prawda o nich musiała ustąpić miejsca polityce. Zaskoczeniu polskiego rządu trudno się dziwić: w obliczu tak dobrych relacji z Izraelem, wzmacnianych uczestnictwem członków Kneseetu w kolejnych wydarzeniach z udziałem polityków PiS i o. Rydzyka, mogło się wydawać, że przyjaciel nie zażąda nagle czegoś, o czym już – wolno było sądzić – zapomniał. Ale pamięć jest w polityce krótka i wybiórca. ©



„TP” 5/2018

Lekcja historii

Chciałbym podziękować Michałowi Okońskiemu i redakcji „TP” za tekst „Historia pewnego kłamstwa”. Dla mnie, jako młodego czytelnika „Tygodnika”, urodzonego w 1992 r., który dotychczas nie poświęcał przeszłości należnej uwagi, artykuł ten stanowi lekcję historii ukochanego

pisma i polskiego Kościoła. Inspirująca była dla mnie możliwość bliższego poznania postaci Jerzego Turowicza. Przywołane w tekście wydarzenia polityczne i sposób, w jaki reagowała na nie redakcja „TP”, przypominają prawdę, która często nam umyka – przeszłość to jutro, tyle że dziś. Na naszych oczach pisana jest najnowsza historia Polski i Europy. Warto się w ten proces włączać, warto reagować, warto nie być obojętnym. W czasach, gdy brak zdania i wyrazistych poglądów stanowi częstą reakcję na polityczne zawirowania, historia „Tygodnika” jest świadectwem, jak istotne jest wierne trwanie przy wyznawanych wartościach. Ogromnie poruszyły mnie zacytowane w tekście słowa

ks. Adama Bonieckiego, które rozumiem następująco: trwanie przy swojej racji, choćby prowadziło do sporu, nie musi i nie powinno prowadzić do podziałów. Jak słusznie zauważył autor tekstu, słowa te wybrzmiewają z nową mocą po wydarzeniach roku 2010 i 2015. Jakiś czas temu doszedłem do smutnej konkluzji, że porozumienie z osobami popierającymi zmiany ustrojowe w Polsce nigdy nie będzie możliwe, ponieważ dzieli nas rozumienie tego, czym jest demokracja. Słowa ks. Bonieckiego, wplecione w historię relacji „Tygodnika” z Janem Pawłem II, stanowić mogą zaproszenie do odkrywania, że „można się w ważnych sprawach różnić, można się o nie spierać, a jednocześnie darzyć się szacunkiem. Bo

spór – jak się okazuje – nie musi ludzi dzielić, jeśli towarzyszy mu wzajemne zaufanie i niezachwiana pewność, że to, co najważniejsze, jest dla stron sporu wspólne, i że silniejsze jest mimo wszystko to, co łączy”.

PAWEŁ GAJDA

Sprostowanie

Dotyczy noty ze str. 9 ostatniego numeru „TP” (6/18): „Lewa ręka ciemności” należy do cyklu „Ekumeny” (lub cyklu Haińskiego), a na język polski przełożył ją Lech Jęczyk. Stanisław Barańczak tłumaczył „Czarnoksiężnika z Archipelagu”, pierwszą część cyklu „Ziemiomorza” (w genialnym przekładzie Barańczaka – „Światomorza”).

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

REKLAMA

♥
Bilet
na Walentynki

PRESTIGEMJM.COM
EBILET.PL, EMPIK

**EMELI,
SANDÉ**

KONCERT

2018
**02
22**

ICE KRAKÓW
Congress Centre



Prestige
10
MJM



wprost

RZECZY

GLAMOUR

GAZETA BANKOWA

T3

onet

pap

cgm.pl

JAZZ

Multikino

empik

PRESS SERVICE

VIXON

PAWEŁ

Śpiewak: Przybycie królowej Saby



FRESK PIERA DELLA FRANCESCA Z KOŚCIOŁA franciszkanów w Arezzo „Król Salomon i królowa Saby” odnosi się do Księgi Królewskiej oraz Ewangelii Mateusza. Mowa o królowej z południa, która spotkała się z Salomonem, by słuchać jego mądrości, a miała jej więcej niż on. Fresk nosi też nazwę „Adoracja Świętego Krzyża”.

W kładce nad rzeką Siloe zobaczyła królowa belkę, na której miał umrzeć zbawca. Na pierwszym panelu fresku widać rozmłodną królową, jej służki i dwóch zagadanych giermków, którym nie dane zostało mistyczne przeżycie ich władczyni. Na kolejnym panelu dworzanie Salomona i kobiety z otoczenia królowej znajdują się w pałacu o geometrycznej kompozycji. Król trzyma w swojej dłoni dłoń kobiety, jakby przed chwilą zawarli ze sobą małżeństwo. Salomon patrzy na lekko pochyloną królową. Ona prorokuje i mówi mu o belce z krzyża oraz zapowiada, że razem z Jezusem skończy się czas Izraela.

Skąd owo spotkanie dwojga władców? Wedle legend (midrasz) żydowskich poznali się dzięki pustynnemu kogutowi, który odkrył istnienie arcybogatej afrykańskiej krainy ze stolicą w Kitor. Tam leżało wyjątkowe na świecie państwo Saba, które nie podlegało Salomonowi i nie wykonywało jego rozkazów. Gdy dowiedział się o tym Salomon, napisał do królowej list z zaproszeniem, ostrzegając, że jeśli nie przyjedzie, zniszczą jej kraj ptaki z nieba, jeźdźcy konni, duchy i diabły. Panował bowiem nad całą przyrodą, a nawet nad siłami zła. Królowa zdecydowała się na natychmiastową podróż i po trzech latach w otoczeniu liczego dworu, z cennymi darami przybyła do Salomona. Zadała mu trzy zagadki, żeby sprawdzić sławioną w świecie mądrość króla. Na każdą z nich bez kłopotu odpowiedział. Królowa Saby wtedy oświadczyła głośno, że teraz docenia wielkość Salomona. I tak oto piękna historia religijna zamieniła się w jeszcze piękniejszą opowieść o miłości, czułości i pocałunkach. Tu już pomocą służy nam wiersz Williama Butlera Yeatsa „Salomon do Saby”.

Śpiewał Salomon do Saby / I jej śniadą twarz całował, / „Cały dzień w jednym miejscu / W kółko kręci się nasza rozmowa, / Cały dzień, od południa bez cieni, / Kiedy żar do szczytu dochodzi, / Pęta nas ciasny wąż miłości / Jak starą kobyłę w zagrodzie”. // Śpiewała królowa Saba, / Gdy ją król na kolanach usadził, / „Sko-ro poruszyłeś sprawę, / Której uczeni byliby tak radzi, / Musiałeś odkryć, nim słońce rzuciło / Nasze cienie na ziemię jasną, / Że nie ten wąż, lecz moje myśli / Są tylko zagrodą ciasną”. // Śpiewał Salomon do Saby / I jej oczy całował i pieścił, / „Nie pojawił się jeszcze na świecie / Nikt, wśród mężów ni w rodzie niewieści, / Równie biegły w naukach jak my dwoje, / A cały dzień był nam dowodem, / Że nic innego, tylko miłość zdola / Zmienić świat w ciasną zagrodę”.
(w przekładzie Krystyny Dąbrowskiej).

Ze związku ciała i dusz królewskich narodził się Menelik I, cesarz Etiopii, którego rządy datowane są na połowę X wieku p.n.e. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Trędowaty świat



TRĄD DZISIAJ, DZIĘKI MEDYCYNIE, NIE JEST już tak zabójczy jak dawniej. Daje się leczyć. A przy okazji uzdrowienia trędowatego, opisanego w Ewangelii Marka, zastanawiam się, dlaczego dzisiaj ci, którzy twierdzą, że otrzymali dar uzdrawiania, jakoś nie pamiętają, że według Biblii powinni też bez szkody dla siebie jeść zatrute potrawy, brać do rąk jadowite węże, nie mówiąc już o wskrzeszaniu umarłych. Myślę, że ta podejrzliwość nie musi być przejawem złej woli. Kiedy zapytano Jezusa, jakim prawem odpuszcza grzechy, odpowiedział: „Co jest bardziej niezwykle, czy powiedzieć sparaliżowanemu: »Odpuszczają się tobie twoje grzechy«, czy powiedzieć: »Wstań, weź swoje nosze i chodź«”. Parafrazując te słowa, można powiedzieć: Jeśli twierdzisz, że masz władzę uzdrawiania, pokaż realne, materialne, widzialne skutki twego działania. Przede wszystkim jednak musimy pamiętać, że nie jesteśmy Mesjaszami, Chrystusami, o czym ostatnio przypomnieli papież Franciszek. Naszym zadaniem jest wskazywanie drogi i towarzyszenie szukającym Boga.

Cuda pewnie się zdarzają, ale „robienie cudów”, i to na zawołanie, to rzecz mocno podejrzana. Jezus mówi, że to ludzie przewrotni żądają znaku, czyli cudu. A Paweł Apostoł dopowiada, że czas uzdrawiania i mówienia językami nie będzie trwał w Kościele w nieskończoność, przemienie. Tym, co będzie trwało wiecznie i co wciąż uzdrawia to, co w człowieku najważniejsze, duszę, czyli co przemienia naszą mentalność, serce i głowę, jest czyn, działanie, którego imieniem jest miłość. To miłość pozwala człowiekowi mieć nadzieję wbrew nadziei.

Marta rodziła córeczkę w hospicjum prenatalnym. Z mężem deklarują się jako niewierzący. Wiedzieli, że ich dziecko, jeśli nawet urodzi się żywe, nie ma szans na przyszłość. Tak Marta opowiadała o tym dziennikarce „Dużego Formatu”: „Hania umarła po kilku godzinach – mówi Marta. Ale to były najpiękniejsze godziny w moim życiu. Nie chcę o nich opowiadać. Ale głaskałam ją, całowałam bez końca. Utuliłam ją. Mogę się pogodzić z jej odejściem, bo się podporządkowałam losowi. Pogodziłam się. (...) To, że mogłam się pogodzić z odejściem córki, to wielki dar od losu. Nie wiem, czy od Boga, czy nie. Wierzę, że coś gdzieś tam jest, nie wiem, czy czuwa nad nami, ale to coś dało mi szansę zobaczyć swoje dziecko i pożegnać je tak, jak na to zasługiwało”.

Miłość Marty do jej dziecka, ich dziecka, pozwoliła im, rodzicom i ich córce, przekroczyć próg, który dla wielu deklarujących się jako chrześcijanie stanowi przeszkodę nie do przebycia. Dla ilu z nas świat, natura i prawa, jakimi się rządzi, jest wciąż rzeczywistością trędowatą, niewartą poważnego zainteresowania, a cóż dopiero miłości. Dlatego potrzebujemy Boga, który pomógłby nam jakoś szczęśliwie, i jak najdłużej, na tym podłym świecie pożyć. Ale Jezus tego nam nie obiecuje. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Początek i koniec

*Jak żadna wielość
nie może rozproszyć Boga,
tak samo człowieka z nim
zjednoczonego. Nic nie może
rozproszyć ani naruszyć
jego jedności, bo stanowi
on jedno w owym Jednym,
w którym wszelka wielość
staje się jednością
i nie-wielością.*

MISTRZ ECKHART



*Nurt medytacji
w rwącym strumieniu
trwa spokojny.
Wody skupienia płyną
wraz z falami,
a jednak pozostają
klarowne.*

BODHISATTWA FU



Wybrał PIOTR SIKORA



LITURGIA SŁOWA KAŻ-
dego dnia podaje
nam do spożycia kolej-
ne fragmenty Ewangelii
Markowej. W ubiegłym
tygodniu czytaliśmy
m.in. rozdział 6, a w nim
perykopę opisującą pierwsze rozesłanie
Dwunastu: „Przykazał im, żeby nic z sobą nie
brali na drogę prócz laski: ani chleba, ani tor-
by, ani pieniędzy w trzosi. »Ale idźcie obuci
w sandały i nie wdziewajcie dwóch sukien!
(...) Jeśli w jakimś miejscu was nie przyjmą
i nie będą was słuchać, wychodząc stamtąd
strząśnijcie proch z nóg waszych na świadec-
two dla nich!«” (Mk 6, 7-13).

Na świadectwo dla nich... To uderzające.
Zwykle mówimy w Kościele o potrzebie
świadectwa na początku albo „na progu”
misji ewangelizacyjnej. Do takiego otwiera-
jącego świadectwa zachęca nas błogosławio-
ny papież Paweł VI w „*Evangelii nuntiandi*”,
nazywając świadectwo *initium evangeliza-
tionis*. W przytoczonym dopiero co poucze-
niu Jezusowym świadectwo musi być nato-
miast także ostatnim aktem ewangelizacji
– zwłaszcza wtedy, gdy spotkała się ona z od-
rzuceniem...

Świadectwo początkowe jest bardzo
ważne, jest koniecznym etapem misji, ge-
neruje bowiem w odbiorcach pytania – tym
mocniejsze, im czytelniejsze i bardziej rady-
kalne świadectwo: „Dlaczego oni tak żyją?”,
„Skąd biorą się ich takie, a nie inne wybory
życiowe?”. Zadane pytanie domaga się odpo-
wiedzi, a tą jest po stronie apostoła kerygmat.

Co jednak, jeśli nas „nie przyjmą i nie będą
chcieli [nas] słuchać”? Jezus mówi: pozostaje
jeszcze jedno świadectwo – „strząśnięcie
prochu” z naszych sandałów.

Zapytajmy jednak, kiedy „strząśnięcie pro-
chu” z nóg faktycznie oznacza świadectwo,

a kiedy raczej emocjonalny szantaż – groźbę,
niosącą ze sobą osąd i potępienie, typu: „nie
chcemy mieć z wami nic wspólnego!”, „odci-
namy się od was na zawsze: żadnych relacji,
żadnych więzi!”, „jeszcze pożałujecie!”, „bę-
dziecie nas jeszcze szukać!”.

Nic takiego! Czyn – jeśli ma być świadec-
twem – musi wynikać z miłości! W tym zaś
kluczu strząśnięcie prochu z sandałów musi
być przeczytane jako znak ubóstwa i po-
twierdzenie pełnej bezinteresowności apos-
tołów: „nie przyszliśmy się na was dorabiać,
cokolwiek wam zabrac”, „nie chcieliśmy na
was zbijać żadnego interesu”, „zachowajcie
wszystko, co jest wasze”, „nie przyszliśmy tu
po wasze pieniądze; nie zależy nam nie tyl-
ko na waszym złocie czy srebrze, nie chce-
my nawet waszego prochu”, „niczego stąd
nie wynosimy”...

Ciekawe, że ubóstwo jest też najważniej-
szym elementem początkowego świadec-
twa: „nie bierzcie ze sobą chleba, pieniędzy,
dwóch sukien”. Jego ponowny wybór ma
być też ostatnim naszym słowem – moc-
nym świadectwem dawanym na koniec – je-
dyną ewangeliczną reakcją na odrzucenie.
Wyrazem miłości, a nie upustem zawzięto-
ści.

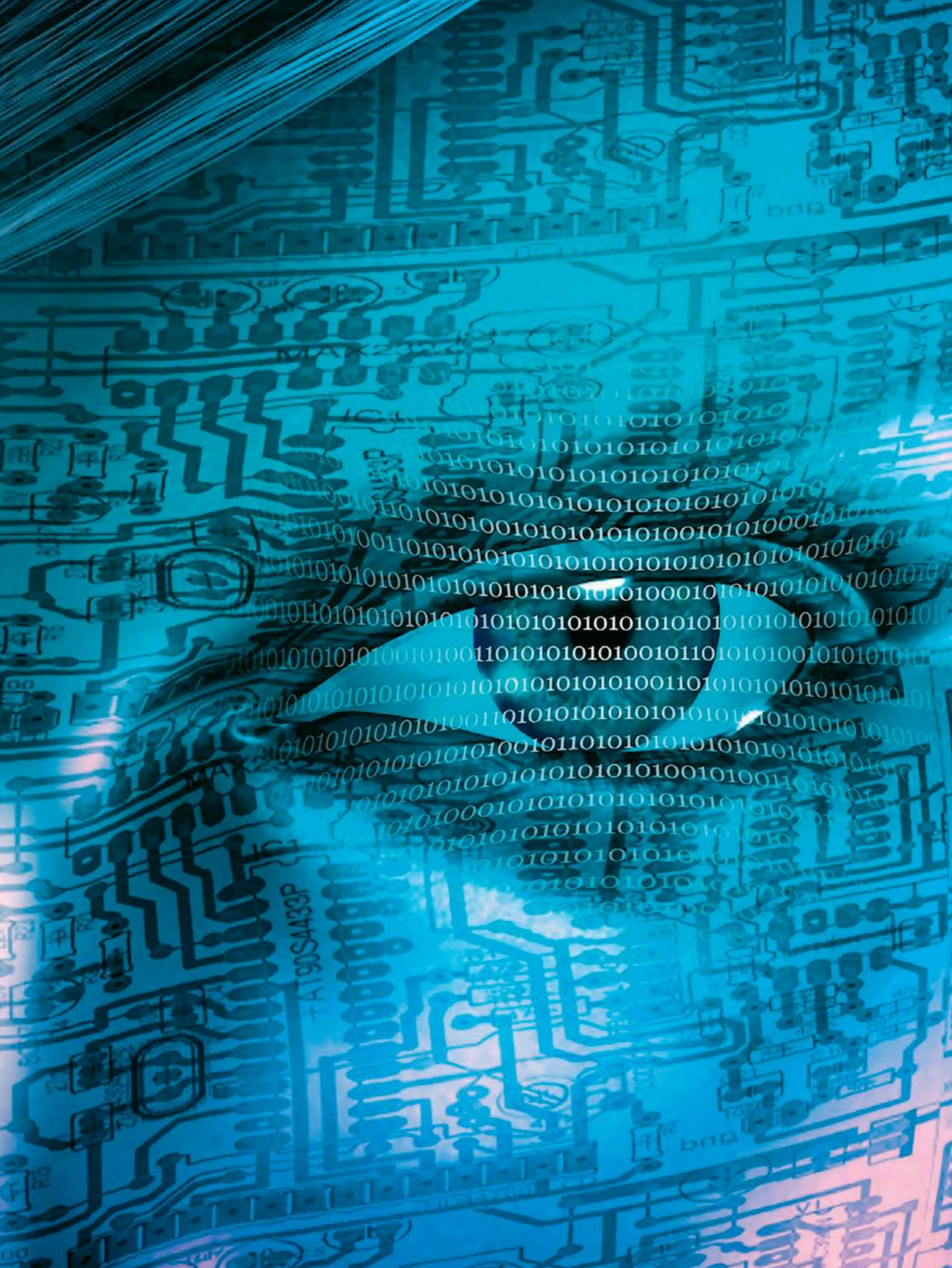
Najważniejsza wszakże wydaje się per-
spektywa nadziei, jaką otwiera przed nami
Jezus tymi słowami, zapisanymi w Marko-
wej wersji. Nadziei w sytuacji fiaska! Zosta-
liście odrzuceni? Czy to już koniec? Skoro
zamknęła się możliwość przepowiadania?
Skoro już nikt nie słucha? Czy już nic nie
można zrobić?

Można – mówi Jezus – można (i trzeba)
dać świadectwo. Nic jeszcze nie jest przegra-
ne do końca. Nie zostały ci wytrącone z ręki
wszystkie narzędzia i sposoby. Nie, nie jesteś
bezzadny. Historia toczy się dalej. I to wła-
śnie jest niezwykle dobra nowina! ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 - 18 II)

6. niedziela zwykła: Kpł 13, 1-2. 45-46;
Ps 32; 1 Kor 10, 31 – 11, 1; Mk 1, 40-45;
Poniedziałek: Jk 1, 1-11; Ps 119; Mk 8, 11-13;
Wtorek: Jk 1, 12-18; Ps 94; Mk 8, 14-21;
Środa Popielcowa: Jl 2, 12-18;
Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek: Pwt 30, 15-20;
Ps 1; Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9; Ps 51; Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;
7. niedziela zwykła: Rdz 9, 8-15;
Ps 25; 1 P 3, 18-22; Mk 1, 12-15.



AT90S443P

TROLLE ROBIĄ NAM POLITYKĘ

Nawet co trzeci wpis na Twitterze może pochodzić z fałszywych kont. Lata zaniedbań i przepychanek sprawiły, że nasze władze nie mają narzędzi, by skutecznie reagować na ich ataki.

AGATA KAŹMIERSKA

WPOLSCE CODZIENNIE ALBO PRAWIE CODZIENNIE dochodzi do cyberataków na infrastrukturę krytyczną. Dajemy sobie z tym radę – mówi ekspert współpracujący z jedną z agencji bezpieczeństwa. Te informacje potwierdza wojskowy zaangażowany w zwalczanie takich zagrożeń. Żaden z nich nie ujawnia, co jest celem ataków ani kto je prowadzi. Obaj natomiast podkreślają, że nasze służby w tym zakresie są skuteczne.

Infrastruktura krytyczna to np. elektrownie, wodociągi, instytucje finansowe, służby, armia. O możliwościach hakerów może świadczyć przykład Ukrainy. Prezydent Petro Poroszenko ujawnił, że takich zagrażających bezpieczeństwu państwa cyberataków tylko w listopadzie i grudniu 2016 r. było 6,5 tys. Do najbardziej spektakularnych należy jednak ten z 17 grudnia 2015 r., gdy robak Industroyer dosłownie zno-kautował sieć energetyczną, pozbawiając prądu ćwierć miliona mieszkańców Kijowa. Po trwającym wiele miesięcy śledztwie międzynarodowy zespół ustalił, że to był tylko test możliwości programu i hakerzy mogą tak samo jak w Kijowie za pomocą nowszej wersji Industroyera zaatakować w Brukseli, Bonn czy Krakowie.

O zagrożeniu cyberatakami regularnie mówił podczas urzędowania minister obrony Antoni Macierewicz. Zapowiedział stworzenie cyberwojska. Twierdził, że resort przeznaczy na ten cel miliard złotych. Potem miały być dwa miliardy. Planowano zatrudnienie tysiąca osób. Potem dwóch tysięcy. I mowa była o dwóch latach

na wyszkolenie. Albo dwóch latach na zorganizowanie jednostki. Zapytaliśmy w MON-ie, już pod rządami Mariusza Błaszczaka, na jakim etapie są prace nad powołaniem naszej cyberarmii. Odpowiedzi brak.

Żadne państwo nie zdradza, jaki tak naprawdę potencjał mają jego cyberwojska, czy szerzej cybersłużby. Próbkę tego, jak przedstawia się sytuacja, daje informacja, iż pierwszy politycznie motywowany cyberatak rosyjska FSB przeprowadziła 16 lat temu, by unieszkodliwić stronę wykorzystywaną przez czeczeńskich bojowników. Jak to wygląda teraz? Kilka dni temu dziennik „Volkskrant”, powołując się na źródła we władzach w Amsterdamie, ujawnił, że hakerzy pracujący dla holenderskiego kontrwywiadu AIVD dokonali włamania do siedziby rosyjskich hakerów rządowych i podglądali ich przez trzy lata (!), używając m.in. kamer monitoringu. W tym czasie Rosjanie byli zajęci hakowaniem Amerykanów. W październiku wyszło na jaw, że rosyjscy hakerzy do wykradania ściśle tajnych amerykańskich danych wykorzystywali antywirus Kaspersky. Odkryli to hakerzy... pracujący na zlecenie rządu Izraela.

– Cyberzagrożenia możemy podzielić na dwa rodzaje. Pierwsze to te twarde, jak np. ataki hakerskie. Na tym polu radzimy sobie dobrze. Drugi rodzaj zagrożeń, równie poważnych, związany jest z tzw. fake newsami czy akcjami propagandowymi, które mają wpływać na opinię publiczną, a nawet destabilizować sytuację w atakowanym kraju. Mogliśmy to obserwować →

→ podczas kampanii w Niemczech i Francji czy próby puczu w Turcji – wyjaśnia dr Krzysztof Liedel z Collegium Civitas, specjalista od zarządzania bezpieczeństwem. Jak Polska radzi sobie z tym drugim rodzajem zagrożenia? Liedel: – Słabiej.

Spór kompetencyjny

Kto w państwie odpowiada za zwalczanie tego drugiego rodzaju zagrożeń? Rzeczniczka rządu odpowiada, że MSW. Tam odesłano nas do Ministerstwa Cyfryzacji, a później do ABW. Agencja wysłała nas z pytaniami do Stanisława Żaryna, rzecznika ministra koordynatora służb specjalnych. Ten przyznaje, że wszystkie służby mają zespoły zajmujące się cyberzagrożeniami, a największe w tym zakresie uprawnienia ma ABW: – Służby monitorują i identyfikują zagrożenia informacyjne, które mogą być wymierzone w państwo. Na bieżąco wysyłają raporty, ale to nie one powinny reagować w takich sytuacjach. To zadanie dla administracji państwowej, bo służby z założenia nie powinny ingerować w przestrzeń publiczną czy informacyjną. W państwach demokratycznych takie cywilne zespoły w administracji skupiają się na ujawnianiu przekłamień i kontrowaniu ich faktami.

Taki cel – jak mówi się nieoficjalnie – miała mieć jednostka INFOOPS, wchodząca obok CYBEROPS, w skład naszej cyber-

armii. To m.in. z tego powodu miało dojść do sporu kompetencyjnego między MON a Ministerstwem Cyfryzacji. W lipcu do dymisji podał się wiceminister cyfryzacji gen. Włodzimierz Nowak (oficjalnie z przyczyn prywatnych), a pół roku później zdymisjonowano jego szefową, Annę Streżyńską, która w międzyczasie znalazła się w konflikcie z ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych. – Organem odpowiedzialnym za koordynację zadań związanych z cyberbezpieczeństwem powinno być, w myśl ustawy, Ministerstwo Cyfryzacji, ale ta koordynacja nigdy nie stała się faktem w związku ze sporami kompetencyjnymi – mówi była minister.

Jeszcze kilka miesięcy temu premier Beata Szydło zapowiadała, że odpowiedzią na propagandowe i dezinformacyjne zagrożenia w internecie będzie powołany przez nią Departament Cyberbezpieczeństwa w KPRM. Na jego czele miał stanąć Paweł Szefernaker, ale po rekonstrukcji rządu Szefernaker trafił do MSW.

– A projekt departamentu zaistniał tylko na papierze – dodaje Streżyńska. Nowego ministra cyfryzacji dotąd nie powołano.

Nie ma komu prostować

Wystarczy wyobrazić sobie następujący scenariusz: ktoś, nieistotne czy gracz wewnętrzny, czy zewnętrzny, chce osłabić gospodarczo kraj. Wystarczy w tym celu

wywołać panikę i skłonić mieszkańców jednego tylko województwa, by w poniedziałek nie poszli do pracy. Np. przekonując ich, że nad rejon, gdzie mieszkają, nadciąga toksyczna chmura. Internet społecznościowy żywi się emocjami. Panika to doskonała pożywka. Zbudowanie odpowiednich narzędzi, żeby wywołać panikę, stworzenie sieci botów i fejkowych portali rozsiewających fałszywą informację, zbudowanie ich zasięgów, przygotowanie odpowiednich scenariuszy to – zdaniem ekspertów – trzy miesiące pracy zespołu ok. 20 osób. Koszt 250-300 tys. zł. Operację „panika”, by jeszcze ograniczyć możliwość reakcji władz, najlepiej zacząć w niedzielę rano.

Jak państwo by się obroniło w takiej sytuacji? Systemu szybkiego reagowania na kryzysy w internecie rząd nie ma. – Ludzie wciąż nie wiedzą, jak weryfikować informację w wiarygodnych źródłach, bo nikt tego ich nie uczy ani nawet nie uczula na tego typu zagrożenia – mówi Piotr Konieczny, szef zespołu bezpieczeństwa Niebezpiecznik.pl.

W przekazywanie wiarygodnych i prostujących fake newsy informacji powinny się zaangażować tradycyjne media, ale w czasach wojny polsko-polskiej kto i komu by uwierzył? Nawet służby monitorujące internet niewiele mogłyby poradzić.

Prof. Zybertowicz: państwo sobie uświadamia

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Jak duży mamy problem z internetem?

PROF. ANDRZEJ ZYBERTOWICZ,

doradca prezydenta RP: Jest takie

zjawisko jak ekonomia uwagi.

Oferenci produktów, np. programów

politycznych, muszą w natłoku

informacji uchwycić uwagę odbiorcy.

Następuje eksterminacja przekazu, bo

pierwszy filtr informacyjny człowieka

to emocje, dopiero potem pojawia

się krytyczne myślenie. Przeciążenie

informacyjne degraduje zdolność do

racjonalnego czytania świata. Na to

nałożymy jeszcze wojnę informacyjną.

Demokracja liberalna, stymulując

obszar innowacji i swobody przepływu

informacji, zarzuciła petlę na własną

szyję. Końcówkę tego sznura ktoś, kto był

szybszy, zdołał pochwylić i pociągnąć.

Jak bardzo to niebezpieczne?

Wydajemy miliardy na bezpieczeństwo militarne, ale musimy wydać setki

milionów na program bezpieczeństwa narracyjnego. Pomysłowy mem stworzony przez licealistę może przebiec jak pożar buszu po całych rejonach sieci i podważyć czyjs autorytet albo kogoś wypromować. Gdy nie w pełni rozumiemy, jaka jest dynamika współczesnej przestrzeni informacyjnej, jesteśmy w tej samej pułapce, w której jest każda osoba publiczna w obliczu pomówień. Nieumiejętna reakcja podsyca zainteresowanie kłamstwem.

Czy i jak nasze władze próbowały coś zrobić?

Odkryło się wiele posiedzeń zespołów, które miały odpowiadać za politykę informacyjną, wizerunek Polski za granicą. Nic konkretnego z tego nie wyniknęło. Szeroko rozumiane kierownictwo państwa jest na etapie uświadamiania sobie skali wyzwania. ©

Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Narodowa niemota

Rząd powołując Polską Fundację Narodową deklarował, że jej priorytetem będzie zabieganie o wizerunek kraju za granicą. Na ten cel 17 spółek kontrolowanych przez Skarb Państwa przekazało ponad 150 mln zł. Choć wiceprezes Maciej Świrski pisał niedawno, że „nasza akcja przeciwdziałania musi być prowadzona w sposób skoordynowany i w kodzie (idiomie) kulturowym adresata”, Fundacja nie miała na stronie internetowej do ubiegłego tygodnia odnośników do anglojęzycznych kanałów na Twitterze ani Facebooku. Ma je natomiast w języku polskim. W ubiegłym tygodniu na obu portalach opublikowała po dwa takie same posty. Pierwszy to fragment debaty w Izbie Gmin w ramach przygotowań do Dnia Holokaustu – poseł o polskich korzeniach tłumaczy w kilku zdaniach dlaczego nie należy mówić o „polskich obozach zagłady”. Drugi post to oświadczenie Fundacji (po polsku), że „w najbliższych miesiącach będzie promowany film »Niezwyciężeni«” oraz powstaną filmy o rodzinie Ulmów i rotmistrz Pileckim. ©

– Mają kompetencje do blokowania stron rozpowszechniających treści terrorystyczne, natomiast brak rozwiązań prawnych, które byłyby skutecznym narzędziem blokowania rozsiewających fałszywe informacje stron internetowych czy profili w mediach społecznościowych – mówi Stanisław Żaryn.

Pytani przez nas eksperci nie są zgodni, czy w krytycznej sytuacji można by było szybko odciąć w całej Polsce internet. Większość skłania się ku opinii, że raczej nie, a z pewnością nie da się tego szybko zrobić na terenie tylko jednego województwa.

– W takiej sytuacji sprawdziliby się np. sprawnie działający Regionalny System Ostrzegania, za pomocą którego można by było poinformować panikujących ludzi, że nie ma zagrożenia – zaznacza Konieczny. RSO miał rozsyłać komunikaty formułowane przez wojewódzkie centra zarządzania kryzysowego za pomocą specjalnych aplikacji na smartfony i esemesów.

O tym, czy system działa, mogli się przekonać latem mieszkańcy Pomorza podczas nawałnic. Sześć osób zginęło, 55 zostało rannych. Tydzień po tragedii Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zapowiedziało budowę nowego systemu, ale wciąż nie ma m.in. przepisów, które pozwalałyby operatorom na lokalizację użytkowników na określonym obszarze.

Przyczajeni na wybory

– To nie jest tak, że internet to ciemna masa, w której nie wiadomo, co się dzieje – mówi Fedorowicz. Podkreśla, że są narzędzia umożliwiające wychwytywanie często powtarzających się fraz w polskiej sieci: – Specjalny sztab przez całą dobę powinien sprawdzać, czy owe frazy zagrażają np. wizerunkowi państwa, a potem szybko odpowiadać na ewentualny kryzys.

– Z takich narzędzi na mniejszą skalę korzystają firmy prywatne. Na znacznie większą NATO, odpowiadając na zagrożenia propagandowe z Rosji, czy Komisja Europejska, która też długo lekceważyła problem, ale teraz ostro zabrała się do roboty – mówi szef jednej z największych w Polsce agencji badających ruch w sieci. Jego zdaniem problem tkwi w tym, że politycy, nie tylko ci dziś rządzący, „woleli nie widzieć problemu albo woleli traktować narzędzia internetowe wyłącznie jako okazję do budowania swojej własnej pozycji lub ewentualnie pozycji swojej partii”.

„Nie istnieje panaceum na szkody, jakie propaganda, internetowe trolle i fałszywe strony internetowe wyrządzają demokracji. Kluczem do walki z nimi są edukacja i publiczna czujność” – napisał na początku roku na łamach „New York Timesa” Michael J. Abramowitz, prezes amerykańskiej Freedom House. Fundacja ta, badając wolność w sieci w 65 krajach, odkryła, że

w prawie połowie z nich rządy wdrażały różne formy manipulacji, by fałszując informacje na swój temat umacniać wpływy i osłabiać opozycję.

Projekt Freedom Net nie obejmował Polski, ale tajemnicą poliszynela jest, że w polsko-polskich wojenkach nikt nie ma większych skrupułów w używaniu różnorodnych narzędzi internetowych. Podczas wyborów prezydenckich i parlamentarnych używano nie tylko płatnych trolli, ale także m.in. botów. Nie są to narzędzia zbyt wysublimowane, wystarczy samemu przeszedź profile, które udostępniają partyjne posty. Jak łatwo poznać bota? Sam od siebie nie pisze nic, tylko udostępnia linki albo posty innych i robi to zaskakująco regularnie, zwykle o ściśle określonych porach. Już teraz trwa wyścig cyberbrojów przed wyborami samorządowymi. „10 tys. uśpionych botów od 31 października obserwuje twitterowe konta wszystkich liderów opinii publicznej w Polsce. Wicie, co to znaczy? Że zaczęła się wyborcza wojna informacyjna w Polsce” – napisała na wstępie swojej analizy Anna Mierzyńska, specjalistka od marketingu politycznego z Uniwersytetu w Białymstoku, zajmująca się badaniem przekazu w internecie.

Z ustaleń Roberta Gorwy z Oxford Internet Institute wynika, że powstał u nas przemysł zajmujący się tworzeniem fałszywych tożsamości w mediach →

„Tygodnik” na karuzeli botów

W styczniu „Tygodnik Powszechny” cztery razy stał się bohaterem posta o takim samym brzmieniu, zamieszczonego w tym samym czasie na kilkudziesięciu stronach facebookowych. Charakterystyczną cechą tych stron jest to, że mają znaczną liczbę fanów (nawet ponad 100 tysięcy), ale ich aktywność jest niemal zerowa – niemal żaden z nich nie komentuje wpisów. Pozwala to sądzić, że są to fałszywe profile, na razie uśpione, oczekujące na aktywowanie.

Za każdym razem linkowano do materiału (najczęściej wideo), który pojawił się na jednej ze stron internetowych o radykalnie nacjonalistycznym przekazie, czasami o udokumentowanej historii istnienia, ale niekiedy będących ewidentną fałszywką,

o nazwach ludzko podobnych do czołowych mediów prawicowych – np. „wpolityce24.pl”.

Były to bądź ataki wprost na „Tygodnik” („Czy ktoś robi w końcu porządek z antypolskim »Tygodnikiem Powszechnym?«”), bądź na ks. Adama Bonieckiego – jeden z tekstów zawierał zagnieżdżone wideo, na którym Robert Winnicki, lider narodowców, mówi, że Kościół liberalny jest nowotworem na ciele Kościoła. W jednym przypadku były to materiały oczerniające Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, a przy okazji „Tygodnik” jako jedno z mediów ją wspierających. Oto wybrane nazwy profili uczestniczących w tym tworzeniu sztucznego ruchu: „Jestem Polakiem”, „Nasza ojczyzna Polska”, „Jestem dumnym Pola-



kiem”, „Armia Patriotów”, „Pamiętam Wołyn”, „Fanatycy Polski”, „Prawicowy Szczecin”, „Historia jakiej nie poznasz

w szkole”, „Stanowcze nie dla uchodźców z Afryki”, „Nie chcemy uchodźców w Polsce”, „Św. Jan Paweł II”. ©

→ społecznościowych. Efektem jest m.in. to, że nawet co trzeci wpis na polskim Twitterze wysyła boty.

Gorwa dotarł m.in. do politycznego konsultanta i marketera pracującego dla dużej firmy. W ciągu ostatnich 10 lat Firma (tak umownie nazywa ją autor raportu) stworzyła ponad 40 tys. unikatowych tożsamości – każdą z wieloma kontami na różnych platformach i unikatowym adresem IP.

Kpiny z MaBeNy

Takich firm na naszym rynku jest ponoć kilka, ale pojawiają się gracze z zagranicy. Latem, gdy spór o reformę sądownictwa wszedł w najostrejszą fazę, na jednym z ogólnopolskich portali pojawił się wysyp komentarzy z hasłem „Precz z kaczo-rem – dyktatorem!”.

Ich autorzy mieli profile zarejestrowane w Ameryce Południowej. Wpisu dotyczącego Polski dokonali tylko raz. Innych powiązań z naszym krajem nie mieli. Wcześniej te same profile wykorzystano do... kampanii reklamującej sieć pizzerii, ale potem udzielały się w sprawie m.in. Brexitu, kampanii wyborczej w USA i próby puczu w Turcji.

Inną anomalią było to, że kilku polityków zyskało po blisko 10 tys. obserwujących na Twitterze w dosłownie jedną noc. „Bez względu na to, kto to jest, obie strony polskiego dyskursu politycznego muszą zdać sobie sprawę, że w ich świat wszedł bardzo niebezpieczny przeciwnik, który naszym zdaniem nie zjawiał się tutaj przypadkiem i zdecydowanie nie jest niczym przyjacielem” – pisała wówczas w analizie na ten temat Polityka w Sieci.

Na początku stycznia doradca prezydenta prof. Andrzej Zybertowicz zaproponował stworzenie mechanizmu, który odpowiadając na zagrożenia świata cyfrowego, zsynchronizuje działania komunikacyjne rządu. Jak na ironię, profesor sam wpędził się w komunikacyjną pułapkę. Projekt nazywał MaBeNa – Maszyna Bezpieczeństwa Narracyjnego, co zostało wyśmiane w internecie. Do tego powtarzał, że bez tego mechanizmu wykołbie się „dobra zmiana”. Zwolennicy PiS orzekli, że „dobrej zmiany” taka obrona niepotrzebna, a przeciwnicy wokół pomysłu wyczuli nieprzyjemną woń orwellowskiego folwarku.

Internet przez kilka dni zdrowo kpił, a ekspertów o zdanie w zasadzie nikt nie zapytał.

©

AGATA KAŹMIERSKA

Współpraca WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Autorzy są dziennikarzami Polsat News, stale współpracują z „TP”.



GETTY IMAGES

Prawo przed trybunałem Facebooka

MARCIN MATCZAK

Musimy nauczyć się mówić o kluczowych, systemowych mechanizmach demokracji w nowy, atrakcyjny sposób – niekiedy w zaledwie 140 znakach.

W 1931 r., NA DWA LATA PRZED DOJŚCIEM DO WŁADZY, Adolf Hitler został wezwany na świadka w procesie dotyczącym ataku bojówek na grupę niemieckich komunistów. Fabularyzowany dokument BBC przedstawia scenę, w której, zeznając przed sądem, charakterystycznym, podniesionym głosem mówi, że Niemcy potrzebują duchowej rewolucji. Wtedy podchodzi do niego młody adwokat i gestem ręki przerywa natchniony monolog: „Do kogo pan mówi?” – pyta. „Do sądu” – odpowiada zaskoczony Hitler. „Jestem przekonany, że sąd pana słyszy. Nie ma potrzeby podnosić głosu” – mówi prawnik.

Był to 27-letni Hans Litten. Spotkanie z błyskotliwym żydowskim adwokatem stało się dla największego antysemitę Europy koszmarem. Długie, trzygodzinne przesłuchanie było triumfem racjonalności nad szaleństwem. Litten wykażał, że NSDAP dąży do uzyskania władzy nie drogą legalizmu, ale terroru. Poprzez wykreślenie rozumu z życia publicznego i zastąpienie go instynktem albo karysem tyra.

Hitler nigdy nie zapomniał Littenowi publicznego upokorzenia. W kolejnych latach podobno nie pozwalał, by nazwisko adwokata było wymawiane w jego obecności. Po pożarze Reichstagu Litten został aresztowany i zesłany do obozu koncentracyjnego. Kiedy przebywał w obozie w Lichtenburgu, wraz z innymi więźniami został przymuszony do udziału w akademii z okazji 46. urodzin Hitlera. W czasie tej akademii, otoczony przez uzbrojonych SS-manów, odczytał wiersz pod tytułem „Myśli są wolne”. Po przejściu kilku obozów koncentracyjnych, kolejny raz torturowany, popełnił samobójstwo w KL Dachau 5 lutego 1938 r., dokładnie 80 lat temu. Zakończyło się życie człowieka, który odważył się sprzeciwić tyranowi. Jego historia jest jednak wciąż żywa.

Pan Cogito w czasach nieheroicznych

Hans Litten uwielbiał poezję. Nie miałby więc chyba nic przeciwko temu, żeby dla upamiętnienia 80. rocznicy jego śmierci przywołać Zbigniewa Herberta i stwo-



rzoną przezeń postać Pana Cogito. Z początku *alter ego* Herberta, Pan Cogito z czasem przekształcił się w duchowego przewodnika inteligenta żyjącego w nieludzkim ustroju. Stał się wzorem krytycznego umysłu analizującego totalitarne otoczenie. Czerpał siłę ze swej pasji do klasycznej historii i filozofii, i walczył, by pozostać przy zdrowych zmysłach w świecie, który oszalał.

Pan Cogito stanął przed wyzwaniem: obronić racjonalność, kiedy władza zachowuje się irracjonalnie, odsłaniać prawdę, gdy zewsząd napiera propaganda, objaśnić, co się naprawdę dzieje, tym, którzy nie są w stanie tego zrozumieć bez pomocy. W swoim życiu i przedwczesnej śmierci Hans Litten realizował tę misję – jej wyraz znajdziemy najpełniej w wierszu „Przesłanie Pana Cogito”: wzywa on, by czuć i działać, kiedy przyjdzie na to czas, by powtarzać stare zaklęcia ludzkości, powtarzać wielkie słowa, i robić to z uporem.

Jak dziś powinniśmy rozumieć przesłanie Pana Cogito? Czy Europa Środkowo-Wschodnia znajduje się w podobnej dziejowej chwili, jak Niemcy w 1931 r.? Czy światło na górach daje znak? Przybierają przecież na sile ruchy antyliberalne, coraz bardziej widoczne stają się objawy osuwania się w autorytaryzm. Czy jesteśmy świadkami początku staczania się po równi pochyłej, czy jest to jedynie chwilowa przerwa w urzeczywistnianiu wolnościowego projektu?

Na szczęście nasza sytuacja jest nieporównanie lepsza niż ta sprzed ponad 80 lat. Choć zaatakowano rządy prawa, jesteśmy lepiej przygotowani do ich obrony, bo znamy historię. Wiemy, jak straszne mogą być konsekwencje rządów ludzi bez rządów prawa. Dlatego, inaczej niż Hans Litten, stoimy wobec rozpoznanego przeciwnika. Instytucje zapewniające rządy prawa istnieją już wiele lat, a więc w przeciwieństwie do Littena broniąc ich, nie musimy być bohaterami, lecz strażnikami, którzy się o nie zatroszczą. Nie znaczy to wcale, że możemy porzucić heroiczne przesłanie Pana Cogito. Przeciwnie, trzeba znaleźć sposób, by dostosować jego wizję do współczesnej, nieheroicznej rzeczywistości.

Dajcie tępe narzędzie!

Obecną sytuację w Polsce można opisać jako kryzys wiary w możliwość rozwiązywania systemowych problemów społecznych systemowymi narzędziami przy jednoczesnym przekonaniu, że należy do tego używać mniej złożonych narzędzi.

Znamy takie kryzysy z przeszłości, zdarzały się również niedawno: rozwiążmy problem bezrobocia wielkim programem robót publicznych! Rozwiążmy problem imigracji budując mur! Rozwiążmy problemy z istniejącymi od dawna umowami handlowymi lub politycznymi po prostu je zrywając!

Mało które systemowe narzędzie rozwiązywania problemów systemowych wzbudza dziś tak niskie zaufanie, jak rządy prawa. Obecny polski rząd ukuł wyrażenie „imposybilizm prawny”, żeby opisać niezdolność abstrakcyjnego porządku prawnego do rozwiązywania realnych problemów społecznych. Dla rządu wymogi sprawiedliwości proceduralnej nie są narzędziem osiągania sprawiedliwości materialnej, lecz tylko przeszkodą na tej drodze. W ich wizji domniemanie niewinności czy inne składowe konstytucyjnego prawa oskarżonego do sprawiedliwego procesu nie pomagają w wymierzaniu sprawiedliwości, lecz je tylko utrudniają. Instynkt znowu zwycięża nad rozumem.

Rządy prawa są przedstawiane opinii publicznej jako zbędne lub wręcz szkodliwe społecznie. Dobrym przykładem jest afera reprivatyzacyjna. To złożony spór co do tego, czy byli właściciele nieruchomości w Warszawie, pozbawieni swojej własności za komunizmu, powinni otrzymać zwrot w naturze. Aferę wykorzystano, by wykazać, jak ochrona konstytucyjnego prawa własności doprowadziła do licznych eksmisji obecnych lokatorów. Przekaz był jasny: rządy prawa prowadzą do cierpienia i niegodziwości, zamiast do sprawiedliwości.

Aby naprawić tę rzekomą wadę rządów prawa, władza powołała sejmową komisję ds. reprivatyzacji. Złożone z polityków ciało o statusie pół sądowym, pół administracyjnym szybko i sprawnie zajmuje się kolejnymi przypadkami reprivatyzacji, zapewniając całkowitą ochronę praw lokatorów kosztem praw właścicieli. Zastosowano domowej roboty rozwiązanie problemu systemowego, aby chronić lud przed bezosobowymi, nieludzkimi rządami prawa.

Ale na tym nie koniec: nie tylko przedstawia się wymogi rządów prawa jako nieludzkie. Za równie nieludzkich uznaje się tych, którzy służą prawu. Niedawno finansowana przez władze kampania billboardowa przedstawiała sędziów jako wrogów ludu. Tu również przekaz był jasny: do wymierzania sprawiedliwości nie potrzeba nam niezawisłych sądów, politycy sobie lepiej z tym poradzą. Po co więc przeszkadzać im w dążeniu do przejścia całkowitej

kontroli nad Sądem Najwyższym poprzez usunięcie jego obecnego składu?

Powtarzaj wielkie słowa

Jak powinien na to zareagować Pan Cogito, duchowy przewodnik inteligencji? Powinien być czujny, jak napomina Herbert, i odpowiednio reagować, gdy propaganda przedstawia toporne rozwiązanie jako narzędzie rozwiązywania problemów społecznych o naturze systemowej. Pan Cogito wie, że historia prawa obfituje w przykłady, gdy zaniedbanie wymogów sprawiedliwości proceduralnej doprowadziło do niesprawiedliwości niewyobrażalnych rozmiarów. Nie wolno mu tej wiedzy zachowywać dla siebie. Pan Cogito nakazuje: „powtarzaj wielkie słowa, powtarzaj je z uporem”, co oznacza: komunikuj się. Gdyby przełożyć to wezwanie na mniej heroiczny język naszej codzienności, można by powiedzieć: dziel się swoją wiedzą, swoją przenikliwością, swoją świadomością. Objaśnij świat innym.

Jak jednak mamy powtarzać „stare zaklęcia ludzkości, bajki i legendy” w czasach mediów społecznościowych? W Polsce zdarzało się, że w zaledwie 140 znakach udawało się komuś zrzucić na rządy prawa winę za wszystkie bolączki społeczne. Ale wytłumaczenie, jak ważne systemowo są rządy prawa, w równie krótkim przekazie wydaje się niemożliwe. Kryzys rządów prawa jest zatem kryzysem komunikacyjnym. Rzeczy oczywiste dla prawnika nie są wcale oczywiste dla zwykłych ludzi. Zrozumiałe mówienie o nich jest wyzwaniem dla obrońców rządów prawa.

Aby sprostać temu wyzwaniu, musimy nauczyć się mówić o kluczowych, systemowych mechanizmach demokracji w nowy, atrakcyjny sposób – niekiedy w zaledwie 140 znakach. Nie jest to łatwe zadanie dla prawników, którzy tradycyjnie czują się bezpiecznie schowani za zasłonami swojego języka. Czas pójść i mówić o rządach prawa przed publicznym trybunałem Facebooka i Twittera. Trzeba działać jak błyskotliwy i elokwentny adwokat przemawiający do nieznanego sobie i dalekiej publiczności, wśród której są ludzie znający totalitaryzm tylko z podręczników historii. Umiejętność przekonania nieprzychylnych słuchaczy jest przecież kwintesencją prawniczego zawodu. Nie czekajmy zatem: do roboty! ©

Tekst oparty na mowie wygłoszonej w czasie sympozjum z okazji 80. rocznicy śmierci Hansa Littena, 1 lutego 2018 r. w Berlinie.

Autor jest prawnikiem, profesorem UW.

Mistrz mów wzruszających

MARIUSZ SEPIOŁO

Zwiedził Maroko, wchodził na szczyty, licytował jachty za miliony dolarów – jedną licytację nawet wygrał. Wszystko to zrobił, nie ruszając się sprzed biurka.

PRZEZ 38 LAT SWEGO ŻYCIA MARCIN PAWEŁ Panek z miejscowości Nowe Motule koło Suwałk zdążył napisać za innych kilkanaście książek i setki przemówień. Oprócz podróży zajmuje się również dzieżinami, które da się zgłębić za pomocą specjalistycznych książek, rozmów z fachowcami oraz internetu. Dzięki umysłowi chłonnemu jak gąbka stał się ekspertem w dziedzinie marketingu, informatyki, grafiki komputerowej oraz makroekonomii.

Marcin ma to szczęście, że może żyć kilkoma żywotami naraz. W wielu przypadkach nie musi w tym celu opuszczać swojego pokoju. Wcielanie się w różne role – podróżnika, naukowca, dziennikarza – pozwala mu się odciąć od własnego życia, które uważa za monotonne.

Sam twierdzi, że nie ma w jego historii nic ciekawego. Jednak ci, którzy go spotkali, mówią inaczej. Szczególnie kiedy dowiadują się, że Marcin ma czterokończynowe porażenie mózgowe i siedzi na wózku inwalidzkim.

Sprzedawałem wieżowce

Samochód grzęźnie w błocie pomieszanym ze śniegiem, jeszcze chwila i zostanie w Nowych Motulach na zawsze.

Pukam w drzwi i okna, nikt nie otwiera. Na podwórku stoi białe cinquecento. Przykryte śniegiem, jakby nikt nie używał go od miesięcy. Pukam raz jeszcze – nic. Dzwonię pod podany numer, ale sygnał komórkowy ucieka gdzieś wysoko ponad drzewa, rwie się, zanika. *Ghostwriter* mnie wystawił!

– Skreślił pan w prawo – mówi przez telefon Katarzyna Panek, siostra Marcina. – A trzeba w lewo. Do nas nie jest tak łatwo trafić.

W swoim pokoju Marcin ma prawdziwe centrum sterowania. Na biurku komputer stacjonarny z dużym monitorem i mniejszym ekranem z boku. Kilka głośników, pady do gier na konsoli, telewizor.

Właściciel opowieść zaczyna od razu, nie będzie się patyczkował. – Nauczyciel zarabia ucząc dzieci, lekarz dostaje pie-

niądze za leczenie ludzi. Oni mogą powiedzieć, że się czymś zajmują zawodowo – mówi. – A mnie ludzie potrafią za zlecenie 60 złotych nie zapłacić.

„Witam – napisał w pierwszym mailu. – Nazywam się Marcin Paweł Panek. Jestem doświadczonym ghostwriterem. Piśzę książki dla innych ludzi, ale wolałbym pisać na własne konto. Problem w tym, że jak napiszę coś dla milionera czy polityka, to problemu z wydaniem nie ma. A jak napiszę pod własnym nazwiskiem, to już jest. Zawsze coś jednak sobie dorobię do renty. Mam internet. Znam angielski i niemiecki. To w większości przypadków starczy do pisania. Jestem ze wsi. Właściwie nie opuszczam domu, a teraz jakiś bogaty skubaniec chce, żeby do niego pojechał i z nim zrobił wywiad. Jak Pan widzi, porażenie mózgowe ma swoje ograniczenia. Bycie ghostwriterem ma swoje zalety. Niedawno sprzedawałem wieżowce w Warszawie. Przed chwileczką skończyłem przemówienie na konferencję międzynarodową. Będę mówił do pięciuset osób. Wziąłem 130 zł”.

Umysł jak żyletka

Tu się urodził, wychował i tu mieszka z dwiema siostrami. Kasia uczy historii w szkole podstawowej, Krysia prowadzi gospodarstwo po zmarłych dawno rodzicach. Obie, jak mówi sam Marcin, „muszą przy nim chodzić”. Patrzę na nie, obserwuję. Szukam śladów znikającej powoli cierpliwości.

Znajduję oczy wpatrzone w brata, którego książki stoją na półce. „Wygraj klienta. Psychologiczne triki w sprzedaży”. Albo „Wymiary niepełnosprawności”, bardziej osobista, o której Jerzy Stuhr, we wstępie, pisze tak:

„Ta książka jest jak podróż. Podróż w głąb człowieka, który żyje obok nas, a o którym tak mało wiemy, którego rozumieć nie chcemy, bo wymagałoby to od nas nieco więcej wysiłku; człowieka, którego się czasem boimy, bo nie możemy sobie poradzić z jego odmiennością, człowieka niepełno-

sprawnego. Wczytując się w kolejne rozdziały, miałem wrażenie, że odkrywam, poznaję świat drugiego człowieka, poznaję go w kontekście historycznym, socjologicznym, psychologicznym. Zaczynam go rozumieć i lubić, staje mi się bliski”.

Kasia poprawia nogi Marcina, bo ciągle się wyprężają w spastycznych ruchach, spadają z podstawy wózka. I pyta: – Marcin, a pokazałeś panu swoją powieść o cywilizacji Sumerów?

Mógł trafić gorzej. Porażenie mózgowe może dotknąć nie tylko ciało, ale i umysł. A Marcin ma umysł jak żyletka. Powiedzieć coś nie w porę, z głupia frant, bez sensu – zaraz wyłapie, zripostuje. Jest czujny. Żadnego żalu nad sobą, żadnej litości. Tylko jacyś dziennikarze nieraz przyjeżdżają i piszą potem teksty w stylu: „pomóżmy niepełnosprawnemu wydać książkę”.

Radziłem milionerom

Dziecko z porażeniem nie pomoże rodzicom w gospodarce. Widel do rąk nie weźmie, nawet krów z pola nie zagoni. Dziecko z porażeniem we wsi takiej jak Nowe Motule siedzi więc w domu i patrzy na świat z perspektywy wózka.

Na początku Marcin, rocznik 1979, ma w szkole trudności z nauką. Ale szybko się podciąga. Na kilka lat, do klas 1-6, trafia do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego pod Warszawą. – Wszystko było tam fajnie – mówi dziś Marcin. – Ale poziomu nauczania to tam nie było żadnego.

Jeden wychowawca lubi spacerować po lesie. Bierze małego Marcina i wiezie go na wózku przez 10 kilometrów. Inny na wulwie każe stanąć na nogach i chodzić. Chodzić i już! A jak chodzić nie potrafisz, to leżysz jak ryba na plaży. – Wyobraź sobie, że kładziesz się w tłumie ludzi i leżysz, kiedy inni się swobodnie poruszają – mówi Marcin. – Ja się tak czuję cały czas.

Resztę edukacji Marcin odbywa w rodzinnej wsi. Dopiero tu – w wieku 14-15 lat – uczy się czytać. Będzie miał średnią ocen 4,8. Skończy liceum. Okaże się, że potrafi szybko wchłaniać wiedzę i lubi się uczyć nowych rzeczy. Zaczyna się interesować kognitywistyką, procesami uczenia się.

Kończy informatykę na wyższej uczelni w Suwałkach w 2008 r., chociaż 80 proc. zajęć opuszcza. Inni studenci się wkurzają, bo ślęczą na wykładach, męczą się, a Marcin wchodzi na egzamin ustny i zdaje na piątkę.

Do dziś napisze 70 prac z marketingu, opublikuje je w recenzowanych, fachowych czasopismach. Chciałby zrobić dok-



MICHAŁ SADOWSKI DLA „TP”

Marcin Panek w swoim mieszkaniu w Nowych Motulach, styczeń 2018 r.

torat, ale dla człowieka w jego sytuacji może się to okazać niemożliwe. Mało który promotor chciałby go przyjąć pod swoją opiekę. A jak z zajęciami, seminariami, siedzeniem w bibliotekach?

Powoli wdraża się w pracę ghostwritera. Na początku najczęściej pisze prace magisterskie i licencjackie. Rysuje plakaty. Składa i formatuje teksty w Wordzie. Uczy się statystyki i tworzy wykresy. Tworzy też swoją stronę internetową, gdzie podaje adres e-mail i numer telefonu. Dzwoni szef specjalistycznego czasopisma dla biznesmenów. Proponuje prowadzenie jednoosobowego działu o marketingu w biznesie. Marcin pisze artykuły, otrzymuje za to 600 zł i „czuje się bogaty”.

Dostaje poważne zlecenie: opisanie rynku lodówek z perspektywy makroekonomicznej. Głowi się, bada rynek, tworzy wykresy. Kolejne wersje szef wyrzuca mu do kosza. W końcu traci cierpliwość. Marcin nie dostaje obiecanych pieniędzy, a jego relacja z czasopismem powoli wygasa. – Śmieszna historia – mówi dzisiaj Marcin. – Bo człowiek z porażeniem mózgowym przez trzy lata radził milionerom, jak mają wydawać pieniądze.

Jakiś czas temu doradzał przy pisaniu biznesplanu na 300 mln zł. Dostał za to 150 zł.

Nic nie sugeruję

Marcinowi mówi się z trudem. Mięśnie spinają się samowolnie, przepona szaleje, trudno złapać oddech. Ale mówi. – Najdziwniejsze było moje pierwsze zlecenie. Zadzwoniła ekskluzywna *call girl*. Chciała opisać swoje życie i pracę. No więc rozmawialiśmy przez telefon, a potem pisałem. Nawet nie wiesz, ilu znanych polityków i biznesmenów korzystało z jej usług. Pisałem więc książkę tak, jakbym nią był. Ale tamta kobieta mi za opowieść o swoim życiu nie zapłaciła.

Z czasem stał się mistrzem przemówień. Cena od 60 zł za sztukę. – Wyrzucam to z pamięci, nie przywiązuję się do tych tekstów, one nie są moje, choć napisałem ich tysiące. Niedawno oświadczałem się dziewczynie przy pełnej sali na zjeździe związku sportowego. Sportowiec zadzwonił, zlecił tekst na oświadczyni. Zastanawiałem się, jak wyznać miłość dziewczynie, której się na oczy nie widziało. Ale wyznałem. Mówiłem wzruszająco, wszystkim się podobało.

Dziewczyna nie miała wyjścia, 200 zaproszonych delegatów ją oglądało.

Czasami jest jeszcze trudniej wczuć się w sytuację mówiącego. – Ostatnio występowałem jako doktor nauk medycznych tuż po dyplomie. Dostałem zlecenie, żeby przemówienie było wzruszające, a od takich to jestem ekspertem. Mówiłem więc o śmierci, że ona zawsze zwycięża, a ja, lekarz, walczę z nią mimo wszystko, mimo nieodwzownej przegranej. Rodzina, znajomi, koledzy lekarze – wszyscy płakali.

– Są też zlecenia bardziej przyziemne. Np. historia pewnego miasta pod Warszawą. Zadzwonił lokalny działacz z takim zadaniem. Przysłał książki. Czytałem w internecie. I napisałem. Tyle że pomyliłem nazwę jednej z ulic. No i potem dzwonili, korygowali, cała rada miasta się tym zajmowała: czy to na pewno ta ulica, a może *ghostwriter* ma rację? Poprawiłem, działacz wygłosił, wziąłem 250 zł.

Inna zupełnie robota to pisanie za ludzi całych książek. Jedną z jego specjalizacji to podróże. Nie każdy podróżnik jest sprawny w tworzeniu relacji. – Dzwoni więc taki i mówi: Marakesz, ulica ta i ta. A ja wchodzę do internetu, sprawdzam, →

→ chodzę uliczkami miast. Potem piszę. W ten sposób zwiedziłem m.in. Maroko, wchodziłem na wysokie szczyty. Alpinistyczne słownictwo jest bardzo trudne, te wszystkie uskoki, przewyższenia. Innym razem licytowałem jachty za miliony dolarów. Jedną licytację wygrałem. Teraz przygotowuję autobiografię dla kilku polityków z pierwszych stron gazet. Nie mogę powiedzieć których.

– Sprzedaję umiejętność opowiadania historii. Nie dyskutuję z tym, o czym chce napisać klient. Nic nie sugeruję. Pisałem książkę dla majątnego człowieka, który miał ambicję, by naukowo udowodnić, że światem rządzi spisek kosmitów, przebranych za ludzi. No cóż, napisałem. Udowodniłem. W tym roku napisałem za kogoś trzy książki, w całej karierze napisałem ich piętnaście.

Żeby dobrze wykonać zlecenie, żeby w ogóle przekonać do siebie klienta, musi mu udowodnić, że jest w stanie osiągnąć określony poziom wiedzy. Kiedy dzwoni inżynier, który musi napisać książkę, ale nie bardzo umie, trzeba przynajmniej umieć operować jego fachowym słownictwem. Zwykle musi to zrobić szybko, w kilka minut. Kiedy ludzie słyszą jego głos, bywają przestraszeni.

– W mojej sytuacji muszę być dziesięć razy lepszy niż człowiek zdrowy. Szukam informacji. Czasem zlecam jakiemuś studentowi, żeby poszedł do archiwum w Warszawie i mi coś z niego wyciągnął. Np. wiedzy o przemyśle zbrojeniowym, i jaki on jest rozwinięty, nie mógłbym sobie tylko wyobrazić.

Sumeryjska „Gra o tron”

Kasia daje radę. Ze wszystkim. W dzień w szkole, po szkole do sklepu, zrobić zaku-

Niedawno ktoś zlecił mi
tekst na oświadczyzny.
Zastanawiałem się, jak
wyznać miłość dziewczynie,
której się na oczy nie
widziało. Ale wyznałem.
Mówilem wzruszająco,
wszystkim się podobało.

py, przywieźć do domu. Krysia, pracująca przy gospodarstwie, bardzo pomaga. Codziennie jednak muszą mocować się z różnymi sprawami. Hydraulika trzeba prawie błagać, żeby przyjechał naprawić usterkę, bo dla niego to daleko, bocznymi drogami, po wybojach. Do najbliższego sklepu – osiem kilometrów.

Ale po tym wszystkim Kasia siada za biurkiem Marcina. On na swoim wózku, przed nim włączony telewizor, leci mecz z Lewandowskim. Marcin potrafi się wkurzać, że bramka nie padła albo spalony, i jednocześnie dyktować Kasi historię w stylu „Gry o tron”, dziejącej się w czasach Sumerów.

Jego powieść ma 274 strony maszynopisu i opowiada o tym wszystkim, o czym literatura mówi od wieków. U Sumerów Marcina jest miłość, nienawiść, gniew i walka o władzę. Głównym bohaterem jest król Sargon – postać autentyczna.

Marcin swój maszynopis wysłał do wielu wydawnictw. Kilka proponuje wydanie książki pod warunkiem, że autor sam pokryje część kosztów. W sumie 8 tys. zł, dla-

tego Marcin oferuje, że w swojej książce zamieści cztery reklamy, każda za 2 tys., wtedy może książka się ukazać.

Kasia, pisząc to, co Marcin jej podyktuje, przeżywa te historie jako pierwsza. Kiedy o Marcinie napiszą media, wszystko skrupulatnie wycina i zachowuje w segregatorze. – Dzięki nim nauczyłam się wielu rzeczy – opowiada. – W pracy przydaje mi się cierpliwość. Podejście do wszystkiego ze spokojem. Dziwię się, kiedy ludzie, którzy mają wszystko, potrafią jeszcze narzekać. Ja nie narzekam.

Niepełnosprawność jest wszędzie

Jemy pieczone rogaliki, Marcin łapie oddech i mówi:

– Niepełnosprawność i choroba są wszędzie. Nie można się od nich uwolnić ani ich obejść. Nieistotne jest, czy chcemy, by niepełnosprawność nie wchodziła z nami do szkoły, pracy czy domu. Ona zawsze będzie nam towarzyszyć i ograniczać nasze możliwości. Proste czynności, takie jak kupienie lodu, dla mnie mogą urosnąć do skomplikowanej operacji logistycznej. Nie jest wcale tak, że internet pomaga się pozbyć niepełnosprawności. W sieci, tak jak i w każdym innym miejscu, pozostaje się osobą niepełnosprawną.

Marcin, tak jak Kasia, też nie lubi narzekać. – Niektórzy zadają pytania, czy przyznawać się pracodawcy do swojej ułomności – tłumaczy. – Po wielu latach spędzonych na poszukiwaniu pracy wiem, że to nie ma znaczenia. Pracodawcę interesuje jedynie wykonane zadanie. Nie interesuje się przesłabością i przyszłością tej osoby. Ale osoba niepełnosprawna musi starać się trzy razy bardziej, żeby zarabiać trzy razy mniej. Jesteśmy osądzani przez to, co potrafimy, ale bariera doświadczenia uniemożliwia zdobycie tych umiejętności. Tylko silna wola i umiejętność znoszenia nieustannych porażek mogą pomóc w przezwyciężeniu własnej słabości. Albo jesteś na tyle mocny, by czegoś dokonać, albo cię po prostu wyrzucą.

Dlatego Marcin wyznaje w życiu cztery zasady: – Po pierwsze, dobrze się wyspać. Po drugie, dobrze się najęść. Po trzecie, żeby nic bolało – mówi. – Kiedyś długo bolało mnie biodro. Uparłem się, że nie będę lżył leków, więc bolało nadal.

Śmiech, krótka przerwa na złapanie oddechu, krótki grymas na twarzy: – Zjadłem w końcu jeden opokan – kończy Marcin – i ból ustąpił.

Czwarta zasada, z nadmiaru przyswojonych informacji, tymczasowo wypadła Marciniowi z głowy.

©

MARIUSZ SEPIOŁO

19 stycznia 2018 roku odszedł do Pana

ś.†P.

Mieczysław Brykczyński

urodzony 6 marca 1926 roku we Lwowie,
pochowany 26 stycznia 2018 roku w grobie rodzinnym
na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Chirurg ortopeda, podróżnik, człowiek barwny, dobry, zycziwy ludziom.

Mieciu!

Brak nam będzie Twojego ciepła, dobroci, zycziwości, uśmiechu i radości życia.

KREwni z KRAJU i ZAGRANICY

ANNA

Dziewit-Meller: Krajowi cudzoziemcy



KIEDY PISZĘ TEN FELIETON, NIE WIEM JESZCZE, co ostatecznie stało się ze słynną na cały świat ustawą o IPN – prezydent ma szansę jej nie podpisać, ale kto wie, czy zechce z tego skorzystać? Tak rzadko przecież korzysta z dawanych mu przez los i konstytucję szans i prerogatyw...

Za to o tym, co ustawa dała naszemu narodowi już dziś, choć jeszcze nie jest obowiązującym prawem – wiem dobrze. Dała nam bowiem przede wszystkim gigantyczne osiągnięcie! Na przykład w ciągu pierwszych dwóch dni, od kiedy sprawa wybuchła, osławione hasło #polishdeathcamps dotarło do 23-28 mln osób.

Jest to wszystko tak bardzo beznadziejne, że doprawdy – bodaj pierwszy raz w moim niekroćkim już życiu – zgodzę się ze słowami senator Anny Marii Anders, która powiedziała podczas debaty w Senacie, że jednak w sumie trochę głupio zrobili, bo gdyby to sobie zaczęli głosować kiedy indziej, za jakieś dwa tygodnie, za trzy, po cichu, między wierszami, tak jak zawsze, to doprawdy dałoby się uniknąć nikomu niepotrzebnej afery. No ale kto mógł przypuszczać, że są na świecie narody równie przewrażliwione na swoim punkcie jak my? Czy Patryk Jaki mógł przypuszczać? No czy mógł?

I na nic zdadzą się dziś słowa Jarosława Gowina, że to wszystko wyjątkowy niefort po prostu i niezawinione zło. Niezawinione, bo przecież rząd PiS to „nie tylko – jak powiedział Czesław Bielecki – najbardziej proizraelski rząd w Polsce po 1989 roku. To najbardziej proizraelski rząd w Europie”.

Tymczasem atmosfera zagęszczona z każdym dniem bardziej, idzie przedwiośnie, coraz bliżej kapryśny marzec, z szaf wypadają trupy, wychodzi sztybel z worka, choć ja akurat mam poczucie, że one do tych szaf i worków nie były wcale dobrze powkładane.

Ilość antysemitycznych komentarzy, które przez lata z racji drugiego członu mego nazwiska otrzymałam, impregnowała mnie już na ów brud i niemal za oczywistość uważam ich obecność. Dziwi mnie wręcz, gdy w sieci nie padnie żadne słowo o czosnku, Madagaskarze, komorach gazowych, żydokomunie itp. Gdy jeszcze robiło to na mnie wrażenie i bulwersowałałam się publicznie, słyszałam nieraz od kolegów zaangażowanych w tzw. pra-

wicę, że to wybryki, że to margines, że nie powinnam brać tego na poważnie. „W Polsce to już nie jest problem”.

Otóż drodzy koledzy – sami widzicie, jak zeście racji nie mieli i jak życzeniowe było wasze myślenie, że wszyscy – także na prawej – pójda filosemicką ścieżką Lecha Kaczyńskiego („Jedwabne, największy grzech Lecha Kaczyńskiego” – sieć pełna jest analiz „katastrofalnych błędów” prezydenta, który jako minister sprawiedliwości zatrzymał ekshumację w Jedwabnem. Internet pamięta, zatem polecam wnikliwej lekturze!).

Antysemityzm ma się doskonale, wyhodowany na żywnym podglebiu, zakorzeniony w historii, w literaturze, w Staszicu i Krasińskim (w 40. rocznicę Marca w wykładzie „Mit bohatera Berka Joselewicza i fantazmaty nienawiści w polskiej kulturze” mówiła o tym Maria Janion). Ostatnimi czasy po prostu został nieco wyparty przez kwestie bardziej bieżące. Krótko mówiąc – walcząc z nieistniejącym zagrożeniem islamistycznym, nie mieliśmy chwilowo przestrzeni na walkę z urojonym lobby żydowskim. Poniekąd zresztą można było dla sprawy bardziej palącej użyć dawnych wrogów – w końcu wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, czy jakoś tak brzmiała ta mądrość. Polska odpowiedź na Yad Vashem budowana siłami przedsiębiorstwa o. Rydyzka nie wzięła się przecież znikąd. Kiedy wielce wpływowy zięć naszego najważniejszego sojusznika jest Żydem, kiedy córka naszego najważniejszego sojusznika przeszła na judaizm, kiedy najważniejszy nasz sojusznik przeniósł izraelską siedzibę ambasady swego kraju do Jerozolimy, żarty się kończą, zaczyna się kalkulacja. Ale kalkulacja to czasem za mało.

Niestety widać wyraźnie, że – wbrew tym, co mając za kolegów różnych „nowoczesnych endeków”, by czuć się lepiej, mówili, że widzę antysemityzm, bo po prostu chcę go widzieć – po zdjęciu pozłotka nałożonego przez „najbardziej proizraelski rząd w galaktyce” antysemityczny brud trzyma się mocno.

Francuski politolog i historyk, badacz problematyki żydowskiej Jean-Yves Potel, w książce „Koniec niewinności. Polska wobec swojej żydowskiej przeszłości” pisał o pracy, jaką po 1989 r. Polacy wykonują, by porządkować i nazywać po imieniu kwestie polsko-żydowskie. W posłowie do niej, przywołując najpierw francuskie przykłady antysemityzmu (Jean-Marie Le Pen, który nazywa komory gazowe „detalem” historii, obrona Maurice’a Papon, której podjął się premier Barre itp.) stwierdza: „świadomość zbiorowa podporządkowana jest doraźnemu kontekstowi historycznemu i niestety nie ewoluuje w jednym kierunku. W Polsce i Francji istnieją też ruchy przeciwnie, ksenofobiczne i nacjonalistyczne, które niszczą efekty pracy nad pamięcią oraz podają w wątpliwość konieczność refleksji politycznej i moralnej nad drugą wojną światową i Zagładą. Błędem byłoby je lekceważyć”.

Kolegom redakcyjnym Rafała Ziemkiewicza i Marcina Wolskiego dedykuję. ©

Czytajcie Jagielskiego: „Strona świata” dostępna bezpłatnie

Zapraszamy na „Stronę świata” – prowadzoną przez Wojciecha Jagielskiego, znakomitego reportera i pisarza, który w ubiegłym roku dołączył do zespołu „Tygodnika Powszechnego”.

W specjalnym serwisie znajdują Państwo pogłębione analizy i najnowsze informacje z krajów, które rzadko trafiają na pierwsze strony gazet czy do głównych wydań telewizyjnych programów informacyjnych. Już teraz mogą Państwo przeczytać m.in. o wojnie w Jemenie, która z każdym miesiącem komplikuje się coraz bardziej; o tym, w jaki sposób Unia Afrykańska zacieśnia kontynentalną integrację; a także jak Arabia Saudyjska i Iran łagodzą przepisy ograniczające prawa kobietom, podczas gdy w Turkmenistanie dzieje się odwrotnie.

Wszystkie teksty z cyklu „Strona świata” dostępne są za darmo pod adresem powszech.net/strona-swiate



GRAZYNA MAKARA



SIŁA BEZSILNEGO

Krótkie życie zmarłego w 2016 r. księdza Jana Kaczkowskiego
to też historia naruszonego tabu:
obecności chorych i niepełnosprawnych duchownych w Kościele.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

NIE BYLI JEGO PRZYJACIÓŁMI.

Doktor Błażej Kmiecik nie spotkał go nigdy. Dzień po jego śmierci napisał tekst: „Oczy księdza Jana”. Pożegnanie kogoś ważnego. Kogoś, kto tak jak on „skanował” albo „wachał” książki. Kogoś, kto jak on wiedział, co to znaczy być „prawie ślepym”.

– To znaczy, że jechałem jako pasażer samochodu, ale nie dostrzegłem człowieka, który wyszedł przed maskę – tłumaczy. – Albo że podczas zajęć pokazuję palcem na studenta, ale żaden nie wie, kogo wskazałem. Albo że w pracy naukowej piszę „poszerzyć ciężę”, zamiast „przerwać ciężę”, bo Word zmienił mi słowa, a ja tego nie zauważyłem.

Janina Ochojska poznała księdza Kaczkowskiego na pokładzie samolotu Warszawa–Gdańsk. Dwie znane twarze. Dwoje niepełnosprawnych. Obojgu obsługa musiała pomagać w wydostaniu się na płytę lotniska. – Deszcz, nieprzyjemnie, stanęliśmy na środku tej płyty – opowiada Ochojska. – Był niby samochód dla niepełnosprawnych, ale nie dało się do niego wsiąść. W dodatku kierowca nie wzięł wózków, których oboje potrzebowaliśmy. Zachowywałam się niecierpliwie, może nawet nieuprzejmie. Później zrobiło mi się trochę wstyd, bo ten pan nie był przecież niczemu winny. W końcu wózki przyjechały, zawieźli nas w tym deszczu pod dach. Odbieraliśmy bagaż, rozmawialiśmy – ja nie wiedziałam, kim on jest, on mnie chyba rozpoznał. Wręczył wizytówkę: „Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić”.

Doktor Błażej Kmiecik i Janina Ochojska. Oboje z różnych światów.

On: bioetyk, socjolog, były rzecznik praw pacjenta szpitala psychiatrycznego, działacz konserwatywnego Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, blogger i publicysta „Gościa Niedzielnego” (tekst „Oczy księdza Jana” opublikował właśnie na stronie „GN”). Prywatnie mąż, ojciec. I niepełnosprawny: cierpi na astygmatyzm, oczopląs, wadę siatkówki. Po zdjęciu okularów widzi mniej więcej 10 procent tego, co przeciętny człowiek. I mniej więcej tyle, ile widział ksiądz Kaczkowski (minus 17 dioptrii w jednym oku).

Ona: założycielka i szefowa Polskiej Akcji Humanitarnej. Od dzieciństwa niepełnosprawna, cierpi na chorobę Heinego-Medina. Okresami porusza się – jak ks. Kaczkowski w niektórych fazach choroby – na wózku inwalidzkim.

Oboje są katolikami.

Oboje z historii ks. Kaczkowskiego zapamiętały pewną zapomnianą lekcję.

Ochojska: – Ze swoich słabości, niepełnosprawności uczynił siłę.

Kmiecik: – Zajmując się na wielką skalę pomocą wykluczonym, Kościół sam wyklucza. Temat niepełnosprawności księży to tabu, które ksiądz Jan naruszył.

Coming out

16-18 marca 2012 r. Za dwa i pół miesiąca odbierze rozpoznanie: glejak mózgu IV stopnia. Na razie wychodzi na scenę IX Zjazdu Gnieźnieńskiego, kongresu łączącego debatę na ważne dla Kościoła tematy z modlitwą. Pucki duchowny, zgodnie z zadanym tematem: „Wolontariat wśród osób wykluczonych społecznie”, opowiada o pracy z trudną młodzieżą, którą angażuje w swoim hospicjum.

Ale pod koniec wystąpienia ucieka w dygresję. „Czy jako chrześcijanie, a zwłaszcza jako Kościół, jesteśmy przygotowani na to, by otwierać się tak naprawdę (...) na osoby wykluczone, niepełnosprawne? Proszę państwa, ja wiem, o czym mówię, bo sam, będąc jakoś tam niepełnosprawny, choć takim się nie czuję, w Kościele doświadczyłem największej podeptania mojej godności, szczególnie od przełożonych (...) Ja sobie z tym doskonale poradziłem (...) Ale ilość sytuacji, które mnie w Kościele »przejechały«, jest porażająca i potworna” – mówi ze sceny.

Za ponad pół roku udzieli wywiadu „Tygodnikowi Powszechnemu”. „W Gnieźnie (...) dostałem ogromne owacje. Podchodzili, gratulowali, że taki odważny, że się nie boi biskupów. A ja powiedziałem tylko o oczywistym fakcie: że w Kościele jest dyskryminacja niepełnosprawnych” – powie w tej rozmowie.

I opowie m.in. o ranie sprzed lat: jako 19-latek został odrzucony przez zakon jezuitów z powodu kłopotów ze wzrokiem. „Ja wiem, że to było szesnaście lat temu, ale obawiam się, że niewiele się zmieniło. »Jan, masz problem ze wzrokiem, ale jeśli masz powołanie, przekonanie, to nie będzie problemu« – mógłby ktoś powiedzieć”.

Przypadek pierwszy: „Prowincjał nie widzi możliwości”

Ks. Kaczkowski mówi o zdarzeniach z lutego 1996 r. To wtedy dostaje z zakonu kopertę. Otwiera ją – zapamiętają siostra i mama – trzęsącymi się rękami.

„Drogi Janku! (...) Niestety, mam wiadomość niepomysłną. Otóż Ojciec Prowincjał zdecydowanie odrzucił możliwość przyjęcia Cię do nowicjatu. Jedyną racją, dla której zapadła taka decyzja, jest Twój słaby wzrok. Specyfika naszego życia i pracy domaga się stawiania kandydatom wyso-

kich wymagań również w dziedzinie zdrowia fizycznego. Dlatego Ojciec Prowincjał nie widzi możliwości przyjęcia Cię do Towarzystwa, nawet gdyby nie istniały żadne inne przeszkody i trudności” – pisze do niego o. Mieczysław Łusiak SJ.

„Najbardziej zabolalo mnie to »nawet gdyby«” – powie we wspomnianym wywiadzie z 2012 r.

W rozmowie z podpisanym pod listem jezuitą próbuję dokładniej poznać ówczesną argumentację władz zakonu. Ojciec Łusiak zastrzega: od tamtych zdarzeń minęło wiele lat, a w 1995 r. miał wiele obowiązków, które sprawiały, że promotorem powołań bywał czasami jedynie „na papierze”. Nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co mogły oznaczać zawarte w piśmie „żadne inne przeszkody”. Skłania się do interpretacji, że zdanie było stylistyczną niezręcznością. „Wzrok to jedyna i wystarczająca przyczyna odmowy, nie ma więc nawet sensu rozpatrywać ewentualnych innych przeszkód” – rekonstruuje swoje ówczesne intencje.

– A co do samej decyzji, zdaje sobie sprawę, że mogła być przez ks. Kaczkowskiego odczytana jako krzywdząca – słyszę od o. Łusiaka. – U nas jednak podobne decyzje nie podlegają dyskusji. W naszych Konstytucjach, które napisał jeszcze św. Ignacy Loyola i które obowiązują do dziś, jest wyraźnie zapisane, że kandydat musi być dobrego zdrowia i że nie może mieć żadnych zdrowotnych problemów.

Pytam o. Łusiaka o różnice między jego zakonem a seminariami, do których – bywa – niepełnosprawni są przyjmowani. – Chodzi między innymi o długość studiów, które u nas trwają nawet jedenaście lat – mówi zakonnik. – Bardzo ważna jest też dyspozycyjność, np. do ewentualnych misji. To wszystko powoduje, że nasze kryteria można porównać do restrykcji, z jakimi rekrutuje się kandydatów do najbardziej wymagających profesji, np. do zawodu lotnika. Tam każdy niepokojący przejaw fizycznej ułomności zostanie wychwycony.

– Przyjmując osoby niepełnosprawne, musielibyśmy zrezygnować ze specyfiki naszego charyzmatu. No i trzeba by zmienić Konstytucje, na co nikt się na razie, mimo upływu wielu lat od ich napisania przez św. Ignacego, nie odważył – ucina o. Łusiak.

Czy praktyka ta broni się w dobie ułatwień technologicznych, nowoczesnych wózków, soczewek kontaktowych, w erze większej wiedzy o niepełnosprawności?

– Gdyby dzisiaj Jan Kaczkowski był kandydatem, całkiem możliwe, że zostałby →

→ przyjęty – odpowiada o. Wacław Oszejka, także jezuita. – Świat się zmienił, są komputery, pisma z wielką czcionką, inne jest podejście do niepełnosprawności. Wiele oczywiście zależy od tego, jaki jest przełożony: jak spojrzysz na konkretną historię, jak rozeznasz wady i zalety kandydata. Nie przyjmujemy do zakonu osób z dużą niepełnosprawnością, podobnie jak ciężko chorych psychicznie. Z drugiej strony całkiem niedawno zmarł nasz współbrat, o. Jerzy Zakrzewski. Jeździł na wózku. Chorował czterdzieści lat, choć jego kłopoty zaczęły się już po przyjęciu do zakonu... Ale jego niepełnosprawność nie przeszkodziła mu tłumaczyć z obcych języków, prowadzić rekolekcje, spowiadać, mimo że mógł tylko ruszyć głową. Odpowiem więc tak: rozumiem i decyzję współbraci, i rozżalenie ks. Kaczkowskiego. Nie wiem, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby został do nas przyjęty. Pewnie znalazłby sobie jakąś robotę, może równie szaloną. Tylko czy wtedy powstałaby jego wszystkie wspaniałe dzieła?

Podobny punkt widzenia ma na to ks. Adam Boniecki: – Nie wiem, czy decyzja była dobra, czy zła, podobne rozstrzygnięcia są bardzo często intuicyjne. To tylko moje dywagacje, ale całkiem możliwe, że jezuici w tym przypadku wykazali się dobrą intuicją. Obserwuję to zgromadzenie i wydaje mi się, że oni jednak kładą duży nacisk na dyscyplinę i posłuszeństwo. Są ludzie, którzy w podobnych realiach dobrze funkcjonują. Na pewno ks. Kaczkowski do nich nie należał: ze swoim temperamentem mógłby u jezuitów oszaleć – mówi.

Sam duchowny przyznawał w rozmowie z Piotrem Żyłką („Życie na pełnej pe-tardzie”, WAM 2015): „Jako jezuita nie zbudowałbym hospicjum. I nie wyrębał-

bym sobie takiej drogi do osiągnięcia indywidualności, jak to zrobiłem w roli księdza diecezjalnego”.

Lekcja pierwsza: zobaczyć człowieka

– Tyle że jezuici nie odrzucili go ze względu na temperament, niedopasowanie charakteru do realiów zgromadzenia. Zrobili to z powodu niepełnosprawności – zauważa Piotr Szela, przyjaciel ks. Kaczkowskiego. – I to go bolało. Miał ambicje, a że nie mógł studiować na Oksfordzie, to chciał iść do jezuitów, którzy kojarzyli mu się z wysokim poziomem intelektualnym. Moim zdaniem problem jest szerszy niż historia Jana. Kościół coraz mniej walczy o eklezjalność, a coraz bardziej o instytucjonalność. Deklaratywnie bliski jest mu personalizizm, ale często nie patrzy na ludzi w sposób personalistyczny.

– To zrozumiałe, że Kościół określa kryteria, które powinni spełniać kandydaci do stanu duchownego. Przyznam jednak, że dla mnie nie wszystkie są oczywiste. Dla Jana, jak wiemy z jego opowieści, też nie wszystkie były oczywiste – mówi z kolei Katarzyna Jabłońska, publicystka „Więzi”, współautorka książek wywiadów z ks. Kaczkowskim (m.in. wydane przez Bibliotekę Więzi „Szału nie ma, jest rak”). – Niedopuszczanie do stanu kapłańskiego osób z niepełnosprawnościami natury fizycznej wydaje mi się sprzeczne z Ewangelią. Ksiądz na wózku, z przykurczonymi palcami rąk czy protezą jednej z nóg może być nie tylko znakiem samym w sobie, ale ze względu na swoją niepełnosprawność może mieć również szczególną wrażliwość, która – jak świadczy przykład Jana – potrafi pociągać do Boga nie tylko wierzących, ale także tych oddalonych od Boga i Kościoła, a nawet im niechętnych. Znam

wspaniałego młodego człowieka z porażeniem mózgowym, absolwenta polonistyki, doskonale radzącego sobie w codziennym i zawodowym życiu, któremu pięciokrotnie odmówiono przyjęcia do seminarium i wspólnoty zakonnej, motywując tę decyzję jedynie niepełnosprawnością. Wydaje mi się, że to wielka strata dla Kościoła, a także dla wspólnot zakonnych czy księzkowskich, do których chciał dołączyć. Nie rozumiem, dlaczego wspólnota księzkowska miałaby być zbiorem niezależnych od siebie atomów? Dlaczego nie mogłaby zostać włączona we wspieranie na co dzień osoby z niepełnosprawnością, by ta mogła realizować swoje powołanie? – pyta.

Przypadek drugi: „Jeśli nie wyrzucimy cię za wzrok...”

Wakacje roku 1996. Jan Kaczkowski zostaje przyjęty do Gdańskiego Seminarium Duchownego. „I dopiero tutaj zaczyna się historia upokorzeń. Idzie profesor i krzyczy: »Przeczytaj mi to na głos, bo ja w ogóle nie wiem, czy ty widzisz!«. Miałem ksywę Skaner, bo gdy czytałem bez okularów, przykładam tekst pod same oczy – wygląda to, jakbym wachał kartki. Miałem kiedyś dyżur w furcie, leżę na biurku i czytam. Wchodzi arcybiskup Gocłowski i mówi: »Janie, śpisz?«. »Nie, czytam«. Potem jak wracał, to mnie klepnął i powiedział: »Przepraszam, że tak się zachowałem, ale boimy się, jak ty będziesz przy ołtarzu czytać« – wspomni w wywiadzie dla „TP”. I doda, że o tych wątpliwościach nie mówiono wprost: „W seminarium słyszy się »pewne głosy«: że ktoś się »niepokoi«, »wyraża opinię«, »troszczy się«. I ja te »pewne głosy« też słyszałem”.

Gdy pytam ludzi Kościoła, jak historia Jana Kaczkowskiego ma się do ówczesnych i obecnych realiów, jeśli chodzi o akceptację dla niepełnosprawności, słyszę opowieść o reformie podejścia. – Wiele zmienia się na lepsze – mówi abp Grzegorz Ryś, były rektor krakowskiego seminarium, zastrzegając, że nie chce się odnosić do seminaryjnych przeżyć Jana Kaczkowskiego, bo ich nie zna. – 50 lat temu było oczywiste, że niektórych kandydatów się nie przyjmuje. Funkcjonowała nawet zasada „trzy razy S”: *sanitas, sapientia, sanctitas*. A więc że człowiek musi być zdrowy, „używający rozumu” i święty. Wiele się na takie podejście składało: m.in. uważano, że skoro ksiądz żyje sam, do czego zobowiązuje go celibat, to musi być pod każdym względem zaradny. Dzisiaj nikt choroby czy niepełnosprawności nie napiętnuje, podejście do seminarzystów jest coraz bardziej indywidualne.

Światowy Dzień Chorego

11 LUTEGO Kościół katolicki obchodzi ustanowiony 13 maja 1992 r. przez papieża Jana Pawła II Światowy Dzień Chorego. Siedem lat przed ogłoszeniem święta Jan Paweł II napisał list apostolski „*Salvifici doloris*” o chrześcijańskim sensie ludzkiego cierpienia. Papież podkreśla w doku-

mentcie, że cierpienie jest częścią tożsamości człowieka. „Cierpienie posiada w obliczu Kościoła szczególną wartość – pisat Jan Paweł II. – Jest takim dobrem, nad którym Kościół pochyla się ze czcią poprzez całą głębię swej wiary w Odkupienie. Pochyla się zarazem całą głębią tej wiary, jaką ogarnia w sobie samym niewypowiedzianą tajemnicę Ciała Chrystusa”. Centralne uroczystości święta odbywają się w którymś z Sanktuariów

Maryjnych na świecie. W tegorocznym orędziu papież Franciszek napisał: „Myślenie organizacyjne i miłość wymagają natomiast tego, aby była szanowana godność człowieka chorego i żeby był on zawsze stawiany w centrum procesu leczenia. Takie nastawienie winno cechować także chrześcijan pracujących w placówkach publicznych, którzy są powołani do tego, by przez swoją służbę dawali dobre świadectwo o Ewangelii”.



ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY KACZKOWSKICH

Ks. Jan Kaczkowski, Puck, ok. 2003 r.

– To kwestia do interpretacji w każdym przypadku z osobna – mówi z kolei ks. Krzysztof Niedałowski, duszpasterz środowisk twórczych archidiecezji gdańskiej, w seminarium jeden z wykładowców Jana Kaczkowskiego. – Jestem za otwartością i elastycznością, bo niemal dla każdego można znaleźć w kościelnej działalności jakąś niszę. Biorąc pod uwagę realia sprzed ponad dwóch dekad, uważam decyzję księdza arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego o przyjęciu Jana do seminarium za odważną.

Lekcja druga: złamać tabu

Tyle że Jan Kaczkowski został przyjęty dzięki protekcji. Po tym, jak dostał odmowną decyzję od jezuitów, jego tata, Józef Kaczkowski, w PRL-u działacz opozycji, postanowił uruchomić znajomości i – za pośrednictwem zaprzyjaźnionego Macieja Płażyńskiego, który dobrze znał abp. Gocłowskiego – pomóc synowi.

– Przyjęcie bądź nieprzyjęcie do seminarium powinno być kwestią oceny duchowej, pytania, czy kandydat ma powołanie, nie zaś oceny marszałka Sejmu bądź Senatu – mówi Błażej Kmiecik.

Obaj mieli poważną wadę wzroku i związane z nią doświadczenia z dzieciństwa

BŁAŻEJ Kmieciak:

W naszej parafii rekolekcje głosił klaretyn, który miał niedowład po wypadku. Nasz ksiądz pomagał mu przejść z ambony do miejsca przewodniczenia. I nic nie musieli mówić.

i młodości. W szkole podstawowej Kmiecika nazywali „bilardowcem” – z powodu oczopląsu. Jego mama, podobnie jak Helena Kaczkowska, czyli mama Jana, usłyszała werdykt: trzeba przenieść dziecko do szkoły dla niedowidzących. I podobnie jak ona uparła się, by tego nie robić. Na studiach przykleiła się do niego łatka „ślepy”. – Pamiętajmy, że takie doświadczenia jak moje czy ks. Kaczkowskiego dotyczą w dużej mierze albo rzeczywistości PRL-u, albo czasu niedługo po nim. A więc okresu, w którym nie rozumiano zjawiska niepełnosprawności. Piętnowano je – mówi Kmiecik.

I dodaje, że o ile wokół sporo się zmieniło, to Kościół został z tyłu. Owszem, jest w Polsce jeden ksiądz wyświęcony jako niewidomy: Robert Hetzyg. Ale i on mówi w wywiadach, że został kapłanem dzięki wyjątkowo dobremu klimatowi w swojej diecezji. Klimatowi, którego często brakuje. Owszem, kodeks prawa kanonicznego nie dyskryminuje osób fizycznie niepełnosprawnych. Ale już praktyka – wytyczana przez biskupów, przełożonych seminarium – bywa inna.

– Zajmuję się problemami osób niepełnosprawnych w Kościele i nie znam innego przykładu wyświęcenia mimo znacznej niepełnosprawności – mówi Kmiecik. – Za to znam przykłady ludzi, którzy z powodu niepełnosprawności zostali odrzuceni. Choćby mój kolega, 30-latek z dwoma fałtami i doktoratem z wyróżnieniem, głęboko wierzący, przed którym zamknięto drzwi seminarium. Nie znam alumnów na wózkach czy o białej łasce. Nic mi nie wiadomo o pełnomocniku ds. niepełnosprawnych w jednej choćby kurii. Nie słyszałem o asystentach dla niepełnosprawnych w seminarium, na podobieństwo tych, którzy działają na wielu uniwersytetach.

– Dziś na uczelniach spotyka się masę osób z ogromnymi niepełnosprawnościami, nawet pod tlenem – mówi Janina →



DAMIAN KRAMSKI

W puckim hospicjum, styczeń 2015 r.

→ Ochojska. I pyta: – Czy seminarium przyjęłoby osobę z zespołem Aspergera, tak jak przyjmują takie osoby uczelnie? Czy może uznałoby ją za „ośmieszenie kapłaństwa”? Gdyby Jan Kaczkowski w wieku 19 lat nie poczuł powołania, to poszedłby na studia. I śmiem twierdzić, że nie spotkałby się z docinkami i barierami, jakie napotkał w seminarium.

Przypadek trzeci: „Pouciekają mu dzieci”

Szósty rok nauki w seminarium. Jan Kaczkowski słyszy zdania, które zapamięta na dwie dekady. Pierwsze, z ust kościelnego hierarchy: że nie powinien w przyszłości jako ksiądz uczyć dzieci, bo „mu pouciekają”. I drugie, wypowiedziane przez jednego z proboszczów archidiecezji gdańskiej: że będzie ośmieszeniem kapłaństwa.

Kaczkowski zostaje wyświęcony, trafia do Pucka. Tyle że w dwóch pierwszych latach nie ma wstępu do szkoły, jakby zdania o „uciekających dzieciach” czy „ośmieszeniu” tkwiły gdzieś w podświadomości decydujących o jego losie. Zostaje kapłanem w szpitalu i w Domu Pomocy Społecznej.

Sam po latach zwróci uwagę na dziwaczną logikę, zgodnie z którą księża „niedający rady” są wysyłani w tak ważne miejsca. Powie np. Jarosławowi Mikołajewskiemu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: „proboszcz z Pucka »w nagrodę« został mną obdarowany. Tak trafiłem jako kapłan do Domu Pomocy Społecznej i szpitala. Kościół dość często popełnia ten błąd, że posyła kogoś »gorszego« do pracy, która wymaga wyjątkowych kwalifikacji. Nie

przypuszczam, żebym cokolwiek zawałił, ale czy tak jest zawsze?”

Po dwóch latach zostaje katechetą. Zyskuje w tej roli sławę. Uczniowie nie uciekają. Nie zostaje ośmieszeniem dla kapłaństwa. Nie chce też być postrzegany jako niepełnosprawny. Jeździ samochodem. Pokonuje bariery: również mentalne ludzi, z którymi się styka i którzy oceniają go początkowo przez pryzmat fizyczności.

Można by powiedzieć: ks. Kaczkowski nie został wcale przez Kościół „przejechaany”. Choćby dlatego, że „przejechać” się nie dał.

Lekcja trzecia: dać świadectwo

– Tyle że jego historia, jak i wiele innych, pokazuje, iż sam Kościół stawia bariery – mówi Ochojska, która po pierwszym spotkaniu na lotnisku wielokrotnie rozmawiała i spotykała się z duchownym. – Od seminariów, do których nie da się wjechać na wózek, przez kościoły, w których nie ma podjazdów, aż po bariery mentalne, skutkujące odrzucaniem niepełnosprawnych kandydatów na księży. Nie tylko zresztą ich: nadal się zdarza, że dzieci niepełnosprawne intelektualnie muszą przyjmować pierwszą komunię osobno, żeby nie naruszyć tego odwiecznego porządku, że wszyscy idą równiutko, pięknie ubrani, dziewczynki i chłopcy osobno. Sama mam takie doświadczenie: musiałam czekać na komunię w prezbiterium, oddzielona od grupy. Nie byłam na wspólnym zdjęciu, czułam się odrzucona. Podobne rzeczy dzieją się nadal. Mam znajomych, których córka ma zespół Do-

wna. I ona też przystępowała do pierwszej komunii osobno! Kościół wiele robi dla wykluczonych, dba o bezdomnych, ubogich, chorych. A jednocześnie to w Kościele nadal zdarzają się przypadki wykluczenia.

Janina Ochojska i Błażej Kmiecik mówią o sile świadectwa: widok księdza, biskupa na wózku zrobiłby więcej niż tysiące słów. – Byłem świadkiem takiej sytuacji – opowiada Kmiecik. – W naszej parafii rekolekcje głosił klaretyn, który miał niedowład po wypadku. Pamiętam do dziś: nasz ksiądz pomaga mu przejść z ambony do miejsca przewodniczenia. Oni nic nie musieli mówić. To była jedna z piękniejszych scen, jakie widziałem w kościele. Życie ks. Jana było podobnym świadectwem, tyle że na znacznie większą skalę.

Przypadek szczególny: choroba

1 czerwca 2012 r. Ks. Kaczkowski otrzymuje diagnozę: nieuleczalny glejak mózgu IV stopnia. W którym momencie zdecydował, że z kolejnej słabości zrobi siłę? Że swoje niedomagające ciało wystawi przed ludźmi?

W niektórych, najtrudniejszych fazach choroby musiał usiąść na wózku. W innych zmieniał się fizycznie. Był otyły, poruszał się z trudem. Nie bał się pokazać ciekawej z kącików ust śliny.

Przewracał się. Również podczas mszy w kaplicy założonego przez siebie hospicjum. Niektórzy zapamiętali moment napięcia: on przy ołtarzu albo idący niepewnym, chwiejnym krokiem. A siedzący w pierwszych rzędach kaplicy gotowi do skoku – w razie gdyby znów się zachwiał. Za którymś razem powiedział, wywołując salwę śmiechu: „Po raz pierwszy widzieliście państwo upadłego księdza”.

Robił wrażenie tym połączeniem: znękanego ciała, nad którym czasem nie panował, z mocnym słowem, nad którym panował prawie zawsze.

Czy naprawdę chciał być oglądany w stanach niemocy, utraty kontroli? Odpowiedział na to pytanie aż nadto dobitnie, dając analogię pomiędzy swoim życiem a życiem Jana Pawła II. „Nie wstydził się przed kamerami, kiedy leciała mu z ust ślina – mówił Piotrowi Żyłce. – Pokazał, że człowiek może zachować jasność umysłu, mimo że Bóg nie oszczędzał mu niczego, odbierał poszczególne atrybuty bycia porównywalnym tłumy kaznodzieję i po prostu sprawnym człowiekiem. W momencie kiedy chciał coś powiedzieć, a z rurki tracheotomijnej wydobył się tylko charkot, potrafił pokazać więcej niecierpliwym ru-

chem ręki, niż mówiąc osiem homilii (...). Kiedy zamierzano wykadrować go w telewizji, żeby nie było widać jego trzęsącej się ręki, nie zgodził się, chciał być prawdziwy wobec ludzi”.

Lekcja szczególna: siła w słabości

Historie niemocy zamienionej w siłę. Historie Jana Pawła II, ks. Jana Kaczkowskiego. Może to one są najlepszą odpowiedzią na argumenty o „szczególnie wymagającej pracy księdza”?

Kmieciak: – Ze swoją niepełnosprawnością neurologiczną, niedowidzeniem i ciężkim nowotworem mózgu zrobił przez niecałe cztery lata tyle, że mógłby tym obdzielić wielu zdrowych księży. Sam wyznaczał sobie cele i granice, które potem krok po kroku realizował. W swojej niepełnosprawności, której za niepełnosprawność nie uważał, dokonał jeszcze innej ważnej rzeczy. Realizował nie tylko pierwszą, ale i drugą część wezwania: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”. Polubił siebie ze wszystkimi niedomaganiem.

Ochojska: – Pytałam, jak daje radę fizycznie. Wiedziała, jak ciężko znosić trudy ciągłych podróży, przesiadek, logistyki, będąc niepełnosprawnym. Mówił, że się spieszy, bo ma mało czasu... Pewnie też z tego powodu nie chodził na żadną rehabilitację, nie zajmował się sobą. „Bo ile to może mi dać? – pytał. – Kilka dni więcej?”. Żył się ze swoją niemocą, w jakimś sensie był nawet za nią wdzięczny. Ja to akurat rozumiem: uważam, że mam dobre życie, również dzięki swojej niepełnosprawności. Nie wiem, gdzie bym była bez niej. On chyba myślał podobnie. Nadał swojej niepełnosprawności i chorobie sens. Pokazał słabość, której siła nie jest w Kościele doceniana. A czasami jest nawet odrzucana. ©©

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Tekst jest skróconą wersją rozdziału biografii pt. „Jan Kaczkowski. Życie pod prąd”, która ukaże się 12 marca nakładem wydawnictwa WAM. Już teraz dostępna jest w przedsprzedaży na stronie wydawnictwowam.pl.

Archiwalne rozmowy z ks. Kaczkowskim i teksty o nim dostępne są na stronie powszech.net/ks-kaczkowski

POZEGNIANIE

1 stycznia 2018 roku zmarła w Opolu
w wieku 104 lat

ś.†p.

Maria Kokot

Absolwentka Wyższego Katolickiego Studium Społecznego założonego przez księdza prymasa Hłonda w Poznaniu, członkini Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, sekretarz generalna Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej w Katowicach, w latach 1981–1984 z nominacji prymasa Glempa członkini Prymasowskiej Rady Społecznej.

Jedna z założycielek Klubu Inteligencji Katolickiej przy katedrze opolskiej.

Ciężko pracowała m.in. w przemyśle węglowym w Katowicach, a także później w Instytucie Śląskim w Opolu.
Wdowa po śp. profesorze Józefie Kokocie.

Przeżyła dwie wojny światowe i powódź stulecia w 1997 r.
Była silna, odważna, a zarazem ciepła. Nigdy się nie poddawała, mimo wielu rodzinnych nieszczęść. Nawiazywała szczere kontakty z innymi, dlatego te znajomości i przyjaźnie przetrwały próbę czasu.
W każdym napotkanym człowieku zostawiała cząstkę siebie.

Zawsze elegancka i skromna, kulturalna i taktowna.
Lubiła organizować spotkania grupy przyjaciół i rodzinne przyjęcia.

Uwielbiała kawę i słodycze.

Piekła przepyszne, pachnące wanilią i cynamonem, szarlotki.
Prowadziła dom otwarty. Była wspaniałą, czułą, pełną dobroci, wymagającą od siebie i od innych
Matką, Babcią, Prababcią i Ciocią.

O jej odejściu z dużym bólem zawiadamia

RODZINA

Pogrzeb na cmentarzu w Opolu Półwsi odbył się 5 stycznia 2018 r.

POZEGNIANIE

Księdzu

Wojciechowi Lemańskiemu

Serdeczne wyrazy wsparcia i głębokiego współczucia
z powodu śmierci Ojca

ś.†p.

Józefa Lemańskiego

uczestnika Powstania Warszawskiego,
gorącego Patrioty i Społecznika otwartego na innych ludzi

składają

ZAWSZE WIERNI PRZYJACIELE



PACIFIC PRESS / GETTY IMAGES

Na placu św. Piotra, 30 stycznia 2018 r.

Omylny papież i jego krytycy

PIOTR SIKORA

Coraz mocniejsze są w Kościele głosy, że wierność katolickiej ortodoksji wymaga także wielkiej ostrożności w podchodzeniu do autorytetu papieża.

W 1998 r. JAN PAWEŁ II WYDAŁ DOKUMENT *motu proprio* „*Ad tuendam fidem*”. Umocowywał on w prawie kanonicznym tendencję rozszerzania dogmatycznego autorytetu papieskiego Magisterium, które pojawiły się w wydawanych wówczas dokumentach Kongregacji Nauki Wiary. Wówczas same te tendencje, jak i papieski dokument krytykowane były przez tzw. teologów progresywnych, czyli szukających nowych interpretacji i rozwiązań, którzy oskarżali często Jana Pawła II o wstrzymywanie reform soborowych.

Progresywni krytycy Magisterium

Reakcje te nie były zaskakujące. Od czasu Soboru Watykańskiego II to właśnie tzw. progresiści podnosili krytyczne głosy wobec doktrynalnego autorytetu Magisterium Kościoła. Najsłynniejszym spośród tych głosów była książka Hansa Künga

„Nieomylny?”, w której autor kwestionował samo istnienie nieomylnego Urzędu Nauczycielskiego. Nieco mniej krytyczny Walter Kasper, późniejszy kardynał, w książce „Rzeczywistość wiary” za idealną sytuację zgłębiania objawionej prawdy uważał nieskrępowany dialog wszystkich podmiotów w Kościele, zaś rozstrzygające akty Magisterium uważał za swego rodzaju „stan wyjątkowy” – czasem konieczny, ale zawsze zmierzający do przywrócenia normalnej, wolnej debaty.

Co więcej, wszyscy ci teologowie podkreślali wtórny charakter wypowiedzi Magisterium (w tym papieża) jako jedynie interpretacji uprzednio danego Objawienia. Uznawali zatem, że to Objawienie jest ostatecznym kryterium także papieskich interpretacji i rozstrzygnięć.

Gorące debaty światowej teologii miały dość słaby oddźwięk na polskim podwór-

ku. Autorytet Jana Pawła II sprawiał, że w kościelnych kręgach nie było słyhać prawie żadnych krytycznych głosów – nawet jeśli prywatnie teologowie zdawali sobie sprawę z ograniczeń papieskiego autorytetu. Sytuację dobrze pokazuje obrazek z egzaminu magisterskiego z teologii na jednej z polskich uczelni. Podczas dyskusji z magistrantką przewodniczący komisji, dziekan wydziału teologii, mówi: „Przecież encykliki papieskie nie są nieomylnie. Na przykład w »*Redemptor hominis*« Jana Pawła znaleziono błąd teologiczny”, i nagle, uderzając się usta, dodaje: „Ale po co to rozpowiadać”... W powszechnej świadomości panuje pogląd: *Roma locuta, causa finita*.

Konserwatywna rewolta

Dziś sytuacja jest diametralnie inna.

To w środowiskach konserwatywnych powstaje i jest podpisywany list do papieża, tzw. „*Correctio filialis*”, w którym padają oskarżenia Franciszka o głoszenie herezji i wezwania do wyrzeczenia się heretycznych twierdzeń.

To środowiska konserwatywne, związane z niedawno zmarłym kardynałem Carlem Caffarrą, organizują w Rzymie konferencję poświęconą sposobom „zażegnania obecnego kryzysu w Kościele”, na której jedną z głównych kwestii będzie zagadnienie granic papieskiej nieomylności. Historia duchowego patrona tego wydarzenia, kard. Caffarry, jest w tym kontekście znamienista. Był on jednym z najbliższych współpracowników Jana Pawła II. Z polecenia papieża Wojtyły tworzył Insty-

tut Studiów nad Rodziną – jeden z głównych ośrodków doktrynalno-moralnego nauczania Magisterium za czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI. W ostatnich latach dał się poznać jako jeden z autorów tzw. „Dubiów” – listu do Franciszka, zdecydowanie krytykującego jego adhortację „*Amoris laetitia*”.

Informacja o „Dubiach” była szeroko rozpowszechniana także w Polsce, zaś ich autorów przedstawiano w kościelno-konserwatywnych kręgach jako bohaterów walki o ortodoksję. Ba, polscy katolicy podejmują własne inicjatywy w podobnym duchu. Na stronie poloniasemperfidelis.pl, powiązanej z portalem „Polonia Christiana” pch24.pl, zainicjowano akcję podpisywania petycji do polskich biskupów, by sformułowali wytyczne do duszpasterskiej realizacji „*Amoris laetitia*” niezgodne z papieską interpretacją adhortacji. O Franciszku się tam wprost, co prawda, nie wspomina, ale sprawa jest oczywista. Petycję podpisało już ok. 90 tys. osób, w tym przedstawiciele opiniotwórczych konserwatywnych środowisk, tacy jak Tomasz Terlikowski czy redaktorzy „Polonia Christiana” i „Christinitas”.

Redaktorzy ci i publicyści nie ograniczyli się do podpisu petycji. Na ich portalach i w ich czasopismach można od pewnego czasu znaleźć coraz więcej tekstów jawnie krytycznych wobec nadmiernego rozszerzania autorytetu papieża.

Portal pch24.pl opublikował np. zapis homilii popularnego kaznodziei, o. Augustyna Pelanowskiego. Paulin ten przekonuje, że „kiedy papież mówi prawdę o Jezusie, to jest papieżem, a kiedy kłamie o Nim – przestaje być papieżem” oraz że „nauczanie papieża jest bezbłędne jedynie wtedy, gdy jest zgodne z nauczaniem Jezusa”. Nawołuje do wierności „Kościołowi katolickiemu i dwudziestemu wiekom nauczania, a przede wszystkim nauczaniu Jezusa” i wyjaśnia, że „nawet Magisterium Kościoła nie jest ponad słowem Bożym, ale my mamy mu służyć, wyjaśniać, co jest w Piśmie zawarte”. Inny przykład: „Mały Dziennik” Tomasza Terlikowskiego przywołuje amerykańskiego kanonistę, ks. Geralda Murraya, który podkreśla, że „papież nie może zmienić doktryny”.

Najbardziej dogłębną krytykę nadmiernego rozszerzania autorytetu osoby papieża znaleźć można w pismach redaktorów „Christianitas”. Tak np. Tomasz Rowiński komentując fragmenty „*Lumen gentium*”, mówiące o nieomyślności papieskiej, stwierdza: „Powyższe formuły soborowe wiążą zatem Papieża – w jego kompetencji strzeżenia, przekazywania i wyjaśniania

depozytu wiary – nierozzerwalnym węzłem z Kolegium Biskupów. Co więcej: zostaje tu wyraźnie powiedziane, że nieomyślność w sprawach wiary połączona jest z »mocą urzędu«, co oznacza, że sprawy te nie są po prostu w osobistej dyspozycji Papieża. Gdyby były w osobistej dyspozycji, oznaczałoby to, że każdy Papież może nimi rozporządzać według własnej woli, nawet jeśli nie byłaby ona połączona w swoich uzasadnieniach z tradycją katolicką”.

W komentarzu Rowińskiego widać nie tylko próbę poddania doktrynalnych aktów papieża ocenie, na ile zgodne są one z całą tradycją chrześcijańską. Pobrzmiwają w nim też tendencje koncylarystyczne – tj. wiążące kompetencje papieża z jego związkiem z wszystkimi biskupami świata.

Co ciekawe, Rowiński przyznaje, że przywiązanie do papieża „wynika w pewnej przynajmniej mierze z wpływów absolutystycznych w Kościele. Papieski »absolutyzm« wydawał się bowiem długo bastionem katolickości wobec różnorodności ideologii i tendencji politycznych rozpadającej się *christianitas*. Posłuszeństwo papieżowi było swoistym testem katolickości (...) Nie będzie przesadą powiedzieć, że ukształtowała się quasi-protestancka mentalność, którą można opisać jako *solus papatus* analogicznie do *sola scriptura*, *sola fides* itd”. Redaktor „Christianitas” ostrzega: „Pokusa papieństwa dziś jest przede wszystkim pokusa władzy nad Ewangelią, nad Słowem Bożym, nad tradycją, którą tu rozumiemy jako realizację dzieł zbawienia i wypełnienie nauczania Pana Jezusa. Okazuje się – możemy wyobrazić sobie taką sytuację – że całe nauczanie Kościoła opiera się na wyczuciu Papieża. Byłby to prawdziwy horror teologiczny”.

Rozważania Rowińskiego korespondują z analizami naczelnego „Christianitas”, Pawła Milcarka, który wprowadza rozróżnienie na portret (osobę papieża) i ramę (urząd papieski). Podkreśla też fakt, że papież nie wszystko może, przywołując Jana Pawła II, który w ten sposób odpowiedział na postulaty święcenia kobiet: że nie ma takiej władzy. Każdy papież – twierdzi Milcarek – powinien wchodzić w ramę urzędu papieskiego, która go ogranicza w jego możliwości decyzyjnej.

Wartość debaty

Konserwatywni krytycy Franciszka oskarżają jego „postępowych” zwolenników, że chcą zatrzymać krytykę, zbyt łatwo odwołując się do papieskiego autorytetu. Trzeba przyznać, że nie są to zarzuty bezpodstawne. Np. kard. Kasper – kiedyś wskazujący

na wolną debatę jako na najlepszy sposób kościelnego zgłębiania objawienia – wyraził niedawno nadzieję, że „wreszcie zakończy się przykra dyskusja wokół »*Amoris laetitia*«”. Argumentem za zakończeniem debaty miała być publikacja w „Acta Apostolicae Sedis”, zbiorze oficjalnych papieskich dokumentów, listu papieża Franciszka do biskupów regionu Buenos Aires, wspierająca ich interpretację adhortacji.

Niezależnie jednak, co kto sądzi o właściwej interpretacji „*Amoris laetitia*”, jedno jest pewne – i tu konserwatywni krytycy Franciszka mają rację – nie jest to dokument nieomyślny, nie jest też nieomyślna jego wykładnia wspierana przez papieża. Można więc – i warto – nadal dyskutować. Nie przestaje też być katolikiem ktoś, kto się z Franciszkiem nie zgadza.

Z drugiej strony jednak trzeba pamiętać, że podobny nie-nieomyślny status ma – wedle nauki katolickiej – adhortacja Jana Pawła II „*Familiaris consortio*” lub encyklika Pawła VI „*Humanae vitae*”. Krytykowanie Franciszka tylko dlatego, że głosi trochę co innego niż jego poprzednicy – sprzeciwiając się jakoby „odwiecznej i niezmiennej Tradycji Kościoła” – jest teologicznie nieuzasadnione. Ograniczenia papieskiego autorytetu, słusznie wskazywane przez przeciwników Franciszka, odnoszą się także do poprzednich biskupów Rzymu. Nie jest prawdą, jakoby nauka Kościoła w tych kwestiach, co do których toczy się spór z Franciszkiem, była jednoznacznie i w nieomyślny sposób określona. Na przykład w kwestii małżeństwa – jak wiele tu niedopowiedzeń i niespójności, pokazuje ks. Grzegorz Strzelczyk w jednym ze swych naukowych artykułów, w którym wyjaśnia, że zasadniczy problem to pogodzenie podejścia teologicznego i prawnokanonicznego i związane z tym niejasności (np. czy do zawarcia sakramentalnego małżeństwa potrzebna jest żywa wiara narzeczonych, albo co konstytuuje nierozzerwalny sakramentalny związek małżeński: celebacja liturgiczna czy współżycie seksualne).

Wedle doktryny katolickiej papież jest nieomyślny tylko wówczas, gdy wypowiada się *ex cathedra* – a zdarza się to niezwykle rzadko (od ogłoszenia dogmatu o papieskiej nieomyślności w 1870 r. – raz). Rację mają zarówno progresywni, jak i konserwatywni myśliciele, gdy namawiają do samodzielnego myślenia – myślenia, które bardzo serio bierze papieskie nauczanie pod uwagę, ale opiera się na całej Tradycji Kościoła, z jej korzeniem: księgami Pisma oraz wszystkim, co z tego korzenia wyrosło. ©P

Ludowa czy drobnomieszczańska

JAREMA PIEKUTOWSKI

Dlaczego w niedzielę, w którą we wszystkich parafiach w Polsce prowadzono najnowsze badania Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego, do komunii nie przystąpiło około 29 milionów polskich katolików?

JEŻELI NIE BĘDZIECIE SPOŻYWALI CIAŁA Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie” – głosi Ewangelia św. Jana. Wrzesień 1562 r., Sesja XXII Soboru Trydenckiego: „Sobór życzyłby sobie, by podczas każdej mszy św. obecni wierni komunikowali nie tylko duchowym uczuciem, lecz także sakramentalnym przyjęciem Eucharystii”. Rok 1905, dekret Świętej Kongregacji Soboru „*Sacra Tridentina Synodus*”: „Częsta, a nawet i codzienna komunія święta, jako odpowiadająca gorącym życzeniom Chrystusa Pana i Kościoła katolickiego, ma być dozwolona wszystkim wiernym każdego stanu i zawodu tak dalece, żeby uczestnictwo Stołu Pańskiego nie było wzbronione nikomu, który jest w stanie łaski i do komunii św. przystępuje z sercem prostym i pobożnym, czyli w dobrej intencji”.

Jest rok 2018. Na mszę przychodzi 12 mln katolików spośród 35 mln. Do komunii przystępuje 5,6 mln (zob. na sąsiedniej stronie „Praktyki w liczbach”). Dlaczego wierni nie chcą – lub nie mogą – mieć w sobie obiecanego życia? Czemu tak wielu nie przystępuje do komunii? To chyba najbardziej palące pytanie, które postawiłem sobie po lekturze „*Annuarium Statisticum Ecclesiae in Polonia AD 2018*” autorstwa Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego.

Komunia dla wybranych

Obserwacje służące do sporządzenia raportu ISKK prowadzone są we wszystkich parafiach jednej, wybranej niedzieli. Nie można więc stwierdzić, że badani nie przystępują do komunii w ogóle. Trzecie przykazanie kościelne mówi, że „Każdy wierny jest zobowiązany przynajmniej raz w roku na Wielkanoc przyjąć komunię św.”. Może to jest trop?

O. Marek Pieńkowski, dominikanin, duszpasterz dorosłych, subprzeor klaszto-

ru w Rzeszowie: – Często przy spowiedzi wielkanocnej ludzie mówią, że ostatni raz spowiadali się rok wcześniej. Od razu pytam, kiedy ostatnio byli u komunii. Najczęściej mówią, że też mniej więcej około poprzedniej Wielkanocy.

Próbuję uchwycić moment odejścia. Czy przyczyną jest przekonanie o „wypadnięciu” ze stanu łaski uświęcającej? Kilkanaście lat temu ks. Józef Tischner w wywiadzie z Dorotą Zańko i Jarosławem Gowinem mówił, że najczęstszą przyczyną odchodzenia od Kościoła są kwestie związane z etyką małżeńską. Jednak gdyby nieprzystępowanie do komunii dotyczyło tylko osób będących w związkach niesakramentalnych, to także w Wielkanoc nie miałyby one tej możliwości. A jednak wierni, o których mówi dominikanin, raz do roku się spowiadają, idą do komunii, a potem przestają ją przyjmować i czekają na kolejne większe święto. Może więc nie mają przekonania, że Eucharystię należy przyjmować częściej niż raz w roku?

– To możliwe, ale jeśli tak jest, to mamy do czynienia z całkowitym pomieszaniem pojęć – komentuje o. Pieńkowski. – Zawsze tłumaczę penitentom, że Eucharystia to pokarm. Człowiek musi jeść, żeby żyć. To samo dotyczy życia duchowego. Wydaje się, że w wielu ludziach ukształtowało się myślenie o komunii jako o czymś zbyt wielkim, i wielu myśli, że nie są jej godni. Ale tu nie chodzi o godność: nikt nie jest godny, a przystępować trzeba! Pan Jezus powiedział to bardzo wyraźnie.

Pytam o te kwestie także ks. dr. Wojciecha Sadłonia, dyrektora ISKK. – Polacy bez wątpienia wciąż mają poczucie grzechu. Rodzą się pytania, czy do komunii nie mogłoby przychodzić więcej osób, i w jaki sposób zmobilizować ludzi do częstszej spowiedzi. Być może pewna grupa traktuje przychodzenie na mszę bez przyjmo-



wania komunii jako pewien standard duchowy.

O. Pieńkowski przyznaje, że oficjalne dokumenty Kościoła to jedno, a praktyka, nie tylko wśród świeckich, to drugie. – Faktycznie jeszcze sto czy dwieście lat temu nawet w niektórych zakonach istniał stereotyp, że do komunii nie należy przystępować zbyt często. Nie zdawano sobie sprawy, że to fałszywe przekonanie – tłumaczy zakonnik.

Siła tradycji?

Sytuacja dziś jest i tak lepsza niż trzy dekady temu. Według danych ISKK na początku lat 80. do Eucharystii podczas badanej mszy nie przystępowało 91-92 proc. katolików. Wskaźnik *communicantes* ustabilizował się około 1998 r., i od tego czasu nie spada poniżej 15 proc. W drugiej połowie lat 90. religijność Polaków na chwilę się ożywiła. Z pewnością wpływ na to miały entuzjastycznie przyjmowane podróże apostolskie Jana Pawła II. Po jego śmierci, w 2006 r., po raz ostatni odsetek uczestni-



ROBERT WOŹNIAK

KS. WOJCIECH SADŁOŃ:

Coraz wyraźniej widzę rolę tego, co nazywamy pobożnością ludową, w podtrzymywaniu religijności.

10 lat znacząco spadł odsetek *dominantes* w diecezjach typowo miejskich: najwięcej w diecezji katowickiej (z 59,2 do 38,1 proc.) i warszawskiej (z 39,9 do 26,7 proc.). Z drugiej – negatywna tendencja występuje także na terenach kojarzonych z pobożnością ludową (diecezje sandomierska, zamojsko-lubaczowska czy przemyska).

– Coraz wyraźniej widzę rolę tego, co nazywamy pobożnością ludową, w podtrzymywaniu religijności – komentuje ks. Sadłoń. – Rola symboliki i emocji jest nie do przecenienia. To istotny kapitał, choć pewna zabobonność i „magiczność” są z kolei negatywnym elementem tej pobożności.

Religijność ludowa, często wiązana z nacjonalizmem i skłonnością do poglądów silnie prawicowych, była niejednokrotnie krytykowana. Zbigniew Nosowski, socjolog, redaktor naczelny „Więzi”, uważa, że to w dużej mierze nieporozumienie: – Owszem, religijność ludowa występuje czasami w takim pakiecie, ale nie należy stawić jej w szeregu z Radiem Maryja. Ludowa pobożność mocno trzymała ludzi przy wierze. Dużo bardziej negatywnym zjawiskiem jest religijność drobnomieszczańska, bezrefleksyjna, według której „wypada” być katolikiem – podkreśla Nosowski. – Z takiej religijności się wyrasta.

Kapitału związanego z pobożnością ludową świadoma jest Ewa Kiedio, redaktorka „Więzi”, która organizuje w Warszawie

czących w mszy przekroczył 45 proc. Po tem był już tylko nieustanny spadek.

Co się stało w ciągu ostatniego dziesięciolecia? Trzeba się przyjrzeć nie tylko danym ogólnopolskim, ale też poszczególnym diecezjom. Regiony, w których najwięcej osób uczestniczy w mszy, nie zmieniają się od lat. To diecezje południowo-

-wschodnie: tarnowska, rzeszowska i przemyska. W tej pierwszej podczas badania ISKK na mszy było niemal 67 proc. katolików. Liczby zdają się wskazywać, że w regionach przywiązanych do tradycyjnej religijności wskaźnik uczęszczania na mszę jest cały czas wysoki. Dane jednak nie są jednoznaczne. Z jednej strony w ciągu

Praktyki w liczbach

NA POZĄTKU STYCZNIA ukazał się najnowszy raport Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczący religijności Polaków. Co roku, w wybraną niedzielę (w tym przypadku: 16 października 2016 r.), we wszystkich parafiach odbywa się liczenie wiernych uczestniczących w mszy (wskaźnik *dominantes*) i przystępujących do komunii św.

(wskaźnik *communicantes*). Za katolików uważa się wg badań CBOS 92 proc. Polaków (ponad 35 mln). W świetle ostatniego raportu ISKK w roku 2016 na niedzielą mszę przychodziło 36,7 proc. wszystkich zobowiązanych (ok. 12 mln). Do komunii przystępowało 16 proc. wiernych (ok. 5,6 mln). W stosunku do roku 2015 wskaźnik *dominantes* spadł o 3,1 pkt. proc., zaś wskaźnik *communicantes* o 1 pkt. proc. Księża odprawiali co niedzielę około 48 tys. mszy;

wierni najchętniej przychodzili na te poranne, w godzinach 8-11. Nieżyjący już założyciel ISKK, ks. prof. Witold Zdaniewicz, analizując prowadzone od 1980 r. badania praktyk religijnych, wskazywał, że na postawy polskich wiernych nie wpływały głośne wydarzenia medialne, jak odejścia z kapłaństwa znanych księży czy skandale lustracyjne. Socjologowie nie zaobserwowali też żadnego efektu związanego z wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej w 2004 r.

„Trudno nie mieć wrażenia, że Opatrzność posłużyła się Instytutem Statystyki Kościoła Katolickiego, by dobitnie pokazać nam, jak duża część polskiego katolicyzmu wylewającego się z Sejmu, z newsów w państwowej telewizji, a nawet (do tego doszło) z urzędów pocztowych – to katolicyzm jedynie kulturowy” – komentował na naszych łamach najnowszy raport Szymon Hołownia (powszech.net/opatrznosc). © ©

MAM

→ akcję „Ucieczka grzesznych”, polegającą na odprawianiu nabożeństw majowych pod miejskimi, zapomnianymi niejednokrotnie kapliczkami. W ten sposób, jak mówi, coś, co było przez wiele lat naturalne, dziś można odkryć na nowo.

Tereny misyjne

Od lat najmniej katolików chodzi na mszę na obszarach przyłączonych do Polski po 1945 r. – w województwach zachodniopomorskim, lubuskim, dolnośląskim. Tu także dane nie są jednoznaczne. Jedyną diecezją, w której wskaźnik *dominican-tes* wzrósł od 2006 r., jest diecezja legnicka. Natomiast najgorzej jest od lat w diecezji szczecińsko-kamieńskiej. W 2016 r. na mszę przychodziło tam tylko 22,7 proc. katolików, a do komunii przystępował jedynie co dziesiąty. Na czym polega specyfika zachodniopomorskiej religijności?

Badacze są zgodni co do tego, że to region szczególny. Dr Lucjan Adamczuk, socjolog współpracujący z ISKK, pisze wręcz o jego odmienności. Po II wojnie światowej, jak wskazuje Adamczuk, na ziemiach zachodnich nie można było mówić o odbudowie struktur Kościoła. One tak naprawdę nie istniały i trzeba było je zbudować od nowa. Ludność, napływająca z różnych stron, często odrywała się od własnych korzeni społecznych, a więc i religijnych. Szczecin uznawano za „najdalej wysuniętą na Zachód placówkę polskiego socjalizmu” – tereny Pomorza Zachodniego poddane więc były silnym wpływom ustroju.

W południowej i wschodniej Polsce przywiązanie do religii w dużej mierze łączy się z przywiązaniem do ojcowizny – ziemi przekazywanej z pokolenia na pokolenie. W Zachodniopomorskim rolnictwo indywidualne praktycznie nie istniało – tu królowały PGR-y. Brakowało też podstaw obywatelskich, skłonności do współpracy i zrzeszania się – a więc także wspólnota Kościoła nie potrafiła przyciągnąć wielu mieszkańców.

Diecezje zachodniopomorskie plasują się jednak dość wysoko w rankingu *communicantes*. Pośród osób, które w ogóle idą w niedzielę do kościoła, tych przyjmujących komunię jest stosunkowo dużo. Dla przykładu – w diecezji rzeszowskiej do komunii idzie co czwarty wierny, a w szczecińsko-kamieńskiej – co drugi. Być może jest to wskaźnik bardziej świadomej i „starańnej” wiary: te osoby, które decydują się chodzić do Kościoła, żyją tak, aby móc przystępować do komunii. Można to jednak wyjaśniać inaczej – być może zachodniopomorscy wierni są podobni do katolików z Zachodu, którzy do spowiedzi cho-

Umiejscowienie katechezy

w szkole w dużej mierze umocniło postrzeganie religii i związanych z nią praktyk jako obowiązku, a nie źródła życia, siły i miłości.

dą bardzo rzadko, a do komunii przystępują bez specjalnej refleksji nad swoim sumieniem.

Mimo niskich wskaźników, Pomorze Zachodnie jest miejscem ogromnych potrzeb religijnych. Ludzie głodni wiary najczęściej zachodzą do parafii zakonnych. Od kilkunastu lat do szczecińskich dominikanów na liturgię Wigilii Paschalnej czy pasterkę przychodzi po 2 tys. osób, miejsca trzeba zajmować na półtorej godziny przed mszą. Prężnie rozwijało się duszpasterstwo akademickie. W szczytowym momencie tego religijnego boomu, w latach 2004-06, przy klasztorze działało ponad 30 różnych grup i wspólnot. Mieszkańców pociągała u dominikanów autentyczność, piękna liturgia, proste i mądre kazania. Szukali czegoś nowego – tradycyjna religijność ludowa nie sprawdzała się na tych terenach.

Zresztą i w innych obszarach parafie zakonne przyciągają mieszkańców. O. Pińkowski tak mówi o klasztorze rzeszowskim: – Na terenie naszej parafii mieszka 2,5 tys. wiernych, a na msze przychodzi 4 tys. Być może tu i ówdzie zwyczaj spowiedzi zanika, ale u nas do konfesjonału przychodzi z roku na rok coraz więcej ludzi.

W Szczecinie dziś dominikański boom jest już trochę słabszy, liczba studentów w duszpasterstwie maleje. Jednak większość wspólnot działa nadal – ku utraپieniu zakonników, których jest na tę liczbę zadań za mało.

Co dalej?

Czemu spada liczba praktykujących katolików? Przedstawiane najczęściej wyjaśnienia mówią o zmianie stylu życia i postępującym procesie sekularyzacji, który na Zachodzie nastąpił po rewolucji lat 60., a w Polsce, ze względu na specyfikę polityczną, opóźnił się i następuje obecnie. – To w dużej mierze sekularyzacja na własne życzenie – mówi Zbigniew Nosowski. – „Więź” od 1990 r. przekonywała, że sekularyzacja na wzór zachodni nie musi się w Polsce powtórzyć. Mogła

nas przed tym uchronić umiejętna postawa Kościoła w Polsce przed kilkunastoma laty. Był to „czas katolicyzmu”, szansy na nasycenie polskiej kultury chrześcijaństwem na nowo, ale należało to czynić w sposób oddolny, a nie odgórny. Kościół nie skorzystał z tej szansy. I dziś właśnie ze smutkiem oddajemy do druku teksty pod wspólnym nagłówkiem: „Samosekularyzacja po polsku”.

Momentem największego kryzysu wiary, zdaniem duszpasterzy, często okazuje się chwila założenia rodziny – wtedy nie ma już czasu na chodzenie po wspólnotach. Istotny spadek *dominican-tes* w 2016 r. wskazuje też na to, że choć chcemy, jak twierdzi premier Morawiecki, rechrystianizować Europę, to polskiemu katolicyzmowi nie służy sojusz ołtarza z tronem. Deklarowana i promowana przez obóz władzy religijność nie przekłada się na wzrost praktyk. W czasach PRL polski Kościół miał charakter opozycyjny. Być może Polacy są nadal przywiązani do działania „w kontrze”, na co wskazywała choćby fala antyklerykalizmu na początku lat 90., kiedy ZChN domagał się przepisów o poszanowaniu wartości chrześcijańskich. Katecheza w szkołach także nie przyczyniła się do wzrostu religijności młodych – przeciwnie, według badań GUS najrzadziej religijność deklarują osoby w wieku 25-34 lat. Umiejscowienie katechezy w szkole w dużej mierze umocniło postrzeganie religii i związanych z nią praktyk jako obowiązku, a nie źródła życia, siły i miłości. Potwierdzałoby to tezę o „standardzie duchowym”, w którym komunია jest przede wszystkim obowiązkiem do spełniania raz w roku.

Podstawowe pytanie brzmi: czy Polacy faktycznie odbierają chrześcijaństwo jako Dobrą Nowinę? Czy daje im ono życie i wolność? Tradycyjny model wiary odchodzi w przeszłość, a język, którym mówią ludzie instytucjonalnego Kościoła, często nie przystaje do rzeczywistości przeciętnego człowieka. W rezultacie chrześcijaństwo przestaje być elementem codziennego życia osobistego i społecznego (chyba że w sferze czysto rytualnej lub charytatywnej).

Ks. Wojciech Sadłoń z ISKK: – Wyzwaniem dla polskiego Kościoła jest z jednej strony nie zatracić tej podstawy, jaką jest pobożność ludowa, a z drugiej oczyścić ją z elementów magicznych. Trzeba skorzystać z tego kapitału, a jednocześnie uzupełnić go o podejście personalistyczne i egzystencjalne: tak, by wiara przekładała się na relacje.

©

JAREMA PIEKUTOWSKI

SZYMON

Hołownia:

Strategia Gandhiego



JEDNYM Z WAŻNYCH ETAPÓW NA DRODZE MOJEGO wątego jak sik pająka życia duchowego (przepraszam, nie mogę uwolnić się od tej malowniczej młodzieżowej metafory) było odkrycie, że wolę moją biedę, w której ma szansę zadziałać Siła ode mnie Wyższa, od snów o spełnieniu i bogactwie, w których działał tylko sam. Przyszłość i przeszłość nie istnieją. Wspomnienia, obawy czy marzenia to rzeczywistość wirtualna – film wyświetlany dla jednoosobowej widowni w mojej głowie. Próby wypracowania prywatnej polityki historycznej wobec Bitwy pod Grunwaldem (a nie jest to wyzwanie błahe dla kogoś, kto miał przodków po obu jej stronach) albo snucia wizji, co będę robił za pół wieku jako emerytowany zbawca czegoś tam, mają uzasadnienie tylko o tyle, o ile robią ze mnie lepszego człowieka w decyzjach, które podejmuję dziś. Owo „dziś” nie jest proste. Przeżyłem bowiem już połowę życia, lecz takiego bajzlu w wewnętrznych relacjach Polaków i ich stosunkach ze światem, jak słowo daję, nie widziałem.

Co mogę z tym zrobić? Nikim przecież nie jestem, by pchać się za chwilę między Dudę, Tuska, Biedronia. Nie moja liga. Gdzie mi, prostaczkowi, do pałaców? Jedyne przyjęcia u ambasadora, jakie znam, to te z reklamy czekoladowych pralinek. A jednak wysiedzieć mi na tyłku coraz trudniej. Coś bym robił. Do jakiegoś pieca powrzucał brykiety ludzkiego, obywatelskiego oburzenia. Na razie zamajstrowałem sobie taki piecyk *à la* Gandhi. Nie powiem, żeby szło mi to łatwo, ale staram się w relacji ze wszystkim, co widzę, poczuć – uwaga – wdzięczność.

Gdy więc patrzę na swastyki z wafelków, na profanowanie Jasnej Góry kibolstwem, na „parchów” na profilu Ziemkiewicza, na antychodźcze obsesje władzy, na całe to ideologiczne szambo, które wybiło na Facebookach rodaków (przekonujących, że to nie szambo, lecz źródło) – czuję coraz większą wdzięczność.

To wdzięczność dla moich szkolnych wychowawców. Traktowałem ich jak belfrów. Ale to oni na polskim, na historii, WOS-ie i na szkolnych apelach w drukowały mi w DNA, że polskość to coś najpiękniejszego na świecie, gdy jest otwarta, wyrozumiała i gościnna. I że – co wielokrotnie w ciągu dziejów było widać – zmienia się w toksynę, gdy władzę nad duszami biorą u nas ludzie myślący dumę z butą, integralność postawy z narcyzmem i kreowanie własnej tożsamości z odbieraniem praw do niej innym. Wychowany na gruzach wielokulturowych Kresów, dziś, gdy oddychamy ksenofobią, tym bardziej dziękuję za każdego Żyda, Turka, Niemca, Rosjanina, Litwina, Ukraińca, Syryjczyka, który zechciał dawać nam swój świat i wraść w nasz dobrą pracę, troskami, dziećmi, wzruszeniami, cierpieniem.

Gdy patrzę na to, jak – po obrażeniu się już z Europą, Ukrainą, Rosją, Izraelem – płynnie zmierzamy w stronę tej dyplomatycznej ligi, w której grają Abchazja lub Naddniestrze, Bogu dziękuję za to, że zdążyłem w życiu zobaczyć paru mężów stanu. Im zawdzięczam ciągotę do wspólnotowej tożsamości typu „nieple-

miennego”. Doskonale wiem, jak to jest wstydzić się za ludzi przy władzy; nigdy nie wstydzę się jednak tego, że jestem Polakiem. Wiem dobrze, że żołnierze wyklęci i ludzie z Solidarności nie walczyl wcale o to, by Polską mógł dziś rządzić PiS (ani PO, ani SLD). I dlatego żaden polityk nie zrobi sobie z Polski logo na swojej ulotce, nie sprywatyzuje jej, dopóki ona jest też moja. Nikt nie odbierze mi też tożsamości europejskiej, i tej idącej jeszcze dalej. Ból świata – zalewanego przez oceany, żyjącego za dolara dziennie – pali mnie dziś dużo mocniej niż krokodyle łyż tych rodaków, którym ich gazetki skutecznie wmówiły, że 7 miliardów ludzi od rana do zmierzchu nie pasjonuje się niczym innym jak tylko dybaniem na ich cześć i cnotę. Dziękuję, że dane było mi naocznie przekonać się, iż Polacy – w dziedzinie myśli, nauki, biznesu czy pomocy rozwojowej – mogą zaoferować dziś poranionej Ziemi dużo więcej niż publicystyczne bąki Ryszarda Czarneckiego.

Dziękuję współczesnym ciemiężcom polskiej przyrody: pewnym ministrom, niektórym łowczym, ich wyjętym żywcom z XVIII w. duszpasterzom, okrutnym hodowcom nerek. To chyba dopiero dzięki nim zacząłem patrzeć na przyrodę nie jak na tło mojego życia, lecz jak na powierzony mi w troskliwy zarząd wspólny skarb. Od wielu z nich odebrałem też przestroge: jak sprawnie człowiek jest w stanie manipulować Ewangelią, by uzasadnić swoje prywatne światopoglądowe aberracje.

Dziękuję niektórym moim kolegom z prasy, którzy z każdym paskiem, okładką i wpisem na Twitterze trzymają mnie w ryżach, zmuszając do rachunku sumienia: czy w drodze do swojego celu nie zapomniałem, że nie jestem Bogiem? Że to nie ja mam monopol na prawdę? I że cel nie uświęca środków? Mam wrażenie, że wielu z nich wciąż jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że człowiek, którego uczy się wierzyć w „dobre” kłamstwo, uwierzy też w końcu w kłamstwo, którym ktoś kiedyś uderzy w jego dzisiejszych mentorów. Że padająca dziś po każdym bluzgu fraza „mam prawo do własnej opinii”, gdy tylko zmieni się wiatr, padnie też po hejcie wymierzonym w dzisiejszych władców wyobraźni. A że wiatr się zmieni – to pewne. Choćby nawet i za trzy kadencje (co to jest 12 lat?).

Co chwila mam komu dziękować. Himalaistom – przypominają mi, że chciałbym, aby moje dzieci zapamiętały mnie jako człowieka, któremu chodziło w życiu o coś więcej niż o to, by być najmądrzejszym na całym Facebooku. W social mediach załajkowałem setki organizacji i osób działających na rzecz innych, tak by codziennie wyświetlały mi się ich posty, bym co chwila miał szansę budzić w sobie wdzięczność za znających inne odruchy niż zagarnianie pod siebie jeszcze więcej hajsu, dumy i co tam jeszcze kogo dzisiaj podnieca.

Dziękuję więc, ale przyznaję: wciąż jestem za głupi, by połączyć w sobie ten prywatny altruizm i wspólnotowy egotyzm Polaków. Tę szczodrość okazowaną w cztery oczy z wyrażanym przez naszą zbiorową politykę przekonaniem, że powinniśmy dbać tylko o siebie, że wszyscy – czy chodzi o historię, problemy migracyjne, czy o jedność Europy – zasadniczo mogą nam skoczyć. Wiem tylko, że ten system (i to niezależnie od tego, ile pieniędzy rząd wpompuje jeszcze w budowanie wewnętrznej spójności elektoratu) musi strzelić. Czysta fizyka: ciśnienie z zewnątrz pokona w końcu rosnące w wolniejszym tempie (bo skala mniejsza) krajowe, wewnętrzne. Receptą na uniknięcie katastrofy mogłoby być nauczenie się życia w relacji z otoczeniem, nie pomimo niego. Odkrycie przez pępek świata, że skończy namnie, jeśli wypnie się na mózg, płuca, nerki i serce. Że naprawdę śmiertelny (i to w krótkiej perspektywie) jest promowany dziś jako optymalny strategiczny sojusz dwóch tylko narządów: pępek, który ma wszystko w nosie. ©

OLIMPIADA MIŁOŚCI I ATOMU

Na zimowych igrzyskach w Pjongczangu, w Korei Południowej, sportowcy z obu krajów podzielonego Półwyspu wystąpią wspólnie. Kto na tym zyska, a kto może stracić?

ROMAN HUSARSKI

*Trening północno- i południowokoreańskich
narciarzy przed igrzyskami w Pjongczangu.
Ośrodek Masik Pass, 1 lutego 2018 r.*

NOWOROCZNE, WYJĄTKOWO POKOJOWE w tonie przemówienie wodza Korei Północnej Kim Dzong Una, potem pierwsze od prawie dwóch lat spotkanie przedstawicieli Północy i Południa w granicznym Panmunjomie, wreszcie podjęta nagle decyzja o wspólnym udziale obu krajów w zimowej olimpiadzie w południowokoreańskim Pjongczangu – zaczynającej się w piątek 9 lutego – wzbudziły ogólny entuzjazm. „Pokój jest możliwy” – komentowano na całym świecie.

Wielu chce wierzyć, że udział Północy w igrzyskach, jeśli nawet nie jest momentem przełomowym, to przynajmniej zmniejsza szanse na kolejne prowokacje Pjongjangu. Optymizm to jednak przedwczesny.

Wojna, sport, polityka

Idea Korei zjednoczonej przez sport nie jest nowa. Po raz pierwszy dwustronne rozmowy na ten temat odbyły się w Szwajcarii już w 1963 r. Wtedy skończyły się kłótnie i oskarżeniami o złą wolę, lecz idea pozostała atrakcyjna. Wspólne zawody miały potencjał, by przełamać zimnowojenny klimat i stworzyć namiastkę jedności, poprawiając też nastroje w obu krajach.

Zarówno na północ, jak też na południe od słynnego 38. równoleżnika – tego, który od 1953 r. stanowi formalnie tylko linię rozejmu, kończącego wówczas wojnę na Półwyspie, a faktycznie jest granicą – sport pełnił istotną rolę. Powojenny przywódca Południa generał Park Chong-hee wierzył, że międzynarodowe sukcesy sportowe wyciągają kraj z powojennej traumy.

Zbudowana za jego rządów obfita infrastruktura – boiska i stadiony – przyczyniła się do tego, że Korei Południowej przyznano przywilej zorganizowania olimpiady letniej w 1988 r. Dlatego przez niektórych historyków Park nazywany jest „ojcem współczesnego sportu Korei”.

Z kolei na komunistycznej Północy tężyła fizyczna i sport wpisują się w państwową narrację o potęgę rasy koreańskiej. Ale sukcesy sportowców z Północy są więcej niż skromne – i sprowadzają się w zasadzie do (nieoczekiwanego) zwycięstwa nad Włochami w mistrzostwach świata w piłce nożnej w 1966 r. Drużyna z Północy dotarła wtedy do ćwierćfinału.

Pod „Flagą Zjednoczenia”

Do rozmów o zjednoczeniu zespołów sportowych z obu państw powracano od lat 60. XX w. wielokrotnie, jednak dopiero po upadku Związku Sowieckiego i zmianie klimatu w globalnej polityce pomysł ten mógł zostać wprowadzony w życie.

I tak, w 1991 r. wspólny koreański zespół tenisa stołowego zagrał w mistrzostwach w Japonii, a młodzi piłkarze z obu krajów zjednoczyli swoje siły w Mistrzostwach Juniorów w Piłce Nożnej w Portugalii. Koreańczycy pojawiali się wspólnie również na olimpiadzie w Sydney w 2000 r., w Atenach w 2004 r. oraz w 2006 r. w Turynie. Zawodnicy występowali wtedy pod „Flagą Zjednoczenia”, specjalnie przygotowaną do tego celu. Flaga przedstawia zarys Półwyspu Koreańskiego w kolorze niebieskim na białym tle.

W Korei Południowej projekt ten spodobał się szczególnie środowiskom nacjonalistycznym, które są krytycznie nastawione do obecnie flagi państwowej, zwanej „Taegukgi” – jej twórcą był bowiem Park Yeong-hyo, Koreańczyk kolaborujący z Japończykami podczas ich okupacji Półwyspu, trwającej do 1945 r.

„Flaga Zjednoczenia” symbolizuje jedną koreańską rasę, a także zawiera (w jej wersji używanej od 2003 r.) wyspy Dokdo, o które Korea toczy spór z Japonią. Właśnie pod tym sztandarem zagra wspólny kobiecy zespół hokeja w Pjongczangu.

Akrobacje Moon Jae-ina

Prezydent Południa Moon Jae-in z zadowoleniem przyjął fakt rozmów z Północą. Establishment z Seulu odetchnął. Wszak Północ udowodniła w przeszłości, jak jest groźna. W 1987 r. jej agenci wysadzili samolot pasażerski i przypuszcza się, że ten zamach terrorystyczny miał zakłócić atmosferę przed olimpiadą w 1988 r. Teraz oficjalna „odwilż” ma uchronić igrzyska w Pjongczangu przed podobnymi zagrożeniami.

Jednak polityka prezydenta z Seulu budzi w kraju coraz to nowe głosy sprzeciwu. Konserwatywni publicyści zareagowali z oburzeniem na filmowy spot promujący olimpiadę. Występuje w nim prezydent: trzyma świecę – symbol szesnastolatnych protestów, które doprowadziły do upadku rząd Park Geun-hye – która zamienia się w olimpijski znicz. W ostatnich scenach spotu prezydent przemawia do narodu na tle zdjęcia z wielkiej demonstracji. Film interpretuje się jako element świadomości kreowanej polityki historycznej Moona (nawet jeśli chodzi o historię najnowszą), która ma dodatkowo legitymizować jego władzę. Główną rolę pełnią w niej tamte protesty, zaś reprezentantem uciśnionego ludu ma być on sam.

Mnożą się też zarzuty, że obecne władze Południa stosują – w imię „odwilży” – coraz większą cenzurę wobec krytyków po-

czyniań Północy. Policja prowadzi śledztwo w sprawie finansów konserwatywnych gazet. W Seulu policjanci nie dopuścili do spalenia wizerunku Kima. Działania policji wstrząsnęły uczestnikami protestu, wśród których byli uciekinierzy z Północy. Atmosferę podgrzała Północ: z jej mediów popłynęły wyzwiska wobec seuleskich demonstrantów i zachęta, by władze Południa rozprawiły się ze środowiskami, które mają przeszkadzać w zjednoczeniu.

Bunt hokeistek

Swoją dezaprobatę wobec działań prezydenta Moona wyraziły wreszcie same hokeistki – jak się okazuje, w większości niemające ochoty na współpracę z drużyną z Północy. Sportsmenki, które od miesięcy ćwiczyły swoje strategie na olimpiadzie, uznały nagłą decyzję o połączeniu zespołów za absurdalną i oskarżyły prezydenta o próbę uzyskania politycznych korzyści ich kosztem. W obronie hokeistek ruszyła nawet petycja w internecie.

To właśnie z powodu afery z drużyną hokejową poparcie dla Moona spadło ostatnio poniżej 70 proc. (według Gallup Korea). Choć, jak widać, wciąż jest bardzo wysokie. Dla porównania: będąc nawet u szczytu popularności, Park Geun-hye nie mogła o takim marzyć.

Przy tym mieszkańcy Południa nie mają nic przeciw samemu udziałowi Północy w olimpiadzie. Także zmiana polityki obu krajów – od konfrontacji do przynajmniej retorycznej współpracy – została pozytywnie przyjęta przez większość mieszkańców Południa. Według badań Yonhap News prawie 77 proc. respondentów uważa, że polityka zbliżenia zmierza do poprawy relacji ogólnokoreańskich i do pokoju na Półwyspie.

Podjmując rozmowy z Północą, Moon udowodnił swoim sympatykom, że nie porzucił hasła zjednoczeniowych, które pomogły mu wygrać wybory. Nic na to nie wskazuje, by w czerwcowych wyborach gubernatorskich jego partia musiała liczyć się z jakimś zagrożeniem.

→



ROMAN HUSARSKI będzie gościem audycji

„Światopodgląd” Radia TOK FM

w środę 7 lutego o godz. 15.00

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Rozgrywający Kim Dzong Un

→ Przyglądając się ostatnim wydarzeniom, można ulec wrażeniu, że to Korea Północna rozdała na Półwyspie karty i określa agendę polityczną.

Administracja Moona spodziewała się, że rozmowy pokojowe zaczną się zaraz po objęciu władzy przez nowego prezydenta w maju 2017 r. Tymczasem Północ przywitała go pokazem siły. Obecna propozycja Kima zaakceptowano w Seulu tak szybko, że trudno uwierzyć, aby Pjongjang był tu stroną słabszą, zmuszoną do pertraktacji pod naciskiem coraz to nowych sankcji. Zwłaszcza że Seul wstrzymał ćwiczenia wojenne z USA na czas igrzysk w Pjongczangu.

Co do sankcji, to faktycznie boleśnie kasały one reżim, który jednak od lat kieruje się „dumną” filozofią Kim Ir Sena, twórcy państwa w 1945 r. „Im wyższy standard życia się osiąga, tym bardziej leniwe ideologicznie i bardziej nierozważne stają się działania ludu” – mówił Wielki Wódz bez cienia wstydu w 1977 r. w rozmowie z Erichem Honeckerem (równie „betonowym” jak on przywódcą komunistycznych Niemiec Wschodnich), podczas wizyty w Berlinie Wschodnim. Pragnienie dominacji jest większe niż ryzyko głodu.

Biały Dom nie mógł bardziej się mylić, twierdząc, że dla Północy udział w olimpiadzie będzie „przedsmakiem wolności”. Już sam udział Korei Północnej w mistrzostwach, bez żadnych wcześniejszych ustępstw z jej strony, jest wizerunkowym zwycięstwem Kim Dzong Una. Triumf Północy – niezależnie od wyników spor-

towych – ma podkreślić wysłana na Południe wielka orkiestra, wyspecjalizowane cheerliderki i dobrani kibice oraz artyści estradowi.

Spódniczki wielbią wodza

Wielkim zainteresowaniem cieszy się zwłaszcza zapowiadany występ północnokoreańskich Spice Girls – grupy Moranbong. Wyłącznie kobiety zespół jest przykładem pewnej finezji propagandy Kima. W nienagannym makijażu i wyjątkowo krótkich – jak na pruderyjne obyczaje panujące na Północy – spódnicach dziewczyny zasłynęły z nowoczesnych aranżacji patriotycznych piosenek, takich jak „Nazywamy go ojcem” czy „Pójdziemy na górę Pektu”.

W internecie szczególnie zainteresowaniem cieszy się ich wykonanie utworów Disneya, gdzie na scenie pojawiają się również maskotki Myszki Miki i Misia Puchatka. Entuzjastom warto przypomnieć, że koncert był dedykowany Kimowi. Oraz że nie jest on jedynym w historii dyktatorem mającym słabość do Disneya.

Jeśli nawet grupa Moranbong wykona tylko folkowe piosenki, nie sposób będzie uciec od kontekstu propagandy. Państwowa agencja KCNA donosi, że doboru członków zespołu dokonał sam Kim Dzong Un. Również nazwa grupy odnosi się do wzgórza Moran, gdzie Kim Ir Sen miał wygłosić swe pierwsze przemówienie po powrocie do kraju z emigracji (to ważne wydarzenie w hagiografii „nieśmiertelnego lidera”).

Kolejnym punktem dla propagandy Kima mogą być spotkania sportowców w kurortach i na stokach narciarskich na

Północy. Pjongjang będzie próbował reklamować swoje starannie wyselekcjonowane regiony turystyczne, jak Góry Diamen-towe. Region jest znany pod taką nazwą, nadaną mu przez brytyjskiego podróżnika – koreańska nazwa oznacza „Miejsce, gdzie żyją duchy” i jest może właściwsza, biorąc pod uwagę, że teren pozostaje zamknięty po zastrzeleniu tam turystki w 2008 r. Nie pomogły wtedy tłumaczenia Północy, że weszła na teren wojskowy i nie posłuchała rozkazu, aby się zatrzymać.

Fair play?

Prezydent Moon wierzy, że na dłuższą metę układ z Kimem mu się opłaci. Spokojniejsza Północ, spotkania rozdzielonych rodzin czy otwarcie regionów turystycznych na Północy dla obywateli Południa mogą przynieść mu jeszcze większe poparcie społeczne.

Ale Kim Dzong Un wiele razy udowodnił już, że nie będzie grać pod dyktando Południa. Moon nie ma żadnej pewności co do poczyną sąsiada. Co gorsza, musi uważać, by nie stracić kontroli nad wydarzeniami. Już teraz część południowokoreańskich publicystów nazywa Pjongczang „olimpiadą Pjongjangu” i krytykuje Moona za, jak twierdzą, tchórzliwą politykę.

Można się spodziewać, że Kim pójdzie za ciosem. Swoją obecność na olimpiadzie zapewne wzmocni w kraju kolejną potężną manifestacją wojskową. Albo, kto wie, nawet kolejnym testem nuklearnym. Wszystko w imię zjednoczenia. Na zasadach Pjongjangu. ©

ROMAN HUSARSKI

Pod znakiem Białego Tygrysa

IGRZYSKA W PJONGCZANGU

to druga olimpiada organizowana w tym kraju i pierwsza zimowa. Sportowcy sprawdzają swe siły w takich dyscyplinach jak biathlon, bobslej, hokej na lodzie, saneczkarstwo, łyżwiarstwo, narciarstwo i curling. Wśród Polaków największe emocje będą budzić zapewne skoki narciarskie. Szanse na medal mają też Justyna Kowalczyk w biegach i Zbigniew Bródka w łyżwiarstwie szybkim (chorąży reprezentacji). Olimpiada to ważne wizerunkowe wyzwanie dla Południa.

Splendor potraktowano dosłownie, przygotowując np. ważące ponad pół kilograma medale z czystego złota. Igrzyskom towarzyszą dwie maskotki: biały tygrys Soohorang i czarny azjatycki niedźwiedź Bandabi. Biały tygrys odgrywa szczególną rolę w koreańskiej mitologii: symbolizuje siłę i ochronę. Zwłaszcza ten drugi aspekt ma uspokoić tych, którzy boją się przyjechać na mistrzostwa z lęku przed prowokacją Północy – Pjongczang leży zaledwie 80 km od granicy. Kibiców i turystów zachęcić

mają też wielkie koncerty, np. Taeyanga, gwiazdy k-popowego zespołu Big Bang i pierwszego koreańskiego muzyka, który znalazł się na liście celebrytów magazynu „Forbes”. Koreańczycy liczą, że region Pjongczangu stanie się mekką zimowych sportów. Do 2032 r. rząd planuje zainwestować tu ponad 3 mld dolarów. Łącznie ma być zrealizowanych ok. 40 projektów (większość już ukończono). Oczekuje się, że dzięki temu powstanie 250 tys. miejsc pracy. Do największych inwestycji należą szybka kolej z lotniska w Incheonie i autostrada, które połączą niewielkie, bo 43-tysięczne

miasto Pjongczang z Seulem. Wszystko po to, aby uniknąć sytuacji, do której dochodziło w różnych krajach po olimpiadach, gdy zbudowane na tę okazję obiekty niszczały potem niewykorzystane. Mimo licznych atrakcji, wciąż wiele biletów jest dostępnych i organizatorzy boją się strat. Ale towarzysząca igrzyskom „zakupomania” i targi kultury (nowoczesnej i tradycyjnej) powinny pomóc zbilansować koszty. Żeby na turystów ostrąż też sobie narciarskie ośrodki w prowincji Gangwon. I restauracje serwujące rozgrzewającą kuchnię koreańską, bo podobno będą mrozy. © RH



DOMINIQUE FAGET / AFP / EAST NEWS

Ta restauracja, prowadzona przez mieszkańców paryskiego squatu, serwuje dania z żywności przekazanej przez supermarkety. Marzec 2016 r.

Tratwa dla rozbitków

SZYMON ŁUCYK Z IVRY POD PARYŻEM

Żyją tu razem niczym w kibucu: anarchiści, imigranci z Czeczenii i Afryki, bezdomni. Francja społecznego marginesu? Oczywiście, ale jaka różnorodna... Autor „Tygodnika” odwiedził podparyski squat.

SOLIDNE METALOWE DRZWI WEJŚCIOWE są gęsto oblepione wlepkami, pełnymi wywrotowych haseł. „Stop przemocy gliniarzy!”, „Precz z kapitałem!”. „Znowu wstajesz z rana / Cała doba zmarnowana / Do diabła z pracą, co kradnie życie!”.

Pośród naklejek z trudem dostrzec można mały, ledwo widoczny guzik dzwonka.

Wrota otwiera czarnoskóry mężczyzna o aparycji młodzieńczego Boba Mar-

leya, z zadartymi w górę dredami. Gestem zaprasza do środka. Za jego plecami przechodzą właśnie młodzieńcy i dziewczyny ubrani w czarne bluzy z kapturami. Z korytarza dobiega tupanie maluchów, przywoływanych przez kobiety w mużulańskich chustach.

Cóż to za miejsce? Gniazdo antykapitalistów, posthipisowska komuna, ośrodek dla imigrantów? A może wszystko w jednym? Po prostu – squat, jakich mało.

Witajcie w Anarchostanie!

Im dalej, tym ciekawiej.

W sali jadalnej i salonie dużo dzieci. Jedne grają w planszówki. Inne pod okiem brodatego „instruktora” uczą się stolarstwa, tnąc drewniane listwy mechaniczną piłą.

W kuchni wre robota: przy dużym stole kilka osób razem przygotowuje niedzielną kolację. Z głośnika dobiega francuski hip-hop. Pochodząca z Algierii Nassima wkłada do pieca swój smakołyk na bazie mąki z ciecierzycy – karantikę. Przy wspólnym obieraniu jabłek na sałatkę owocową wybucha ni stąd, ni zowąd dyskusja o kapitalistycznym wyzysku i deptaniu praw pracowniczych.

– Kto jest dziś szefem kuchni? – pytam Annę, francuską lokatorkę squatu, matkę trojga dzieci. – Tylko nas nie obrażaj.

Tu nie mamy żadnego szefa. Nie widziałeś napisu na drzwiach? „Precz ze stosunkami dominacji!” – uśmiech Anne jest nieco kąśliwy.

No tak, zapomniałem, jestem przecież w gościnie u podparyskich anarchistów. Na pohybel państwu i kapitalizmowi!

Owszem, to anarchiści, ale bardzo zorganizowani. Na ścianie w korytarzu wisi tygodniowy grafik zajęć: warsztaty komputerowe, treningi boksu, capoeiry, próby chóru. I ogłoszenia o cotygodniowych zebraniach lokatorów, którzy kolektywnie decydują o planowaniu codziennego życia.

Dzieje się! Na dole jest sala kinowa, obok chałupnicza drukarnia z ulotkami anarchistycznymi, kuchnia, wspólny salon-jadalnia i wielki magazyn darmowej żywności: skrzynki z warzywami, owocami, mięsem, słodyczami...

Jak to darmowej? Bo oddały je mieszkańcom squatu hiper- i supermarkety. Wszystko dlatego, że od 2016 r. francuskie prawo zakazuje wielkim sklepom, i to pod karą grzywny, wyrzucania lub niszczenia produktów spożywczych nadających się jeszcze do konsumpcji. Handlowcy wolą więc je oddać, niż płacić kary.

Na pierwszym piętrze szaro-brunatnego gmaszyska – sala komputerowa, palarnia, ↪

→ biblioteka (książki uzyskano od darczyńców). Drugie i trzecie piętro – to przestrzeń mieszkalna. Na czwartym – sale do treningu sztuk walki. I wreszcie taras, z którego rozciąga się panorama na fabryczne kominy Ivry, leżącego tuż za rogatkami Paryża.

Historia okupacji

W budynku jest ponad 50 lokatorów. Mieszkania dwupokojowe zajmują rodziny z dziećmi, pozostali żyją w kawalerkach. Ponad połowę lokatorów stanowią imigranci z Czeczenii i ich piętnastoro potomstwa. Oprócz tego rezyduje jedna rodzina z Ukrainy oraz nielegalni przybysze z Senegalu, Mali, Afganistanu i Algierii. Sąsiadują z nimi młodzi lewicowi aktywiści i francuscy bezdomni. Koktajl kultur i stylów życia, łączący rozmaitych życiowych rozbitków.

Swoją wielki squat mieszkańcy nazywają dumnie „Samorządny Ośrodek Społeczny” (francuski skrót: CSA). Jego historia – czyli historia okupacji tego budynku – zaczęła się ponad pół roku temu.

Wcześniej była tu siedziba Towarzystwa Ubezpieczeń Studenckich; po jego bankructwie budynek przejął bank Crédit Mutuel. Przez dwa lata gmach straszył pustką.

Okazję zwietrzył miejscowy kolektyw lewicowych aktywistów, rozsianych po innych squatach w Ivry. W maju 2017 r. wkroczyli do akcji: zajęli i „zarekwirowali” budynek. A potem przygarnęli imigrantów, błakających się bez stałego dachu nad głową.

Teraz bank toczy sądową batalię o odzyskanie własności, ale na razie squatterzy postawili na swoim: wyrokiem trybunału mogą pozostać w budynku do wiosny 2019 r. Francuski sąd, jak w wielu innych podobnych przypadkach (okupowanie squatów jest nad Sekwaną chlebem powszednim), uznał racje dzikich lokatorów. Przeważył argument, że squat jest azylem dla społecznie wykluczonych.

Bank oczywiście nie daje za wygraną, złożył apelację od wyroku. I w końcu na pewno wygra. Ale do tego czasu squatterzy znajdą inne miejsce do życia.

Marginesy się przyciągają

Dlaczego lokalni anarchiści z Ivry przychodzą z pomocą nielegalnym imigrantom? Złośliwy powiedziałby: na złość „banksterom” i francuskim władzom, broniącym się przed napływem biedy z całego świata.

Jednym z mózgow skoku na bankową własność był 32-letni Cédric. – Kim jestem? – powtarza pytanie. – Politycznym aktywistą, już z dziesięć lat czy dłużej.

Prezydent Macron

obiecywał, że do końca 2017 roku nie będzie we Francji „ani jednego imigranta na ulicy czy w lesie”. Łatwo można się przekonać, że obietnica pozostała na papierze.

Jest też wędrowcem. Ze swoją dziewczyną od czterech lat mieszka na squatach w Ivry. Przenosili się już kilka razy. Zapewnia, że nie pchnęła go do tego życiowa konieczność, ale wybór. Także polityczny. – Z moją dziewczyną wybraliśmy życie prekariuszy – tłumaczy. – Wiem, że gdybym chciał, stać by mnie było na wynajem mieszkania. Ale nie mogę pogodzić się z tym, że w Paryżu jest pełno pustostanów, a mimo to tysiące ludzi żyją na ulicy.

Wcześniej, podobnie jak wielu jego francuskich rówieśników, Cédric zarabiał 800 euro miesięcznie, z czego 600 euro szło na czynsz wynajmowanego wówczas mieszkania. Potem dostał lepszą pracę, ale mimo to nie mógł się pogodzić z sytuacją ludzi ulicy. Został, jak mówi, squatterem, żeby pokazać solidarność z bezdomnymi, z eksmitowanymi, z nielegalnymi imigrantami.

Cédric od lat opiekuje się miejscowymi Czeczenami. Zaczęło się od tego, że poznał swoją dziewczynę – Rosjankę – i nauczył się jej macierzystego języka. Gdy pracował we francuskim stowarzyszeniu Habitat-Cité, pomagał uchodźcom czeczeńskim nad Sekwaną. Towarzyszył im w codziennych troskach, pomagał w załatwianiu formalności.

Gdy pojawił się plan zajęcia squatu w Ivry, od razu przyszła mu do głowy myśl o Czeczenach. – Sprowadziłem tu rodziny czeczeńskie, które już znałem. Żadna z nich nie dostała statusu uchodźcy, choć starali się o to wiele razy. Niektórzy imigranci tułają się od kilku czy kilkunastu lat po socjalnych hotelach, squatach i ulicy. Jedna z Czeczenek przez pewien czas nocowała w samochodzie. Tutaj wreszcie mają godne schronienie – opowiada.

Gdy rozmawiamy, nagle na hulajnodzie podjeżdża mały chłopczyk, Czeczen. Woła do Cédrica po rosyjsku: – Dlaczego nie chodzę do szkoły, mam już osiem lat?! – zagina cztery palce. – Jesteś za mały, masz nie

osiem, a cztery latka – śmieje się Francuz. Prawda: inni mali Czeczeni chodzą już do francuskiej szkoły.

Opowieść Rusłana

Dziś 21-letni, ma już za sobą szkoły we Francji. Rusłan, wysoki i muskularny, szeroko się uśmiecha. – Dobrze nam tu, wreszcie odetchnęliśmy po tym wszystkim, co spotkało naszą rodzinę.

Mówi płynnie po francusku. Czasem tylko urywa, szukając słowa lub wtrącając wyrazy rosyjskie, na przemian z czeskimi. – Po wyjeździe z Czeczenii, zanim trafiliśmy do Francji, spędziłem siedem lat w Czechach, chodziłem tam do szkoły – wyjaśnia. – Wcześniej próbowaliśmy osiąść w Polsce, ale zostaliśmy tam tylko miesiąc. Byłem wtedy małym chłopcem, nic już prawie nie pamiętam.

Siedmioosobowa rodzina Rusłana – ojciec, matka i czterech braci – opuściła ojczyznę 14 lat temu, gdy trwała druga wojna czeczeńska. Odtąd szuka schronienia w Europie. Rusłan opowiada: – Ojciec był w Czeczenii weterynarzem, matka sprzedawczynią w sklepie. Nieźle im się powodziło. Potem była wojna. Wyjechaliśmy, najpierw do Czech, a potem do Francji. Po wielu latach ojcu bardzo brakowało rodzinnej wioski, miał dość tułaczki. Postanowił wrócić do kraju, przed trzema czy czterema laty. My z matką i braćmi zostaliśmy tutaj.

Rodzina od lat toczy batalię o dokumenty. I w Czechach, i we Francji. Na próżno. Tylko Rusłan, czwarty w kolejności syn, dostał francuską kartę pobytu. – W gimnazjum francuskim miałem problemy. Nie przywykłem do dyscypliny, z trudem uczyłem się nowego języka. Biłem się często z kolegami. Sześć razy zmieniałem szkoły – wspomina. W końcu prawie dotarł do matury: – Nie podszedłem do egzaminu maturalnego. Teraz tego żałuję. Byłem wtedy zagubiony, nie wiedziałem, co robić. Gdy potem pracowałem na budowie i miałem dość, powtarzałem sobie bez przerwy: po coś rzucił szkołę?

Ponieważ przerwał naukę, stracił też kawalerkę w internacie. Zaczął się tułać po squatach z matką i braćmi, ale i stąd ich wyrzucono. Rusłan trafił w końcu do noclegowni. Na krótko, bo nie mógł wytrzymać bójk i pijaństwa.

Mówi, że wpadł wtedy w złe towarzystwo, podobnie jak jego młodszy o półtora roku brat. To on namówił Rusłana do zajęcia starego opuszczonego domu. W squacie nikogo nie było, ale dom był wciąż umeblowany. Policja potraktowała ich więc jak włamywaczy i osadziła obu

braci w areszcie. Na domiar złego w aucie należącym do Czeczenów znaleziono pistolet. Ruslan twierdzi, że był to straszak ze ślepymi nabojami. Ale prokurator zażądał dla braci roku pozbawienia wolności, w tym 6 miesięcy bezwarunkowego więzienia.

– Byłem przerażony tak surową karą. Wszystko się stało przez moją głupotę. Szukaliśmy tylko dachu nad głową, a w efekcie trafiłem na kilka miesięcy do ciężkiego więzienia we Fresnes – opowiada.

Wyszedł pół roku temu. Jego młodszy brat ciągle siedzi, bo postawiono mu też inne, cięższe zarzuty. Rodzina liczy, że w lutym wyjdzie na wolność. – Czuję, że go nie upilnowałem, on przecież ledwo skończył 18 lat. Powinienem lepiej dbać o niego, to obowiązek starszego brata, prawda? – martwi się Ruslan.

Chce wrócić do normalnego życia, znaleźć pracę. Zaczął praktyki w sklepie, aby zostać rzeźnikiem.

Duch wspólnoty

Życie w squacie nie jest sielanką. Imigranci z różnych kultur, nierzadko po traumatycznych przejściach, z trudem uczą się normalnego życia. To musi rodzić napięcia.

Cédric: – Wbrew pozorom prawie nie ma tutaj konfliktów kulturowych. Seksizm, owszem, to się zdarza, ale rzadziej, niż się spodziewałem. Mieliśmy trudną sytuację z mężczyzną, który źle traktował kobiety. Ale po rozmowie z nami chyba zrozumiał i problem zniknął.

Większość lokatorów squatu to praktykujący muzułmanie. Chodzą na modlitwy do pobliskiego meczetu. Cédric: – Oczywiście stawiają czasem pytania: czy kobieta muzułmańska może chodzić bez chusty albo czy kobieta wolna z dziećmi może się lepiej „prowadzić”? Ale to głośna wymiana zdań, nic więcej. Większe problemy od różnic kulturowych sprawiają sprawy porządkowe, np. kto ma sprzątać wspólne przestrzenie, gotować.

Życie we wspólnocie ułatwiają proste reguły. Cédric: – Ważny jest dla nas duch miejsca: walka z przejawami rasizmu, przestrzeganie równości kobiet i mężczyzn, brak hierarchii. Z zasady nie chcieliśmy wybierać przewodniczącego, decyzje podejmują wspólnie lokatorzy. Nie wszyscy byli tym zachwyceni. Czeczeni pytali mnie na początku: „Gdzie naczałnik?”. Pogodzili się w końcu, że nie ma „naczałnika”. Ale nikogo nie zmuszamy do udziału w zebraniach. Ani tym bardziej do popierania naszej aktywności politycznej.

Istnienie wspólnoty anarchistów w Ivry przeciw zasadzie, że nie ma nic za darmo.

W ośrodku dla imigrantów,
gdzie pracowałam, trzy
czwarte ludzi leżało całe
dnie na łóżkach,
w depresji. Wiecznie ich
kontrolowano, wszystkiego
zakazywano – mówi Anne,
dzisiaj squatterka.

Mieszkańcy żyją niemal wyłącznie dzięki „gratisme” i wymianie usług: od mebli znalezionych dosłownie na ulicy po usługi wolontariuszy, którzy prowadzą rozmaite kursy i warsztaty dla mieszkańców. I co najważniejsze: lokatorzy korzystają darmowo z ogrzewania, prądu i wody. Jak na razie przed odłączeniem mediów chroni ich korzystny dla nich wyrok sądu. A także obecność w budynku licznych dzieci.

Squat otwiera się na swoich sąsiadów z przedmieść. Co niedzielę mieszkańcy organizują Dzień Otwarty i zapraszają na kolację wszystkich chętnych z okolicy. Dochód (cena posiłku – „co łaska”) przeznaczony jest na utrzymanie squatu.

Przetrwaj zimę

Podparyski eksperyment wywołuje też pytania o sytuację uchodźców we Francji. Na przykład: jak wielu z nich spędza tę zimę bez dachu nad głową?

Prezydent Emmanuel Macron obiecywał, że do końca 2017 r. we Francji nie będzie „ani jednego imigranta na ulicy, ani w lesie”. Łatwo można się przekonać, że obietnica pozostała na papierze. Choć zlikwidowano obozowisko na przedmieściu stolicy w Porte de la Chapelle, to w okolicach paryskiego kanału Saint-Martin widać dziś wciąż dziesiątki namiotów. Koczują w nich imigranci liczący na szansę złożenia wniosku o azyl. Także w Calais – na miejscu usuniętego w październiku 2016 r. miasteczka namiotów i szałasów, zwanego „dżunglą” – znów wyrosły namioty imigrantów. Na możliwość przeprawy do Anglii czeka dziś tam, według danych francuskich NGO-sów, ok. 600 osób.

Tymczasem z podanych w styczniu liczb francuskiego urzędu ds. ochrony uchodźców OFPRA wynika, że w minionym roku podanie o azyl we Francji złożyła rekordowa liczba ludzi: ponad 100 tys. (to wzrost o 17 proc. w porównaniu z rokiem 2016). Na czele są Albańczycy, Afgańczycy i Ha-

itańczycy, na szóstym miejscu Syryjczycy. Ale łącznie w pierwszej dziesiątce przeważają obywatele państw Afryki: Sudanu, Gwinei, Konga, Wybrzeża Kości Słoniowej czy Algierii.

Ponad jedna trzecia wnioskodawców dostaje azyl, blisko dwie trzecie – odmowę.

W ubiegłych latach deportowano średnio co dziesiątego nielegalnego imigranta we Francji. Ale władze zaostrzają kurs. Minister spraw wewnętrznych Gérard Collomb oznajmił, że w 2017 r. wydano z kraju 26 tys. osób, czyli o 14 proc. więcej niż rok wcześniej.

Pomoc czy kontrola

Z drugiej strony, bardzo wielu zwykłych Francuzów i liczne organizacje pozarządowe pomagają imigrantom przetrwać zimę. Robią to dlatego, że uważają, iż pomoc dla imigrantów instytucji państwowych jest niedostateczna. Albo wręcz zła.

Tak właśnie uważa Anne, lokatorka naszego squatu w Ivry pod Paryżem. Tłumaczy, że taka opinia wynika z jej własnych doświadczeń: przepracowała 10 lat w opiece społecznej, również w ośrodku dla azylantów. To właśnie to ostatnie miejsce pracy odebrało jej wiarę w sens pomocy organizowanej przez aparat państwowy.

Anne: – Pytasz, jak państwo francuskie pomaga imigrantom? Mogę powiedzieć, jak ono im nie pomaga. Podkreślam: jak nie pomaga. Bo ośrodki dla azylantów mają umożliwić przede wszystkim kontrolę imigrantów. Żyją w nich często odizolowani, zamknięci w czterech ścianach.

– W ośrodku, gdzie pracowałam – opowiada Anne – trzy czwarte ludzi leżało całymi dniami na łóżkach, w depresyjnych nastrojach. Zakazywano im przyjmowania gości z zewnątrz czy obchodzenia świąt religijnych. Nie mogli nawet gotować, bo nie mieli dostępu do własnej kuchni. Wiecznie ich kontrolowano. Po kilku tygodniach pobytu w takim miejscu ludzie wariowali. Czuli się nawet gorzej, niż uciekając ze swoich krajów pogrążonych w wojnie.

– U nas, w squacie, jest inaczej – mówi Anne. – Imigranci odpowiadają za siebie. Żyją, jak chcą. Nawet jeśli zdarzają się konflikty, jest to lepsze od odgórznej kontroli – puentuje.

Drzwi „Anarchostanu” już się zamykają. Ale słowa Anne zostają w pamięci. Niepokoją. ©

SYMON ŁUCYK

Niektóre imiona bohaterów reportażu zostały zmienione na ich prośbę. Tekst ilustruje zdjęcie agencyjne – mieszkańcy squatu nie zgodzili się na publikację swych wizerunków.

Mahmud wraca do domu

INGA ROGG Z AL-HAWIDŻY (IRAK)

Do niedawna jedna z twierdz ekstremistów tzw. Państwa Islamskiego w północnym Iraku, Hawidża jest dziś wyzwolona. Ale mieszkańców czeka teraz najtrudniejsze: powrót i zaczynanie na nowo.

KANAPA, SZAFKA, MATERACE, KOCE, ŁÓDÓWKA, telewizor i inne sprzęty domowe są już zapakowane na pick-upa. Mahmud al-Dżuburi, korpulentny 51-latek, rzuca ostatnie spojrzenie na piętrzący się ładunek. Upewnia się, czy wszystko jest dobrze zamocowane. Zadowolony, z ciężkim westchnieniem opada na fotel obok kierowcy. Podciąga skraj długiego stroju, jaki tradycyjnie noszą arabscy mężczyźni. Można ruszać. Do domu, do Al-Hawidży. Licząca przed wojną kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, leży 70 km na południowy zachód od Kirkuku. Jeszcze do niedawna każdy, komu życie było miłe, omijał Al-Hawidżę szerokim łukiem.

Jest wczesny poranek. Kirkuk – roponośna metropolia i kość niezgody między irackimi Arabami i Kurdami (obecnie znów pod kontrolą tych pierwszych), która przez ostatnie dwa lata była dla Mahmuda domem – pogrążona jest jeszcze w głębokim śnie. Delikatne światło wstającego słońca podkreśla wrażenie uśpienia. Na punkcie kontrolnym, na rogatek, znużony policjant rzuca tylko okiem i macha ręką, możemy jechać. Pierwsza przeszkoda wzięta. Ale już 20 km później podróż się chwilowo kończy. Przed rzeczką żołnierze usypali wysoki wał ziemny, z obu stron wyrastają betonowe zapory. Po prawej i lewej puste, spalone słońcem pola.

Wszyscy mężczyźni muszą wysiąść i ustawić się szeregiem na poboczu. „Siaść na ziemi!” – rzuca oschle młodziutki żołnierz. Większość z mężczyzn mogłaby być jego ojcami, ale spokojnie słuchają rozkazu. Rozsiadają się ze stoickimi minami, nie pada ani jedno słowo, podczas gdy żołnierz kieruje na nich lufę pistoletu maszynowego.

Ślady ekstremistów

Mija, zdawać by się mogło, wieczność, a oni siedzą, wśród kurzu i żwiru, porzuconych plastikowych butelek, papierowych opakowań po batonikach. W końcu pierwsza grupa zostaje odprowadzona

gęsiego. Żołnierze w budce, jak słyszymy: z wywiadu wojskowego, sprawdzają personalia, przepuszczają przez bazę danych, która zawiera nazwiska dziesiątków tysięcy domniemyanych bojowników tzw. Państwa Islamskiego (IS). Dopiero potem można jechać dalej.

Także Mahmud al-Dżuburi zostaje sprawdzony, procedura trwała dwie godziny. Czy jest zły na zachowanie żołnierzy? – To jest w porządku – odpowiada. W końcu wielu bojowników porzuciło szeregi IS, zeszło do konspiracji. – Oni także próbują wracać do Al-Hawidży. Nie można do tego dopuścić.

Przed nami rozciąga się równina wokół rzeki Tygrys. Niebieskie niebo i ziemia w kolorze piachu, jak okiem sięgnąć. Od czasu do czasu mijamy na poboczach wraki aut, podziurawione kulami. Raz tylko mija nas jadący z naprzeciwka samochód.

Dżuburi jest podekscytowany, niczym mały chłopiec kręci się na fotelu. Wyciąga smartfona. – Popatrz, to mój dom – pokazuje zdjęcia. Na fotografiach widać jednopiętrowy budynek z szarego betonu, z pomarańczowymi kolumnienkami i odpowiednimi flizami w przedsiönku. Typowe irackie budownictwo, nic nadzwyczajnego, ale solidne. – Czasem myślałem, że nigdy go już nie zobaczę – mówi. – Jestem taki szczęśliwy. Choć oczywiście martwię się trochę, bo kto wie, co tam na mnie czeka.

Tuż przed miasteczkiem, po prawej stronie drogi pojawia się wypalone czarne pole. Wkoło walają się cysterny. Gdzieś tutaj jest masowy grób, twierdzi Dżuburi. Bojownicy IS mieli najpierw chować tutaj swoje ofiary, potem miała tu funkcjonować prowizoryczna stacja paliw, służąca do przemytu ropy, a na koniec bojownicy mieli ją podpalić, żeby zatrzeć ślady.

Obok zniszczonego budynku swój punkt kontrolny założyli szyccy milicjanci z Al-Haszd asz-Szabi [Siły Mobilizacji Ludowej: paramilitarna organizacja irackich szyitów, uczestnicząca w wal-



kach z sunnitami z IS oraz z Kurdami – red.]. Nad checkpointem powiewa flaga Al-Haszd asz-Szabi – i to w samym środku terenu, który od zawsze był ostoją społeczności sunnickiej w Iraku. Dżuburi najpierw popatruje sceptycznie, ale potem wyskakuje radośnie z auta, ludzie stojący na posterunku to synowie jego starych znajomych, sunnici tak jak on.

Hawidża kontra Bagdad

Jednak wkrótce okaże się, że Al-Hawidża jest w niepodzielnym władaniu zwycięskich szyickich milicjantów. Kontrolują oni centrum miasta i wszystkie drogi dojazdowe.

Przez wiele lat Al-Hawidża była twierdzą sunnickiego oporu. Najpierw wobec Amerykanów, którzy w 2003 r. wkroczyli do Iraku, a po wycofaniu ich wojsk – wobec rządu w Bagdadzie, zdominowanego przez szyitów (stanowiących większość populacji Iraku). Zimą 2012 r. sunniccy demonstranci rozbili tu miasteczko namiotowe i przez wiele miesięcy protestowali przeciwko dyskryminacji, której ich społeczność poddawana była przez szyickiego „jastrzębia”, ówczesnego premiera Nuriego al-Malikiem.

W kwietniu 2013 r. konflikt eskalował, Maliki posłał przeciw demonstrantom żołnierzy. Dziesiątki sunnitów zginęły od ich kul lub odniosły rany. Sunniccy szejkwie plemienni i duchowni wezwali wówczas do powstania przeciw rządowi. Z szybkością płomienia walki rozlały się na kolejne sunnickie miejscowości. Wtedy właśnie, wiosną 2013 r., jako pierwsze miasto w północnym Iraku Al-Hawidża wpadła w ręce sunnickich ekstremistów, którzy



MARWAN IBRAHIM / AFP / EAST NEWS

Uchodźcy z Hawidży wyruszają w drogę powrotną do swojego miasta. Kirkuk, 16 stycznia 2018 r.

le razy, chcieli zabrać męża. W końcu zostawili ich w spokoju. – Ale życie było ciężkie. Nie było jedzenia, tylko chleb – mówi kobieta. Małżeństwo pomagało sąsiadom, którzy mieli pięć krów, sąsiedzi dzielili się z nimi jogurtem i mlekiem. – No i papierosów nie było – mówi kobieta i, jakby chcąc nadrobić zaległości, chciwie pali papierosa za papierosem.

Podczas gdy Dżuburi dokonuje inspekcji domu, dzieci rozpakowują meble, lodówkę i telewizor. – Wszystko jest jak dawniej – Mahmud promienieje. Ale zaraz pojawiają się wątpliwości. Z posępną miną słucha szwagierki, która twierdzi, że nocami po okolicy kręcą się jeszcze bojownicy IS. – Przychodzą i żebrają o jedzenie, albo chcą pieniędzy – mówi kobieta.

We wsi mieszka 25 rodzin. Państwowej policji nie ma, a milicjanci z formacji wiernych rządowi – szyicy czy sunniccy – są za daleko. Wieśniacy sami nie mają czym się bronić, armia rządowa skonfiskowała całą broń. Ale to nie jest jedyny problem Mahmuda al-Dżuburiego.

Pułapki prawa plemiennego

Bojownicy IS nie byli tu obcymi, wielu pochodziło z tego regionu. Ich rodziny uciekły. Często zdarza się, że bliscy bojowników są poddawani represjom. – Spodziewaliśmy się, że po wyzwoleniu dojdzie do aktów zemsty – powie potem Zainab Kassem z organizacji Sanad for Peace Building w Bagdadzie, podczas rozmowy prowadzonej przez Skype'a.

Aby przerwać ten diabelski krąg, Zainab i jego ludzie przez półtora roku negocjowali ze starszymi plemion i lokalnymi politykami. W czerwcu 2017 r. podpisano pakt, w którym przedstawiciele plemion opowiedzieli się przeciw „religijnemu i politycznemu ekstremizmowi” oraz zobowiązali do przestrzegania standardów międzynarodowych i praw człowieka. Wśród sygnatariuszy byli przedstawiciele Dżubur, jednego z największych plemion w północnym Iraku. Porozumienie miało zapewnić też bezpieczny powrót do domów rodzinom bojowników IS.

Pół roku później wydaje się, że ten piękny plan może rozpaść się jak bańka mydlana w zderzeniu z twardą rzeczywistością. A rzeczywistość ta to prawo plemienne. – Gdyby rodziny bojowników wróciły, na pewno zaraz wybuchłyby krwawe spory – powie Dżuburi podczas obiadu, na który dostaniemy ryż z kurczakiem. Dlatego on,

Mahmud al-Dżuburi, zrobi wszystko, aby do tego nie dopuścić. – Nawet gdyby sam gubernator prowincji zagwarantował im bezpieczeństwo, nic by to nie dało, zaraz zostaliby zabici – przepowiada. Poza tym trudno wymagać od ludzi ze wsi, żeby żyli drzwiami w drzwiach z tymi, którzy ich gnębili.

W północnym Iraku są więc dziesiątki tysięcy rodzin, które być może przez lata nie będą mogły znaleźć sobie nowego domu – idealna pożywka dla rekrutacji ze strony ukrywających się bojowników IS.

Szkoła bez nauczycieli

Ale w tym momencie Dżuburi ma zupełnie inne troski. We wsi nie ma prądu, trzeba więc sprawdzić, czy uda się uruchomić stareńki generator. Poza tym Mahmud ma zadanie, dostał je ni mniej ni więcej, tylko od władz prowincji. Z zawodu jest bowiem nauczycielem historii i pracuje w wydziale edukacji prowincji. Za kilka dni powinien otworzyć we wsi ponownie szkołę podstawową, po trzech latach.

Teoretycznie świetny pomysł. Ale tak jak idea pojednania, również i on może zderzyć się z realiami. – Jak dzieci mają chodzić do szkoły? – to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Nie ma bowiem nauczycieli. Większość uciekła, do Kirkuku lub innych miast. Wobec ostrych i długotrwałych kontroli na checkpointach oraz włóczących się niedobitków IS, Dżuburi nie wierzy, aby jakiś nauczyciel dał się namówić na codzienne dojazdy do ich szkoły.

Do tego jeszcze – uczniowie. Jak mieliby dotrzeć do szkoły z bardziej odległych wiosek? – Przecież tu nie jeżdżą żadne autobusy – mówi Mahmud. – A jak nie ma żadnej komunikacji, to i uczniowie nie dojadą.

Radość, która emanowała z niego podczas drogi z Kirkuku, znikła już zupełnie. Cienie kładą się na jego gładko ogolonej twarzy. – Byłem taki szczęśliwy, jak tu jechaliśmy – mówi Mahmud al-Dżuburi. – A teraz jestem w szoku. Nie ma prądu, nie ma pieniędzy. Jak mamy zaczynać na nowo? To dla mnie zagadka. ©

Przetłumaczył WP

INGA ROGGE jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
w Radio Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM |
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM |
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM |
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM |
Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

ponad rok później proklamowali w Mosulu swój „kalifat” – państwo boże na ziemi, Państwo Islamskie. Z kolei w październiku 2017 r. Al-Hawidża była ostatnim miastem w północnym Iraku, odbitym przez wojska rządowe i szyickich milicjantów.

Teraz sprawia wrażenie opustoszałego. Poza szyickimi milicjantami nie widać nikogo. Wzdłuż głównej ulicy wiszą wszędzie żelazne rolety, mocno podniszczone, powykrzywane. W bocznych uliczkach zdążyły rozrosnąć się krzaki, wysokie na człowieka. Dawna fabryka, gdzie ekstremiści z IS mieli montować auta-pułapki z bombami, sprawia wrażenie, jakby przeszedł tędy tajfun, jakby olbrzym wielkim młotem porozbijał betonowe płyty i stalo-we dźwigary.

Tylko chleb i jogurt

Jeszcze kilka minut i Dżuburi jest u celu: w swojej wiosce, tuż pod miastem. Na powitanie wybiega mu szwagierka Hadżar Adhar Hadid, kobieta kuleje. Mahmud i Hadżar rzucają się sobie w objęcia, ściskają, płaczą. Trwa to dobrych kilka minut. – Dobrze cię widzieć – powtarza niemłoda kobieta między jednym a drugim szlochem. Nie widzieli się długo: gdy IS zajęło ten teren, Dżuburi przeschmuglował żonę i pięcioro dzieci do Kirkuku. Sam dołączył do nich pod koniec 2015 r., niebezpieczna ucieczka kosztowała go 1200 dolarów. Jego brat, starszy od Mahmuda i chory, musiał zostać. Razem z nim została jego żona i ich 18-letnia córka.

Szwagierka ma ponad 50 lat, ale jej twarz pokrywa tyle zmarszczek, że łatwo można by ją wziąć za babcię dzieci Mahmuda. Opowiada, że ekstremiści zachodzili wie-



MAT. PRASOWE PREZYDENTA TADŻYKISTANU

Spotkanie prezydenta Rahmana z członkami parlamentu Tadżykistanu. Duszanbe, 22 grudnia 2017 r.

Najlepszy przywódca na świecie

WOJCIECH JAGIELSKI

Gdy ćwierć wieku temu obejmował władzę w Tadżykistanie, nie zapowiadał się na wielkiego szacha, który rozstrzyga o wszystkim w życiu poddanych. Tymczasem Imam Ali Rahman trwa do dziś – i włada jak dawni szachowie.

DZIĘKI MĄDREMU PRZYWÓDZTWU OJCA Narodu, Stworzyciela Pokoju i Zgody Narodowej, wielce szanownego prezydenta Imama Alego Rahmana, piłka nożna przeżywa niebywały rozkwit. Pełną parą idą reformy, wre praca, a nasz futbol nigdy nie odnosił większych sukcesów” – tak ubiegły rok podsumował prezes tadżyckiego związku piłki nożnej, Rustam Imam Ali. Prezydencki syn pierworodny, który do roli następcy tronu wdraża się także w roli burmistrza stołecznego Duszanbe.

W oficjalnym, liczącym 221 pozycji rankingu FIFA najlepszych narodowych drużyn świata Tadżykistan zajmuje dopiero 126. miejsce. Ale słuchając dworzan tadżyckiego prezydenta można odnieść wrażenie, że kraj odnosi same sukcesy.

I że w ogóle wszystkie radości, większe i mniejsze, które ich w życiu spotykają, Tadżycy zawdzięczają wyłącznie przywódcy. Powinni więc dziękować Bogu, iż w swojej łaskawości zesłał im na przewodnika tak dobrego pasterza.

Urzędnicy prezydenta – niczym nadworni heroldowie – prześcigają się w wychwalaniu jego zasług i wymyślaniu najwznioślejszych tytułów. Jedni przyrównują go więc do wielkich prezydentów w historii USA, Waszyngtona i Lincolna. Inni – do prześwietnych emirów samanidzkich, władców Samarkandy, Buchar, Fergany i Heratu, którzy w Azji Środkowej wskrzesili perskie imperium. Najwspanialszemu z nich, Ismailowi Samanemu, tadżycki prezydent kazał wznosić w stolicy pomnik

ze złota. Mieszkańcy Duszanbe twierdzą, że gdyby zapuścił brodę i wąsy, Imam Ali Rahman wyglądałby wypisz wymaluj jak emir na cokole.

Pięć lat więzienia

Telewizja, radio i gazety nazywają go „Waszą Wysokością”, „Nauczycielem Nauczycieli”, „Słońcem Szczęścia”, „Tym, Który Rozwiązuje Wszystkie Problemy”. Parlament nadał mu oficjalny tytuł „Ojca Narodu, Stworzyciela Pokoju i Zgody Narodowej”, a także postanowił, że może panować tak długo, jak tylko zechce. A kiedy złoży urząd, otrzyma (wraz z najbliższymi) gwarancję nieetykalności i dożywotnią emeryturę w wysokości niemal równej prezydenckiej pensji (plus służbowy samochód z kierowcą). Posłowie przyjęli też prawo, że za publiczne uchybienie czci „Ojca Narodu” karać się będzie pięcioma latami więzienia.

Bronić imienia „Najlepszego Przywódcy na Świecie” trzeba, bo w Tadżykistanie, jak wszędzie, nie brakuje malkontentów, którzy zamiast sukcesów widzą klęski i błędy, biedę i zacofanie, niewolę i tyranie. I za wszystko obwiniają „Najlepszego Przywódcę”, którego nie uważają wcale za wybawcę od straszliwej wojny, lecz jej sprawcę, winowajcę koszmarnego, który pochłonął 100 tys. ludzkich ofiar, a prawie milion skazał na tułaczkę i wygnanie.

Dworzanie tadżyckiego prezydenta mają czarnowidzów za niewdzięczników

i niegodziwców. Wszak gdyby dowodzone przez prezydenta wojsko nie rozgromiło wrogów i nie wygrało wojny, trwałaby pewnie do dziś. Zawarł z nimi pokój, podzielił się władzą. A jak mu za to odpłacili? Nie uznali w nim prawowitego władcy, lecz próbowali odebrać stery rządów, knuli spiski. Nic dziwnego, że w końcu zabrakło mu cierpliwości i zakazał działalności ich opozycyjnej partii...

W lustrze dziejów

Portrety prezydenta, którymi przyozdobiono miasta i wioski, przypominają Tadzyskom, za co winni są wdzięczność „Najlepszeemu Przywódcy”. Przyniósł im pokój, wybawił z wojennego chaosu, upadku, głodu i chłodu, ognia i powodzi, dba o porządek, krzewi patriotyzm. Troszczy się też o ich pomyślność oraz o to, aby nie zapomnieli o historii i obyczajach.

Przypomina też nieustannie rządowa telewizja (innej nie ma), donosząca o każdym uczynku przywódcy i nadająca „na żywo” wszystkie jego przemówienia. Przy takich okazjach przerywany jest program telewizyjny, programy rozrywkowe, ulubione seriale czy transmisje z piłkarskich meczów, a nazajutrz telewizja nadaje powtórki. O wszystkim, co zrobił i co powiedział, donoszą też stacje radiowe, zarówno rządowe, jak też prywatne, zajmujące się na co dzień rozrywką. Od jesieni 2017 r., pod groźbą utraty licencji, muszą nadawać słuchowiska, w których aktorzy czytają napisane przez prezydenta dzieła.

Ma ich na koncie ponad dwadzieścia. Dzieła o historii Tadzysków, równie starej, co wspaniałej, o ich mowie, kulturze, tradycjach i zwyczajach. Najważniejsza książka, „Tadzyscy w lustrze dziejów”, wydana w nakładzie ćwierć miliona egzemplarzy i przetłumaczona na rosyjski, angielski, niemiecki, francuski, arabski i chiński, stała się w urzędach, szkołach i uczelniach elementarzem, encyklopedią i księgą świętą. Nic dziwnego, że jeden z usługowych urzędników nazwał go „Posłańcem Bożym”. Inny zaproponował, by ogłosić go szachem. Co tam szachem! Szachinszachem! Królem nad królami!

Do tego właśnie przekonywał zwycięzca konkursu na najpiękniejszy wiersz o „Najlepszym Przywódcy”. Zwycięzcą okazał się minister policji Ramazan Rahimzodah – w konkursie występujący pod artystycznym, ma się rozumieć, pseudonimem.

Przewodnik dla rodziców

Szumne tytuły, kult jednostki i absolutna władza są od ćwierćwiecza chlebem powszednim we wszystkich – poza Kirgi-

stanem – państwach Azji Środkowej, które wyrosły na ruinach dawnego imperium Rosji i Związku Sowieckiego.

Pierwszy prezydent niepodległego Turkmenistanu kazał tytułować się Turkmenbaszą, „Wodzem Wszystkich Turkmenów”, a jego następcę – „Opiekunem”. Pierwszy i jedyny jak dotąd prezydent Kazachstanu został ogłoszony „Ojcem Narodu”. Pierwszy przywódca Uzbekistanu, zmarły przed dwoma laty, nie zwracał sobie głowy tytułami, ale poddani drżeli przed nim jak przed średniowiecznym Tamerlanem.

Zresztą Azja Środkowa zawsze uchodziła za światową kolebkę satrapii – także przed rosyjskim podbojem. Tamtejsi przywódcy skupiali w rękach całą władzę i różnili się tym tylko, że jedni sprawowali ją w sposób łagodniejszy, oświecony, a inni – brutalny. Jednak po rozpadzie Związku Sowieckiego żaden nie wkroczył w życie poddanych tak bardzo jak tadzyski „Najlepszy Przywódca na Świecie”, który wyręcza ich we wszystkich sprawach, ważnych i drobnych, od kołyski po grób.

Na początek polecił im pozmienian zruszczone nazwiska. Sam dał przykład: skreśliwszy rosyjską końcówkę „ow”, z Rachmonowa przemienił się w Rahmana. Starszym pozostawił jeszcze wolny wybór, ale przychodzące na świat dzieci kazał rejestrować już tylko pod tadzyskimi nazwiskami. Polecił też rodzicom, by wybierali dzieciom imiona tadzyskie, a nie obce – zachodnie, rosyjskie czy arabskie. Aby ułatwić wybór, władze wydały przewodnik z czterema tysiącami tadzyskich imion, a także zaleciły, by zamiast trwonić pieniądze na przyjęcia z okazji obżęzania czy chrzcina, rodzice wpłacali je na specjalne lokaty bankowe, mające pokryć koszty przyszłej nauki.

Zabiegając o wszystko, co ojczyste, prezydent ogłosił też, że tadzyski będzie jedynym językiem urzędowym. Z tego samego powodu zakazał ubierania w szkołach choiniek bożonarodzeniowych, zabronił świętych Mikołajów i Dziadków Mrozwów, a także świętowania Nowego Roku fajerwerkami. Gdy rodzice mimo wszystko ruszyli na zakupy noworocznych prezentów dla dzieci, polecił właścicielom sklepów z zabawkami, by u chińskich producentów lalek Barbie zamawiali wyłącznie figurki w ubrankach przypominających tadzyskie stroje ludowe – i pod żadnym pozorem nie spruwadzali Barbie w bikini ani w czadorach. Półnagie Barbie wystawiałyby dzieci na zachodnią zgniliznę moralną, a czadory na muzulmański fanatyzm, który „Naj-

lepszy Przywódca” uznał za najgorsze z zagrożeń.

Łapanki na brody

Niemal wszyscy mieszkańcy 10-milionowego Tadzyskistanu są muzulmanami. Wojna domowa, która wybuchła w 1992 r., zaczęła się od muzulmańskiej rewolucji w Duszanbe, gdy zwolennicy partii odwołujących się do islamu i demokracji odebrali władzę komunistom. Trwający pięć lat konflikt wygrali dawni komuniści, a islamska opozycja znalazła schronienie i wsparcie za afgańską miedzą, u mudzahedinów.

Afgańskie sąsiedztwo, tamtejsza wojna, talibowie i dżihadysci z „terrorystycznej międzynarodówki” trwożą władze nie tylko Tadzyskistanu, ale wszystkich środkowoazjatyckich państw, leżących na północnych brzegach granicznych rzek, Amudarii i Pandzu. Tym bardziej że kilka tysięcy Uzbeków, Turkmenów, Tadzysków, Kirgizów, Kazachów i Ujgurów zaciągnęło się jako ochotnicy do armii „kalifatu” w Iraku i Syrii.

I to właśnie troska, by ustrzec Tadzysków przed zarazą religijnego fanatyzmu i wojny, sprawia, że tak wiele czasu zajmują prezydentowi pozornie błahe sprawy męskiego i żeńskiego ubioru i wyglądu.

Zabronił więc nosić – kojarzące mu się z fanatyzmem – czadory w szkołach i zakładach pracy. I w ogóle poradził kobietom, aby wiązały chustki z tyłu głowy, jak ich matki i babki, a nie pod brodą jak Iran-ki. Urzędnikom nakazał przygotowanie żurnala mód z kobiecymi strojami, wzorowanymi na ludowych, spośród których wybrano by te najlepiej nadające się na szkolne mundurki dla dziewcząt i na ubrania, w których kobiety przychodziłyby do pracy. Każde z ministerstw ma wybrać dla swoich pracowników odpowiedni styl (tadzyski albo zachodni, ale lepiej tadzyski), fason i kolor służbowych strojów.

Prezydent nie zapominał o mężczyznach. Ogłosił, że podobnie jak czadory, z tadzyską tradycją sprzeczne są męskie turbany i brody. Na targowiskach i ulicach policja urządza co jakiś czas łapanki, podczas których zatrzymuje i przymusowo goli mężczyzn o podejrzenie bujnym zarostem, a kobietom ściągą z głów chusty. „Tylko ktoś, kto ma powód do wstydu, zakrywa twarz” – ogłosiła telewizja, sugerując, że kobiety w czadorach trudnią się nie-
rządem.

Kobietom i mężczyznom zabroniono też wstawiać złote zęby, mężczyznom – palić papierosy. Policjantom kazano schudnąć i chodzić do teatru. A handlarzom ↪

z bazarów zakazano sprzedawać gwoździe, śruby czy karbid klientom, którzy nie będą mogli wylegitymować się ważnym dowodem tożsamości. Ma to ustrzec Tadżyków przed domorosłymi producentami bomb, podkładanych potem przez muzułmańskich fanatyków.

Do Mekki po czterdziestce

Zabezpieczeniem przed religijnym fanatyzmem mają być też szczegółowe przepisy, regulujące życie duchowe Tadżyków.

Władze zarządziły, że na modlitwy do meczetu można chodzić dopiero po ukończeniu 18. roku życia, a urzędnicy w ogóle powinni się wystrzegać religijnej ostentacji, za jaką może być wzięty udział w piątkowych modłach. Prezydent zdecydował też, że imamami meczetów i dyrektorami medres mogą być wyłącznie zatwierdzeni przez rząd imamowie, którzy religijne wykształcenie zdobyli dzięki rządowym stypendiom, a nie na własną rękę, wyjeżdżając na studia do Kairu, Dżuddy czy Karaczi. W 2017 r., aby ustrzec ich przed religijnym fanatyzmem, władze sprowadziły na swój koszt kilka tysięcy tadżyckich studentów, pobierających nauki w uczelniach na niepokojnym Bliskim Wschodzie.

Urzędnicy w Duszanbe niechętnie udzielają zgody na zakładanie nowych meczetów i medres (za prowadzenie nielegalnych świątyń i szkół grozi 12 lat więzienia), a nawet na otwieranie sklepów z dewocjonaliami i religijną literaturą. Imamowie zaś muszą regularnie przechodzić urządzone przez władze egzaminy ze znajomości prawa i lojalności wobec świeckiego państwa. Zabroniono też umieszczania w meczetach i na minaretach głośników oraz podwyższono z 35 do 40 lat wiek, po ukończeniu którego obywatelom zezwala się na legalną pielgrzymkę do Mekki.

Płakać, nie lamentować

Prezydent dba zresztą o każdy aspekt codziennego życia poddanych.

W ramach promocji tadżyckości zachęca młodych chłopców, aby – zamiast zajmować się boksem czy karate – ćwiczyli miejscową odmianę zapasów, gusztिंगiri. Zabronił studentom przyjeżdżać na wykłady prywatnymi autami, a uczniom korzystać z telefonów komórkowych w szkołach i bursach.

Na polecenie prezydenta Rahmana pod koniec 2017 r. sporządzono rejestr homoseksualistów, lesbijek i transwestytów, młodym parom nakazano przedślubne badania (na koszt państwa) na obecność AIDS. Wobec protestów kobiet wycofano

Kiedyś dyrektor kołchozu,
do najwyższych godności
został wyniesiony dzięki
wojnie domowej. Zrazu
onieśmielony, powoli
oswoił się z władzą.
Uwierzył, że nadaje się na
szacha urabiającego swoje
państwo jak ciasto.

się z pomysłu przedmałżeńskiego sprawdzania dziewictwa.

W trosce o stan portfeli rodaków (bieda, jak wiadomo, najprędzej popycha ludzi ku radykalizmowi i desperacji) „Najlepszy Przywódca” zabronił urządzać hucznych przyjęć. Wydano specjalne prawo, ustalające, że na wesele można zaprosić najwyżej 150 gości, przyjęcie powinno zakończyć się w jeden dzień, a orszak weselny nie może składać się z więcej niż czterech samochodów.

Inne przepisy regulują sposób, w jaki obywatele żegnają się z tym światem. Na pogrzeb i stypę wolno zaprosić tyle samo osób, co na wesele, należy ugościć ich jednym i tylko jednym posiłkiem, a żałobnicy powinni przybyć ubrani na niebiesko (w żadnym wypadku w czerni, kojarzącą się z fanatyzmem), w tradycyjne ludowe stroje. Wolno im płakać, ale nie lamentować wniebogłose. I pod żadnym pozorem nie wolno zatrudniać zawodowych płaczek.

Wyniosła go wojna

Wdzięczni poddani co roku piszą do dalekiej Szwecji prośby o przyznanie tadżyckiemu prezydentowi Pokojowej Nagrody Nobla. Nie mogą się tego doczekać, sami układają dla niego wiersze i pieśni.

Jeszcze niedawno na to nie pozwalał. „No już mnie tak nie chwalcie, nie trzeba” – mówił. Nie pozwalał wieszać w urzędach swoich portretów, do dziś nie pozwolił sobie wystawić pomnika. Kult jednostki, jakim otaczali się jego koledzy po fachu z sąsiedztwa, jego samego zdawał się krępować.

Znacznie od nich młodszy (miał zaledwie czterdziestkę, gdy stawał na czele państwa), skrzępowany czuł się też w ich towarzystwie. Oni, zanim zostali prezydentami niepodległych państw, rządili nimi jako pierwsi sekretarze, namiestnicy Kremla. Oswoił się z władzą i wielkim światem.

On zaś, jeszcze jako Rachmonow, zarządzał tylko kołchozem w rodzinnym miasteczku Dangara, z którego wyjechał tylko raz, żeby nad Pacyfikiem odbyć w sowieckiej marynarce obowiązkową służbę wojskową.

Do najwyższych godności wyniosła go wojna, która wybuchła wkrótce po tym, jak proklamowano niepodległość. Zaczęła się od obalenia byłego pierwszego sekretarza, który ogłosił się prezydentem. Po wyrwaną z rąk, niczyją władzę rzucili się powiatowi sekretarze i samozwańcy watażkowie, często pospolicci przestępcy, mający doświadczenie w obchodzeniu się z przemocą. To właśnie oni, świadomi swojej przeszłości, wzięwszy górę w domowej wojnie, wybrali Rachmonowa na swego prezydenta. Sam nic nie znaczący, miał być marionetką w ich rękach.

Nowe miejsce, nowe życie

Zrazu onieśmielony i przestraszony, powoli oswoił się z władzą, a podpuszczając przeciw sobie wrogów i sojuszników, po kolei pozbywał się i nieprzyjaciół, i rywali, i dobrodziejów. Zajął mu to ponad dziesięć lat. Przekonał się, że także on, parweniusz, nadaje się na szacha – tak samo dobrze jak sekretarz na prezydenta.

Usadowiwszy się już wygodnie na prezydenckim fotelu, poczuł się na tyle pewnie, że hołdy poddanych przestały go drażnić, a nawet stały się miłe. Uwierzył w nie i w swoją wielkość. Odtąd zaczął nie tylko sprawować władzę, ale kształtować, urabiać jak ciasto swoje państwo i jego obywateli. Mówić im, jak mają żyć, w co wierzyć, co im wolno, a co zabronione.

Tadżycy, podobnie jak Uzbeki czy Kazachowie, nigdy nie mieli własnego państwa. Stracili nawet swoje metropolie, Samarkandę i Bucharę, które z woli Kremla przypadły Uzbekom (wtedy jeszcze Uzbekiej Republice Radzieckiej). Duszanbe, zanim zostało ogłoszone tadżycką stolicą, było osadą, w której co niedziela urządzało targ. Jako miasto służyło raczej przyjezdnym Słowianom, przysyłanym lub zsyłanym tu przez Moskwę do pracy, a nie miejscowym.

Przybyłszy uciekli, gdy wybuchła wojna. Właściwie dopiero wtedy Duszanbe przeszło na własność Tadżyków. Już po wojnie, uciekając z górskich kiszaków przed biedą i rozpaczą, zapełnili miasto w nadziei, że znajdują w nim lepsze życie.

W nowym miejscu, w nowym życiu łatwo było uwierzyć, że historia zaczęła się wraz z ich przyjazdem do stolicy. I wraz z rządami „Najlepszego Przywódcy na Świecie”.

©P

WOJCIECH JAGIELSKI

WOJCIECH

Bonowicz:

Pytanie



W 1996 R. POJECHAŁEM DO KOPENHAGI na międzynarodowe spotkanie dziennikarzy. Miał jechać Jurek Illg, ale nie mógł, więc wysłał mnie na swoje miejsce. Podróż miałem długą: najpierw pociągiem do Świnoujścia, potem promem do stolicy Danii. Trwało to w sumie

dwie doby. Wyczerpany i niedospany dowlokłem się z walizką do luksusowego hotelu. Nikogo nie winię; to był mój własny pomysł. Na miejscu okazało się, że wszyscy inni przylecieli samolotami.

Spotkanie było poświęcone wielokulturowości i zmianom zachodzącym w europejskich społeczeństwach. Odzywałem się niewiele, bo też niewiele miałem na ten temat do powiedzenia. Jedyną wielokulturowość, z jaką miałem do czynienia w Polsce, to były mnożące się i namiętnie zwalczające partie polityczne. Słuchałem jednak z zainteresowaniem, jak algierska dziennikarka, mieszkająca od kilku lat w Szwecji, opowiadała o arabskich kobietach, które chcąc się uwolnić od opresji własnych społeczeństw, uciekały do Europy, by tam doświadczyć nowej nietolerancji. Albo jak dziennikarz z Holandii opisywał klasy, gdzie w ławkach zasiadały dzieci pochodzące ze wszystkich kontynentów, a zebrania z rodzicami zamieniały się w indywidualne konsultacje z pomocą tłumaczy. „Jak rozwiązać powstające problemy, nie łamiąc przy tym praw człowieka?”, pytano. Charakterystyczne, że nikt wtedy nie mówił o konieczności zamknięcia Europy, a w przybyściach widziano przede wszystkim nową energię i kulturowe bogactwo. Jeśli nad czymś ubolewano, to nad własną nieumiejętnością i niedostatecznym zaangażowaniem.

Podobało mi się to, bo nie lubię bicia się w cudze piersi. Zresztą mówiono też sporo o udanych inicjatywach, w których przodowały wówczas państwa skandynawskie. Cieniem na rozmowach kładła się natomiast wojna w byłej Jugosławii, która wywołała nową falę uciekinierów. Obozy dla uchodźców, w których mieszały się Bośniacy, Serbowie, Chorwaci i Albańczycy, stawały się zarzewiem nowych konfliktów.

Dyskusje z sal konferencyjnych przenosiły się do restauracji. W czasie jednej z uroczystych kolacji poproszono, żebym opowiedział o sytuacji w Polsce. „Tak naprawdę jeszcze nie wiemy, co się dzieje”, zażartowałem. „Kilkanaście procesów przebiega u nas równocześnie, z tego większość gwałtownie. To, że ludzie to wytrzymują, jest cudem. To, że się przy tym kłóć, ale nie zabijają, jest cudem jeszcze większym”. Kiedy skończyłem, na chwilę zapadła cisza. I wtedy rozległ się głos dziennikarza z Portugalii: „A dlaczego wy, Polacy, jesteście takimi antysemitami?”.

Pierwszy i ostatni raz znalazłem się w takiej sytuacji. Ktoś mruknął, że to niestosowne pytanie. Nie pamiętam, co odpowiedziałem, myślę, że coś ogólnego, bo przecież na taki zarzut nie sposób odpowiedzieć krótko, ale też nie wypada obracać go w żart. W domu, w którym wyrosłem, i w środowisku, z którym byłem związany, nie spotykałem się z przejawami antysemityzmu. Wręcz przeciwnie. Wystarczyło jednak przejść się po mieście, posłuchać, co mówią niektórzy ludzie, zajrzeć do niektórych gazet, żeby takie przejawy znaleźć. Jak opisać, co wtedy poczułem? Zarzut – jak każda generalizacja – był niesprawiedliwy. A jednak był też jakoś „sprawiedliwy”, trafiał w czuły punkt, dotykał jakiejś starej rany, która w końcu musiała dać znać o sobie.

Wiele razy jeździłem potem za granicę lub spotykałem w Polsce zagranicznych dziennikarzy. Nikt nigdy nie zadał mi podobnego pytania, więcej – chwalono nas, Polaków, za podejmowanie trudnych tematów. Po wystąpieniu Jana T. Grossa i gwałtownej dyskusji wokół jego książek te głosy nawet się nasiliły. Pamiętam Martina Pollacka, który mówił: „My, Austriacy, nie mamy tyle odwagi”. Wydawało się, że jesteśmy na dobrej drodze, aby ową ranę oczyścić i pozwolić, by powoli się zagoiła.

Co będzie teraz, nie wiem. Opadają mnie czarne myśli i nie potrafię ich odegrać. ©

Kluby „TP” zapraszają:

BERLIN – Spotkanie „Oczami streetworkerki. BEZdomNOŚĆ. Czym jest bezdomność i jakie są jej przyczyny”. Gościem będzie Natalia Wojciechowicz, od 2 lat pracująca z bezdomnymi Polakami w stolicy Niemiec. **Czwartek, 15 lutego, godz. 19.00**, klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46, 10551 Berlin-Moabit).

KRAKÓW – Wspólna lektura i dyskusja nad książką „Tischner czyta katechizm”.

Piątek, 9 lutego, godz. 18.00, Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14, I piętro).

LIPSK – Spotkanie „Polska-Niemcy. Dialog kultur”. **Czwartek, 8 lutego, godz. 18.30**, Kirchencafé – Café 3KLANG (Nonnenmühlgasse 2).

LONDON, KANADA – Spotkanie ze Stanem (Stanisławem) Skrzyszewskim, historykiem i poetą. **Sobota, 10 lutego, godz. 18.00**, sala parafialna Kościoła Matki Boskiej Czę-

stochowskiej (419 Hill Street, London, Ontario, Kanada).

WARSZAWA – Spotkanie „Rewolucja w Kościele” wokół pierwszej części rozmów „Tischner czyta katechizm”. Gościem będzie o. Paweł Guzyński.

Czwartek, 8 lutego, godz. 19.00, sala KIK (Freta 20/24A). Spotkanie „Sługa Temidy, świadek czasów”. Gośćmi spotkania będą prof. Adam Strzembosz i Stanisław Zakroczyński. **Czwartek, 15 lutego, godz. 19.00**, KIK (Freta 20/24A, II piętro). Podczas

spotkania będzie możliwość zakupu książki „Między prawem i sprawiedliwością”. Kawiarenka Klubowa, „Gdy pytanie jest wyzwaniem – wywiad bez tajemnic”. Gościem będzie Katarzyna Kubisiowska, dziennikarka „TP”. **Sobota, 17 lutego, godz. 16.00**, Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA – Spotkanie „Media i polityka”. Gościem będzie Dominika Wielowiejska. **Czwartek, 15 lutego, godz. 18.00**, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



ROK TRUDNYCH ROCZNIC

Kryzys w relacjach Warszawa–Kijów nie pojawił się w ostatnich latach, on narastał od dawna. Dziś jest coraz gorzej. Tymczasem wkrótce czekają nas historyczne daty, które mogą go dodatkowo zaostrzyć.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

WDYSKUSJI O POGARSZANIU SIĘ STOSUNKÓW między Polską a Ukrainą zwykle przyjmuje się, że jego początek miał miejsce w latach 2014-16. Jedni kładą nacisk na wzrost popularności radykalnego ukraińskiego nacjonalizmu po Rewolucji Godności i rosyjskiej agresji. Inni – na uchwałę polskiego Sejmu z lipca 2016 r., określającą Zbrodnię Wołyńską mianem ludobójstwa.

Jednak proces ten zaczął się znacznie wcześniej. Warto go prześledzić, jeśli mamy wyciągnąć z niego jakąś lekcję dla tego, co – być może – czeka nas w najbliższych miesiącach.

1993–2003: falstarty

Najpierw cofnijmy się – i to o ćwierćwiecze. W 1993 r. Rzeczpospolita zrezygnowała z – narzucających się przecież – uroczystości 50. rocznicy Zbrodni Wołyńskiej. Jeśli prawdą jest, jak twierdził Hennadij Udowenko (ówczesny ambasador Ukrainy w Warszawie), że stało się to pod wpływem jego argumentów, oznacza to, że oficjalny (postkomunistyczny wtedy) Kijów nie chciał pojednania, już wówczas traktując pozytywną pamięć o UPA jako użyteczny element legitymizacji powstałego dwa lata wcześniej państwa. Potwierdza to wprowadzanie tej pamięci do podręczników szkolnych już około 1993-94 r.

To nie było dzieło nacjonalistów, w jakimkolwiek rozumieniu tego pojęcia. Ukrainą wciąż rządziła wtedy postkomunistyczna nomenklatura, która nie wyobrażała sobie funkcjonowania państwa bez ideologii. Dowolnej. Nie wierzyli w żadną, ale nie umieli się nią nie posługiwać. Sięgnęli więc po nacjonalizm, podszywany przez szowinistyczną diasporę.

W dodatku na początku lat 90. (i jeszcze długo potem) Ukraina uważała się za „cud świata”, który inni powinni cenić i wspomagać za samo to, że jest. Nieważne, czy kijowska elita wierzyła w kluczową rolę geopolityczną swego kraju – ważne, że głosiła taki pogląd i grała nim w polityce wewnętrznej oraz międzynarodowej. I bardzo nie chciała potrzebować Polski, choć rozumiała, że nie ma alternatywy, że polskie wsparcie na arenie międzynarodowej jest młodemu państwu niezbędne.

W 2013 r. Jarosław Kaczyński, wtedy lider polskiej opozycji, wystąpił na Majdanie i poparł ukraińską rewolucję. Po jego przemówieniu kilkaset tysięcy ludzi krzyczało po polsku: „Dziękujemy!”. Dziś PiS przyjmuje w Sejmie ustawę, która może zakończyć dialog polsko-ukraiński. Na zdjęciu obok: „Ukraina to Europa”, Kijów, 1 grudnia 2013 r.

Z czasem, gdy państwo okrzepło, jego elity przestały dostrzegać tę konieczność (choć gdy było trzeba, jak w sprawie zniesienia wiz do Unii – chętnie korzystały ze wsparcia Warszawy). A my niezmiennie chcieliśmy potrzebować Ukrainy. Kijów świetnie o tym wiedział – i grał tą kartą. Także w sprawach historycznych.

Zaniechania z roku 1993 nie dało się odrobić. Tymczasem w ówczesnej atmosferze możliwe były gesty pojednania, nie do powtórzenia już parę lat później. Gesty, których nie dałoby się potem przekreślić. Zmarnowaliśmy tę szansę wspólnymi siłami.

Dekadę później, w 2003 r., wielkie już uroczystości rocznicowe chybiły głównego celu – nie zapoczątkowały wspólnej refleksji obu narodów nad wydarzeniami z lat 40. XX w. Również ze względu na niepopularność obu prezydentów – Kwaśniewskiego i Kuczmę – wśród elit intelektualnych i moralnych ich krajów.

Sporne słowo „ludobójstwo”

To już wtedy – a nie w 2016 r., gdy Sejm przyjął swoją uchwałę – państwo polskie po raz pierwszy uznało mordy na Wołyniu i w Galicji Wschodniej za zbrodnię ludobójstwa (termin „zbrodnia wołyńska” jest późniejszy).

Najpierw uczynił to ówczesny prezes IPN Leon Kieres, podsumowując 1 lipca 2003 r. ówczesny stan wiedzy o tej zbrodni, a później Aleksander Kwaśniewski w swym oficjalnym wystąpieniu podczas odsłonięcia pomnika Polaków pomordowanych w Pawliwce/Porycku na Wołyniu. Prezydent Leonid Kuczma nie użył tego określenia, ale przystał na jego użycie przez swego polskiego partnera. W ten sposób ukształtował się „kompromis historyczny”, który przestał działać – tak na Ukrainie, jak w Polsce – około roku 2010.

Wtedy także parlamenty Polski i Ukrainy uchwaliły (10 lipca 2003 r.) jednoznacznie deklarację pojednania. Ale strona ukraińska w ostatniej chwili usiłowała zmienić tekst porozumienia. Skandalu udało się uniknąć dzięki telefonicznym konsultacjom szefów parlamentów – dosłownie w ostatniej chwili, już w trakcie posiedzeń Sejmu i Rady Najwyższej. Dziś ten kompromisowy, deklaracyjny dokument bywa na Ukrainie traktowany jako wiążące porozumienie międzynarodowe, zamykające sprawę (tak ujął to były prezydent Juszczenko w wywiadzie dla dziennika „Rzeczpospolita” w październiku 2017 r.).

Obchodom rocznicowym z 2003 r. towarzyszyła pierwsza na wolnej Ukrainie

dyskusja na temat zbrodni UPA. Przyniosła ona ogromny wzrost wiedzy na ten temat, ale też wydobyła na światło dzienne nader różnorodne, nieraz nieprzychylnie nam poglądy. A wśród autorów formułujących stanowisko bliskie polskiej wrażliwości często trafiali się publicyści i politycy o nastawieniu rusofilskim, niechętni zarówno ukraińskiej tradycji niepodległościowej w ogóle, jak też opcji prozachodniej w polityce Kijowa.

Potem dyskusja wygasła, aby z nową siłą powrócić w 2013 r., przy okazji 70. rocznicy Wołynia. Wtedy okazało się, że nie tylko mówimy różnymi językami, ale że po obu stronach znikło wcześniejsze przekonanie (czy też założenie) o dobrej woli obu stron w tym dialogu. Sam ten brak niszczył, uniemożliwiał dialog.

Zmiana wrażliwości

W 2003 r. nie kładliśmy jeszcze (na ogół) nacisku na okrucieństwo, z jakim dokonywano Zbrodni Wołyńskiej. Podobnie konieczność godnego pochowania pomordowanych pozostawała poza świadomością większości uczestników dyskursu. Owszem, powstawały pomniki w bardziej znanych miejscach mordów na terenie Ukrainy, a środowiska ocalałych po cichu (i często nieformalnie) umieszczały krzyże na zapomnianych mogiłach. Ale dopiero w 2009 r. sprawa mogił – ich odnalezienia i godnego upamiętnienia – zaczęła być wskazywana publicznie jako jeśli nie najważniejsza, to jedna z najważniejszych. Pojawiło się też (wcześniej szerzej nieobecne) eksponowanie wyrafinowanego okrucieństwa tych zbrodni.

W tym czasie zarówno nad Wisłą, jak też nad Dnieprem zmieniała się wrażliwość społeczna. Rosło subiektywne znaczenie historii, pamięci, upamiętnień. W miarę jak pogłębiało się rozczarowanie pseudoliberalnym (w istocie konsumerystycznym) indywidualizmem, rosło też przywiązanie do rodziny, narodu i państwa. Oba nasze narody (a także liczne inne narody, nie tylko Europy) poszukiwały teraz znaków wspólnoty i dumy. Z drugiej strony, podobnie ogólnoeuropejskie, jeśli nie globalne przemiany narracji historycznej przenosiły akcent z bohaterów na ofiary. Wreszcie – brutalizacja kultury popularnej rodziła zapotrzebowanie na makabrę także w narracjach historycznych.

Dawną rywalizację bohaterów narodowych wypierała więc rywalizacja narodowych ofiar. A im bardziej nad Dnieprem akcentowano, że Hołodomor (katastrofalny głód na sowieckiej Ukrainie z lat 1932-1933, który pochłonął kilka milionów

→ ofiar) był zbrodnią ludobójstwa przeciw narodowi ukraińskiemu, tym mniej było miejsca na uznanie za ludobójstwo jakichkolwiek działań podejmowanych rękami Ukraińców.

Taki szczegół: w latach 90. XX w. zdarzyło się, że lwowscy intelektualiści mieli pretensje do polskiego autora (pomińmy nazwiska), że – pisząc o zbrodniach UPA – argumentował przeciwko uznaniu ich za ludobójstwo. Dziś ci sami ludzie uważają takie określenie za obrazę narodu ukraińskiego.

Równolegle w obu krajach następowało poszerzenie pola dialogu społecznego. Obok monopolizujących go w latach 90. liberalnych intelektualistów coraz silniej brzmiał głos innych środowisk społecznych, dzielących różne poglądy i częściej niż elity skłonnych do radykalizmu. Efekt ten wzmacniały nowe technologie informacyjne, które ze swej natury sprzyjają skrajnemu formułowaniu opinii, a zarazem rozbijają przestrzeń dialogu społecznego na niszę czy bańki.

Zaczyna się kryzys

Rok 2009 przyniósł pierwszy poważniejszy incydent: próbę przejazdu przez Polskę rajdu rowerowego im. Bandery. Protesty środowisk kresowych wymogły cofnięcie z granicy ukraińskich cyklistów. Ich obrońcy argumentowali wtedy, że organizatorzy nie są nacjonalistami, lecz raczej „ekologicznymi” krzewicielami zdrowego trybu życia, że ich działania nie mają tła politycznego. Po części trafnie. Ale uwadze obrońców rajdu uszło, że patronem fundacji organizującej imprezę był Anatolij Matwijenko: wytrawny polityk, wtedy flirtujący z nacjonalistami. On musiał wiedzieć, co robi.

Potem, na początku 2010 r., „pomarańczowy” prezydent Juszczenko przyznał pośmiertnie Stepanowi Banderze tytuł Bohatera Ukrainy (najwyższe odznaczenie państwowe). Uczynił to w sposób mało elegancki: już po przegranej w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Decyzja wywołała oburzenie w Polsce (inaczej niż – niedostrzeżone – przyznanie w 2007 r. tego tytułu Romanowi Szuchewyczowi, dowódcy UPA) i zaowocowała m.in. uchwaloną z inicjatywy polskich europosłów krytyczną rezolucją Parlamentu Europejskiego.

Po objęciu władzy przez prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza doszło do sądowego podważenia przyznania tego tytułu tak Banderze, jak i Szuchewyczowi. Niestety, nastąpiło to na wniosek Postępowej Socjalistycznej Partii Ukrainy – ugrupowania radykalnie prorosyjskiego (jeden z jego przywódców porównał przed sądem posługiwanie się językiem ukraińskim



W listopadzie 2018 r. minie 100 lat od wybuchu polsko-ukraińskiej wojny o wschodnią Galicję. Na cmentarzu Łyczakowskim groby Polaków poległych w walkach o Lwów (zdjęcie powyżej)...

do... obozu koncentracyjnego). W procesach tych wzięli udział przedstawiciele polskich organizacji kresowych. Sprawa przeszła w Polsce właściwie bez echa, ale na Ukrainie pogłębiła niechęć do Kresowian, utrudniła dalszą rozmowę.

W tymże 2010 r. Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów zorganizowało na Ukrainie objazdową wystawę, zatytułowaną „Rzeź Wołyńska. Polskie i żydowskie ofiary OUN-UPA”. Pomysł był sensowny, wykonanie dyletanckie, ale partner chyba najgorszy z możliwych: stowarzyszenie Rosyjskojęzyczna Ukraina, czyli ekspozytura *russkiego mira* na Ukrainie. A mówiąc bardziej bezpośrednio: ekspozytura rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. To także zostało nad Dnieprem zapamiętane, przyczyniając się do kojarzenia polskich organizacji kresowych z polityką Kremla.

Wojna (doniecka) i pamięć

Przed 2013 r. na Ukrainie dojrzewała mądra, krytyczna refleksja nad ciemnymi kartami ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Patriotyczni intelektualiści młodego pokolenia dochodzili do uznania zbrodnicego wymiaru działalności UPA (choć nie do potępienia tej organizacji w ogóle). Powoli, z trudem. Ale ten proces dawał nadzieję na nowy wymiar pojednania.

Pół roku po obchodach 70. rocznicy Zbrodni Wołyńskiej przyszła Rewolu-

cja Godności, a po niej rosyjska agresja na Ukrainę i wojna w Donbasie. Wojna, która trwa i pozostawia niewiele miejsca na postawy liberalne, która żąda narracji bohaterskich, sprzyja postawom nacjonalistycznym i szowinistycznym. Zwłaszcza że towarzyszy jej ofensywa propagandowa Rosji – głosząca, że obrona niepodległości Ukrainy to przejaw już nie tylko nacjonalizmu, ale wręcz banderyzmu, neonazizmu itd.

Wojna zwarzyła także wcześniejsze, obiecujące tendencje w kontaktach polsko-ukraińskich. Wielu ukraińskich liberałów zamilkło. Inni zmienili zdanie, przyłączyli się do nowej retoryki. Także tej antypolskiej. Nad Dnieprem przeważała narracja, że konflikt z lat 40. XX w. był „drugą wojną polsko-ukraińską” (pierwsza to ta z lat 1918-19). Taki tytuł nosiła – wydana kilka lat wcześniej – książka historyka Wołodmyra Wjatrowycza (dostępna też w polskim przekładzie), który po obaleniu Janukowycza został szefem Ukraińskiego IPN i odtąd jest jednym z głównych kreatorów polityki historycznej państwa.

Zgodnie z tą narracją już w 1942 r. (a nie 1943) zaczęła się „wojna w wojnie” między polskim i ukraińskim podziemiem, w której obie strony, AK i UPA, popełniały zbrodnie na cywilach. Narracja ta kwestionuje ludobójczy zamiar UPA, odrzuca jako bezpodstawne polskie szacunki liczby ofiar, przerzuca ciężar ukraińskich (ale nie polskich!) zbrodni z formacji partyzanckich na



...sąsiadują z miejscem pamięci poległych wtedy żołnierzy Ukraińskiej Armii Galicyjskiej (kolumna w tle) oraz z kwaterą, gdzie spoczywają polegli w Donbasie (zdjęcie powyżej). Lipiec 2017 r.

WOJCIECH PIĘCIAK x 2

samorządne grupy chłopskie etc. To uznanie „wojennego” charakteru zbrodni na Polakach z Kresów uniemożliwia dialog z polską narracją o bezprzykładnym ludobójstwie UPA, będącym działaniem jednostronnym i niesprowokowanym.

Efekt tej dynamiki jest taki, że nieliczni dziś ukraińscy krytycy UPA oraz kultu Bandery są na ogół – jednocześnie – krytykami polskiej polityki historycznej.

Z kolei w Polsce pojawiły się głosy, że Ukraina nie jest nam potrzebna. A także, że całość naszych stosunków powinna zależeć od przyjęcia przez Kijów polskiego stanowiska w sprawach historycznych.

Od 2014 r. dochodziło do coraz liczniejszych incydentów, zawinionych przez obie strony. Nie będziemy ich tu omawiać, są znane. W końcu doszło do cofnięcia z granicy wysokiej rangi funkcjonariuszy państwa (prezydenta Przemysła Roberta Chomy przez stronę ukraińską – i sekretarza ukraińskiej komisji ds. upamiętnień Światosława Szeremety przez stronę polską) oraz do zakazu prowadzenia przez polski IPN prac ekshumacyjnych przy mogiłach Polaków na Ukrainie. Decyzji, która nie mogła być w Warszawie odebrana inaczej niż jako świadomie wymierzony policzek.

Niepokojąca synergia

Daleki jestem od sugerowania, że polscy narodowcy i nacjonaliści powtarzają swe antyukraińskie tezy za Moskwą, czy że są

przez nią manipulowani. Myśl Dmowskiego i jego kontynuatorów jest ważnym składnikiem polskiej tradycji politycznej – bez względu na to, czy podzielamy ją, czy nie. Ale także w naszym kraju działa rosyjska agentura i armia trolli/botów. A tezy współczesnych narodowców są często bliskie rosyjskim, współbrzmiają z nimi (np. o Ukrainie jako państwie upadłym czy dominującym w polityce państwa ukraińskiego „banderyzmie”).

Oczywiście – gdy dwóch mówi to samo, nie jest to samo. W Polsce przy niewielkim wysiłku umysłowym (którego nie lubimy, to rzecz inna) da się odróżnić polemistę od trolla, autentycznego polskiego narodowca od agenta służb informacyjnych Federacji Rosyjskiej. Ale z Kijowa czy Lwowa takie rozróżnienie jest praktycznie niemożliwe. A niezamierzona, ale realna synergia takich wypowiedzi sprawia, że Ukraińcy postrzegają swych polskich polemistów jako agenturę ich śmiertelnego (rzeczywiście śmiertelnego!) wroga. Tym bardziej że zwykle nie rozumieją retorycznej przesady, z jaką polska opozycja mówi o „dryfie Polski w kierunku Moskwy” etc. Traktują ją jako neutralny opis rzeczywistości.

W Polsce jest znacznie więcej ludzi (o różnych poglądach), którzy rozumieją sytuację Ukrainy oraz jej wewnętrzne dynamiki społeczne, polityczne i ideologiczne, niż na Ukrainie tych, którzy rozumieją współczesną Polskę. To jest nasza przewaga – i za-

razem problem Kijowa, który często nie liczy się z polskimi reakcjami na jakieś swoje działania dlatego, że nie rozumie, skąd one się biorą, jakie są ich konteksty i podteksty.

Z drugiej strony ta synergia ułatwia przyjmowanie przez polskich polemistów ujęć i tez rosyjskich – i może otwierać na wpływ rosyjskiej agentury, starającej się popychać dyskusje w odpowiadającym Rosji kierunku. A także radykalizować ich ton, hamować myślenie kategoriami pojednania, kompromisu, kopać coraz głębsze rowy (i to, dodajmy, nie tylko w dyskusjach o sprawach ukraińskich).

Dwie rocznice i nowy konflikt

Jeszcze kilka tygodni temu wydawało się, że w sferze relacji polsko-ukraińskich rok 2018 upłynie przede wszystkim pod znakiem setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę oraz setnej rocznicy najważniejszych wydarzeń z dziejów ukraińskiej walki o niepodległość. W tym setnej rocznicy wybuchu rzeczywistej wojny polsko-ukraińskiej: wojny o Lwów i Galicję Wschodnią z lat 1918-19. Orszak pod znakiem pytania, czy będziemy potrafili postępować w taki sposób, aby – obchodząc te rocznice – nie uczynić z nich kolejnego kroku wstecz w dialogu naszych narodów.

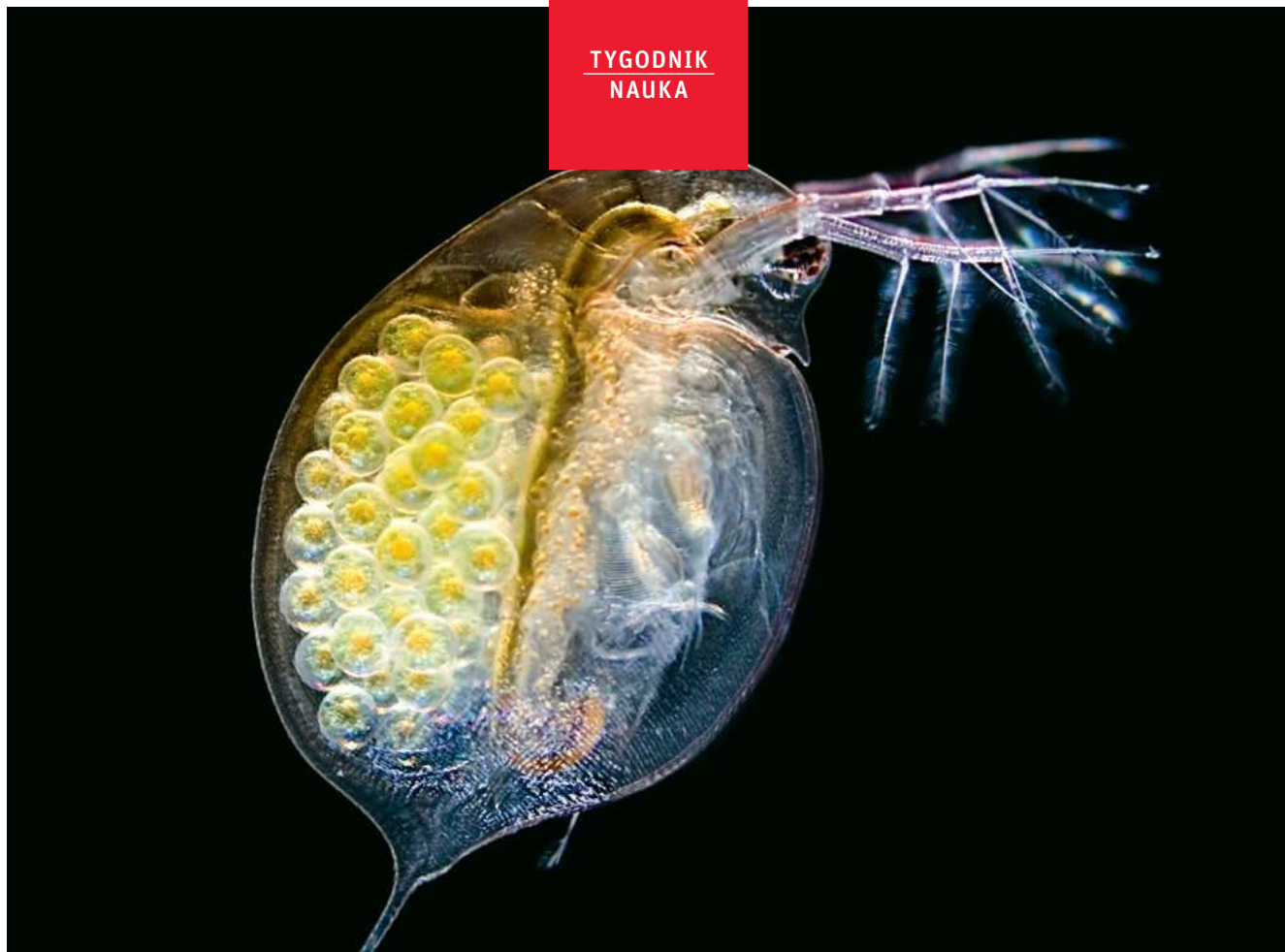
Wydawało się też, że przywódcy polityczni z obu krajów rozumieli, że zaszczyt za daleko. Choć ani jedni, ani drudzy nie wiedzieli, jak z tego wybrnąć bez utraty twarzy – oraz części elektoratu. W obu krajach rozpoczynają się już bowiem przygotowania do kolejnych wyborów, w których partie rządzące będą potrzebować głosów także nacjonalistycznej prawicy (każda swojej). I nawet jeśli będą chciały się cofnąć, to nie bardzo będą mogły. Radykalni nacjonaliści będą z tego korzystać.

Tymczasem dziś sytuacja wygląda tak, że w przededniu rocznicy Zbrodni Wołyńskiej i wojny o Lwów dotarliśmy jeśli nie do muru, to w jego okolicie. Sejm przyjął bowiem nowelizację ustawy o IPN, równającą zbrodnię UPA z nazistowskimi i grożącą karą także za ich negowanie [na temat głównego celu nowelizacji patrz materiały w tym numerze – red.]

Pierwsze reakcje z Kijowa sugerują, że oznacza to koniec dialogu polsko-ukraińskiego w sprawach historycznych. Niestety, może to okazać się prawdą. ©

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor (ur. 1950) jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpi. Autor książek „Historia Ukrainy w XX wieku”, „Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysiącleci”, „Czwierćwiecze niepodległej Ukrainy. Wymiary transformacji”.



ISTOCK / GETTY IMAGES

U rozwielitek partenogeneza jest po prostu stałą częścią ich cyklu życiowego.

GDY SAMIEC JEST ZBĘDNY

Menażeria organizmów stosujących dzieworództwo jest przebogata.
Czy to możliwe u ludzi?

SZYMON DROBNIAK

SEKS JEST NIE TYLKO POWSZECHNY – JEST wręcz wszechobecny! Wykorzystują go nawet nasi najdalsi, pierwotni kuzyni: bakterie. Seks bakteryjny oczywiście w niczym nie przypomina zwierzęcego czy roślinnego, polegającego na zapłodnieniu komórki jajowej, z której powstaje zarodek. Przede wszystkim – w jego wyniku nie tworzy się nowa, potomna bakteria. Bakteryjny seks prowadzi jednak do tego samego, co rozród płciowy zwierząt

i roślin: wymiany materiału genetycznego i jego rekombinacji, czyli powstania nowych wersji programu genetycznego osobnika, będących wypadkową genów dostarczanych przez osobniki/komórki rodzicielskie.

Ta wymiana informacji genetycznej i jej mieszanie się w komórkach powstających w wyniku rozrodu płciowego są uważane za jeden z podstawowych powodów powszechności i wszechdobryści sek-

su w świecie ożywionym. Tylko bowiem „miksowanie” informacji genetycznej może prowadzić do powstania nowych, wcześniej niespotykanych wersji informacji genetycznej.

A nowość jest w cenie! Każdy taki nowy wariant to nowe możliwości w radzeniu sobie z przeciwnościami biologicznego losu – np. zaskoczenie pasożyta czy drapieżnika nowym zestawem zdolności obronnych.

Korzyści płynące z ciągłego tasowania genów matek i ojców są prawdopodobnie ogromne. Rachunek jest prosty: organizm bezpłciowy w każdej chwili może wyprodukować swoją kopię (sklonować się), samodzielnie i bez udziału drugiego osobnika – podczas gdy amator seksu potrzebuje do tego zawsze „drugiej połówki”. „Bespłciowcy” szybko by zdominowali świat, gdyby dobór naturalny zwracał uwagę wyłącznie na liczbę produkowanego potomstwa.

Dzieworództwo u niedziewic

Ewolucja biologiczna dała początek pierwszym organizmom rozmnażającym się płciowo najpewniej ponad 1,2 mld lat temu. Preferencyjne wykorzystanie seksu odziedziczyliśmy w spadku po naszym bliżej nieokreślonym, jednokomórkowym prapraprzodku. Jak to zwykle bywa z dobrymi rozwiązaniami – sprawdzają się one zawsze, z wyjątkiem sytuacji, w których się nie sprawdzają. Seks był majstersztykiem – z czasem jednak niektórym zaczął ciążyć.

Partenogeneza, czyli dzieworództwo, (*parthenos* znaczy po grecku „dziewica”) bywa jedynym sensownym rozwiązaniem. Nie zawsze jest ona *stricte* produkcją potomstwa przez dziewicze samice. U niektórych organizmów partenogeneza może następować naprzemiennie ze zwykłym seksem – samice ją wykorzystujące niekoniecznie więc są „dziewice”. Dzieworództwo nie jest bowiem jednorodnym typem rozmnażania – jest to raczej grupa procesów, w których komórka jajowa daje początek nowemu osobnikowi bez konieczności łączenia się z męskim plemnikiem.

Sam fakt pominięcia plemnika, choć wydaje się trywialny, ma kilka dość poważnych konsekwencji, z którymi samice rozmnażające się partenogenetycznie muszą sobie poradzić. Najważniejsza jest tzw. ploidalność komórek – czyli to, ile zawierają one kopii każdego swojego genu. Ogromna większość organizmów żywych ma komórki diploidalne – zawierające dwie kopie każdego genu. Jest to prosta konsekwencja istnienia seksu: nowo powstały zarodek połowę swoich genów otrzymuje od ojca, a połowę od matki. Aby to było możliwe – plemniki i komórki jajowe powstają na drodze bardzo specyficznego procesu, tzw. mejozy. To rodzaj podziału komórki – tyle że w przeciwieństwie do zwykłego powielenia materiału genetycznego i wytworzenia kopii komórki, mejoza redukuje liczbę kopii każdego genu, pozostawiając w potomnych komórkach tylko jedną z dwóch kopii (plemniki i komórki jajowe są więc haploidalne). Nie musi

to jednak oznaczać, że samice wybierające partenogenezę produkują osobniki haploidalne (bo nieotrzymujące drugiej połowy swoich genów od ojca).

Mrówce półklony

W rzadkich przypadkach haploidalne jaja faktycznie rozwijają się w haploidalne osobniki – niosące tylko połowę genów swoich rodziców. Osobniki takie są więc połowicznymi klonami swoich matek. Najbardziej znanym przykładem takich „półklonów” są trutnie pszczoł miodnych i samce mrówek. Jedne i drugie powstają z niezapłodnionych jaj składanych przez królowe (jaja zapłodnione dają samice – nowe królowe lub robotnice). Jest to bardzo specyficzny przykład partenogenezy, umożliwiającej tym owadom socjalnym tworzenie kooperujących, złożonych społeczności. Biologiczną ironią losu jest to, że królowe tych gatunków potrzebują wyprodukowanych bezpłciowo samców, aby ci dostarczyli im plemników i tym samym pozwolili na produkcję samic-robotnic poprzez całkowicie normalne zapłodnienie.

W przypadku większości rozmnażających się partenogenetycznie samic produkcja potomstwa haploidalnego nie wchodzi w grę. Posiadanie jednego zestawu genów prowadzi najczęściej do nieprawidłowości rozwojowych i poważnego upośledzenia funkcji organizmu. Większość takich haploidalnych zarodków zwyczajnie przestaje się rozwijać i nie rodzi się albo nie wykluwa. W jaki zatem sposób samice radzą sobie z zapewnieniem potomstwu dwóch zestawów genów, produkując jednocześnie haploidalne jaja (pamiętajmy o mejozie!)?

Najprostszym rozwiązaniem jest oczywiście produkcja jaj... diploidalnych! Okazuje się, że komórka jajowa może powstać w sposób analogiczny do tego, w jaki powstają kopie wszystkich innych komórek organizmu. Nasze ciało w każdej sekundzie produkuje setki tysięcy kopii swoich komórek – czy to rosnąc, czy zastępując uszkodzone komórki lub gojąc zranienia. W takich „codziennych” podziałach komórkowych nie dochodzi do redukcji liczby kopii genów posiadanych przez komórkę – w końcu naszemu ciału zależy na skopiowaniu w pełni funkcjonalnej komórki, z całym zestawem posiadanych przez nią genów. Na podobnej zasadzie partenogenetyczne samice mogą produkować komórki przejmujące rolę komórek jajowych, tyle że już na samym początku posiadających komplet dwóch kopii swojego materiału genetycznego. Taka diploidalna komórka jajowa nie musi ulegać zapłod-

nieniu i po prostu zaczyna w pewnym momencie dzielić się, dając początek nowemu organizmowi.

Zmienne rozwielitki

Świetnym przykładem tego typu dzieworództwa są dafnie, czyli rozwielitki – mikroskopijne skorupiaki żyjące w jeziorach i kałużach na całym świecie. Przez większość roku rozwielitki urządzają sobie pełnoprawną „seksmisję” – ich populacje składają się wyłącznie z samic, a produkowane przez nie jaja są diploidalne i rozwijają się w nowe osobniki bez zapłodnienia. Strategia taka pozwala w trakcie sezonu wegetacyjnego, w stabilnych i przewidywalnych warunkach szybko i efektywnie wyprodukować setki tysięcy potomnych osobników, pomijając w tym procesie czasochłonne poszukiwanie partnera i zaloty. Naukowcy uwielbiają tę cechę dafni – w końcu tworząc swoje diploidalne jaja rozwielitka produkuje tysiące swoich klonów. Hodując oddzielnie pojedyncze rozwielitki możemy więc bardzo łatwo stworzyć w laboratorium genetycznie czyste linie, bardzo przydatne w wielu eksperymentach ekologicznych.

Przy czym rozwielitka utrzymuje swój wielotysięczny „babiniec” do czasu, gdy warunki środowiskowe zaczynają się drastycznie zmieniać. Kiedy zbliża się zima lub zajmowany przez rozwielitki zbiornik wodny wysycha, dafnia wraca do starego i sprawdzonego sposobu radzenia sobie z nieprzewidywalnym środowiskiem, czyli do seksu. Pod wpływem stresu niektóre produkowane partenogenetycznie dafnie rozwijają się w samce. Wytwarzane przez nie plemniki zapładniają jaja (tym razem haploidalne) samic, które jako tzw. jaja spoczynkowe opadają na dno zbiornika, chronione twarzą, odporną otoczką. W kolejnym sezonie, gdy wracają sprzyjające warunki środowiskowe, zimowe jaja wykluwają się i powstaje z nich nowa generacja czysto partenogenetycznych samic.

U rozwielitek partenogeneza jest po prostu stałą częścią ich cyklu życiowego. Ewolucyjnie świetnie poradziły sobie one z balansowaniem na granicy między seksem i bezpłciowością: gdy seks jest im potrzebny (bo rekombinacja i mieszanie genów pomagają walczyć z surowym środowiskiem), rozwielitki wskakują w tryb dwupłciowy. We wszystkich innych sytuacjach – czyli kiedy środowisko jest przewidywalne i łaskawe – nie rozdrabniają się one na subtelności seksualnego trybu życia i po prostu klonują swoje ciała, produkując miliony podsakujących w toni wodnej osobników.

→

Lekarstwo na pomyłkę ewolucji

→ Dzieworództwo u wielu innych gatunków jest znacznie bardziej efemeryczne niż u dafni.

Wiele stwierdzonych w dzikim środowisku czy też w hodowli przypadków dzieworództwa to tak naprawdę sytuacje wyjątkowe, traktowane raczej jako błędy mejozy prowadzące do powstania diploidalnych komórek jajowych. Taki status ma wiele obserwacji dzieworództwa u ryb (np. rekinów czy płaszczyk) oraz gadów (najbardziej znany przypadek to warany z Komodo, u których sporadycznie obserwuje się płodne i w pełni rozwinięte osobniki pochodzące z partenogenezy). Przypadki tego typu powstają najczęściej poprzez tzw. automiksję, czyli błąd mejozy polegający na zlaniu się w jedną komórkę powstających w czasie podziału mejozytycznych komórek potomnych. Prowadzi to do powstania nietypowej, diploidalnej komórki posiadającej wyłącznie materiał genetyczny matki.

Są jednak i organizmy, które w temacie partenogenezy poszły na całość i uczyniły z niej swój jedyny sposób na rozmnażanie. Co więcej, stało się to wielokrotnie w ewolucyjnej historii życia. Obligatoryjnie dzieworodnymi gatunkami jest m.in. wiele jaszczurek z rodzaju *Cnemidophorus* – m.in. gatunek będący oficjalną gadzią maskotką stanu Nowy Meksyk w USA. U jaszczurek tych nie występują samce, a samice produkują swoje potomstwo na drodze automiksji, czyli zlewania się komórek w czasie mejozy – co prowadzi do powstania diploidalnych jaj.

Co ciekawe, – mimo że jaszczurki te nie mają samców, angażują się one w przypominające zaloty zachowania, w których jedna samica przyjmuje rolę samicy, a druga zalecającego się do niej samca. Takie inscenizowane kojarzenia mają na celu stymulację układu hormonalnego samic składających jaja i wyraźnie polepszają ich płodność oraz kondycję powstającego potomstwa.

Badacze długo spierali się, jak powstał taki całkowicie żeński gatunek. Najprawdopodobniej doszło do tego, gdy dwa blisko spokrewnione ze sobą gatunki skrzyżowały się, dając początek jaszczurczemu mieszańcowi. Takie krzyżówki często mają problemy z tradycyjnym rozmnażaniem płciowym – przede wszystkim dlatego, że niekompatybilne zestawy chromosomów pochodzące od dwóch gatunków rodzicielskich mogą utrudniać mejozę i uniemożliwiać powstanie normalnych haploidalnych jaj i plemników. Rozwiązaniem w takiej sytuacji okazała się

U niektórych organizmów

partenogeneza może następować naprzemiennie ze zwykłym seksem – samice ją wykorzystujące niekoniecznie więc są „dziewicze”.

partenogeneza, eliminująca konieczność zapłodnienia. W tym przypadku dzieworództwo stało się więc lekarstwem na pomyłkę ewolucji i doprowadziło do powstania kilku nowych, całkowicie żeńskich gatunków.

Strategie wrotków

Znacznie ciekawsza jest obligatoryjna partenogeneza innych, mniej okazałych zwierząt – wrotków, będących mikroskopijnymi bezkręgowcami.

Po pierwsze, jest to jedna z najstarszych ewolucyjnie strategii tego typu – tzw. wrotki bdelloidalne rozmnażają się z udziałem wyłącznie samic przynajmniej od 25 milionów lat! Po drugie, wrotki znalazły bardzo ciekawe rozwiązanie problemu, z jakim na pewnym etapie muszą borykać się wszystkie partenogenetyczne organizmy: problemu zmienności genetycznej.

Jak pamiętamy, seks wyewoluował m.in. jako sposób na wprowadzanie do populacji dodatkowej (obok przypadkowych mutacji) zmienności genetycznej, wynikającej z mieszania rodzicielskich genów w nowe, niepowtarzalne kombinacje.

Organizmy całkowicie bezpłciowe nie mogą korzystać z tego rozwiązania. Bez możliwości wynajdywania nowych wariantów genetycznych odpornych na wcześniej nieznanne zagrożenia narażają się one na ryzyko wymarcia.

Próbując tego uniknąć, wrotki bdelloidalne wykształciły wyjątkową, znaną do tej pory jedynie u niektórych bakterii i wirusów, strategię – w razie potrzeby potrafią one pobrać DNA wchłaniane ze środowiska (np. z pożywieniem) i wbudować je we własny materiał genetyczny. Badania wskazują, że wrotki w swojej ewolucyjnej historii wiele razy korzystały z takiego podkradania genów innych organizmów, co pozwoliło im zachować swoją bezwzględną bezpłciowość, korzystając jednocześnie od czasu do czasu z możliwości wzbogacania swoich genów o nowe, użyteczne warianty.

Z partenogenezy uczyniły one niemalże sztukę, w pełni korzystając z szybkości rozmnażania bezpłciowego i jednocześnie nie rezygnując z drogocennej rekombinacji genetycznej.

Czy grozi nam „Seksmissja”

Menażeria organizmów stosujących partenogenezę jest przebogata – i pewnie wiele jeszcze gatunków stosujących taką strategię czeka na odkrycie. Co jednak ze ssakami? Czy nasi najbliżsi krewni mogą rozmnażać się partenogenetycznie? Czy my, ludzie, moglibyśmy, przynajmniej teoretycznie, produkować dzieci bez realnego udziału ojców? Najkrótsza odpowiedź brzmi: raczej nie.

Istnieją udokumentowane przypadki powstania partenogenetycznego potomstwa u królików, myszy czy małp – jednak zawsze były to, naturalne lub sztucznie wygenerowane, anomalie. Największym problemem u ssaków jest tzw. *imprinting* genów, czyli zjawisko inaktywacji pewnych konkretnych genów u ojca oraz u matki. Do prawidłowego rozwoju zarodek ssaka potrzebuje zarówno ojcowskiego, jak i matczynego zestawu genetycznego – tylko w ten sposób posiada komplet działających genów, łącznie z tymi, które u jednego z rodziców uległy imprintingowi. Naturalna partenogeneza jest więc u ludzi praktycznie niemożliwa. Nie oznacza to jednak, że jest zawsze wykluczona.

W 2006 r. amerykańscy naukowcy stworzyli, właśnie na drodze partenogenezy z niezapłodnionej ludzkiej komórki jajowej, ludzkie komórki macierzyste (czyli takie, które mogą rozwinąć się w dowolną wyspecjalizowaną komórkę ciała). Rok później okazało się, że południowokoreański biolog, Hwang Woo-suk, oskarżony w 2006 r. o naukowe oszustwo dotyczące klonowania ludzkich komórek macierzystych, nieświadomie już w 2004 r. stworzył partenogenetyczne komórki macierzyste z ludzkich komórek jajowych.

Chociaż „Seksmissja” nam nie grozi, dzieworództwo może tylnymi drzwiami wejść do nowoczesnej medycyny, dając potencjalnie niewyczerpane i bardzo wydajne źródło komórek macierzystych, będących jedną z nadziei medycyny regeneracyjnej przyszłości.

©

SZYMON DROBIAK

Autor jest doktorem biologii, pracownikiem Instytutu Nauk o Środowisku UJ i Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Sydney. Współzałożyciel Stowarzyszenia Rzeczniczy Nauki, współpracuje z „Tygodnikiem” i Centrum Kopernika.

Bakterie, wydawcy i miasta

ŁUKASZ ŁAMŻA

**Gdyby tylko naukowcy
dogadywali się z wydawcami
tak dobrze jak nasze limfocyty
z bakteriami skórnymi!**

NAJWIĘKSZY ŚWIATOWI WYDAWCY PRASY naukowej, jak Elsevier i Springer, cynicznie wykorzystują fakt, że uczelnie są skazane na korzystanie z ich usług – pisałem już zresztą o tym problemie. Kilka lat temu pracownicy biblioteki Uniwersytetu Harvarda ogłosili, że nie są już w stanie płacić 3,5 mln dolarów rocznie (!) za dostęp do prasy naukowej.

1 stycznia przedstawiciele 200 niemieckich uczelni odmówili przedłużenia umów z gigantem wydawniczym Elsevier. Naukowcy utracili tym samym formalnie dostęp do potężnej bazy literatury naukowej. Matematyk Günter Ziegler, który negocjuje z Elsevierem w imieniu niemieckiej Konferencji Rektorów, zauważa jednak, że konflikt opiera się na fikcji: naukowcy swobodnie wymieniają się artykułami między sobą, istnieje luka prawna pozwalająca na publikowanie w internecie wczesnych wersji tekstów (tzw. preprintów), różniących się czasem od docelowej tylko układem graficznym, a ponadto działają popularne serwisy oferujące nielegalny dostęp

do każdego praktycznie artykułu. Zainteresowani zgadzają się, że jedynym długofalowym rozwiązaniem problemu jest otwarty dostęp do artykułów naukowych. Trwający obecnie „strajk” niemieckich uniwersytetów to odważny krok w tym kierunku.

Polskie uczelnie jeszcze nie wypowiedziały wojny wydawcom, więc możemy przyjrzeć się samym wynikom badań. 18 stycznia w czasopiśmie „Cell” opublikowany został tekst (J. Linehan i in. „Non-classical Immunity Controls Microbiota...”) na temat tempa gojenia się ran u myszy w zależności od występowania na ich skórze populacji mikroorganizmów. Okazuje się, że zubożona w „zdrowe” bakterie skóra mysiego ucha goi się wolniej. Sprawdza się to poprzez precyzyjne mierzenie w regularnych odstępach, jak daleko w głąb uszkodzonej tkanki sięga „język” z keratynocytów – komórek będących załącznikiem nowej skóry. Wynik może dziwić – wszak zasadą numer jeden przy opatrywaniu ran jest ich solidne zdezynfekowanie. Pamiętajmy jednak, że rany zadawano sterylnym narzędziem, a myszy różniły się między sobą wyłącznie obecnością nieszkodliwych bakterii skórnych.

Nie wiadomo, skąd to szybsze gojenie. Może mieć związek z tym, że limfocyty T, pełniące istotną rolę w aktywności mysiego (i ludzkiego) układu odpornościowego, „podkraują” informacje od mikroorganizmów. Powierzchnia skóry jest dla bakterii ich środowiskiem naturalnym, tak więc wszelkie wieści o jej uszkodzeniu – w postaci najróżniejszych sygnałów chemicznych – rozchodzą się lotem błyskawicy. Niewykluczone, że nasz układ odpornościowy „podśłuchuje” tego typu komunikację.

Na koniec interesujące badanie z „Nature” (D. Weiss i in. „A Global Map of Travel Time To Cities...”) czasu, jaki zajmuje ludziom dotarcie do najbliższego miasta,

definiowanego prosto przez minimalną liczebność – 50 tys. – oraz gęstość zaludnienia. Jest to szczególnie ważne w kontekście starań ONZ, aby zmaksymalizować dostęp do opieki medycznej, edukacji (zwłaszcza wyższej), usług bankowych i finansowych oraz innych zasobów dostępnych głównie w miastach.

Świat podzielono na kratki o boku 1 km i dla każdej z nich zostało oszacowane średnie tempo przemieszczania się po danym obszarze. Globalna mapa dróg została zapożyczona z darmowej aplikacji Open Street Map, która działa analogicznie do Wikipedii: jest to mapa świata, którą każdy może edytować. Dane zapewniane przez tysiące wolontariuszy okazały się najlepsze. To kolejny dowód, że „uwolnienie” nie tylko samych danych, ale i możliwości ich tworzenia i korygowania, nie musi doprowadzić do katastrofy.

Podstawowe wyniki badania nie zaskakują. Przykładowo 81 proc. ludzkości albo mieszka w mieście, albo może dostać się do najbliższego w ciągu mniej niż godziny. W Polsce 100 proc. populacji ma dostęp do miasta w czasie poniżej dwóch godzin. Taki przynajmniej płynnie wniosek z przyjętej przez autorów metodologii, która nie bierze pod uwagę choćby korków.

Szczególnie interesująca jest populacja osób, które od miasta dzieli podróż trwająca 10 godzin lub więcej. O ile nie dziwi to w przypadku Mauretanii (30 proc. populacji) czy Mongolii (18 proc.), istnieje też grupka tego typu ludzi choćby w Stanach Zjednoczonych. Na mapie dołączonej do artykułu skala czasowa kończy się na wartości „powyżej 10 dni” – to dopiero pobudza wyobraźnię! Jak słusznie zauważają we wstępie autorzy, w dzisiejszych czasach wielu osobom łatwiej jest połączyć się z dowolnym posiadaczem telefonu komórkowego, choćby na drugim końcu świata, niż dostać do najbliższego miasta. ©



GETTY IMAGES

CZŁOWIEK, KTÓRY WIDZIAŁ ZA DUŻO

Ilekoć na europejską rzeczywistość pada ponury cień,
do polskich księgarni i teatrów wraca Thomas Bernhard.
Przypadek? Nie sądzę.

KAROL FRAN CZAK

Z NOWU BERNHARD...”, MAWIA KRYSZTIAN Lupa, a Krzysztof Varga kilka lat temu kasandrycznie przestrzegał: „Jeśli nie będziemy czytali Bernharda, wiek XX kiedyś do nas wróci, jeszcze bardziej spotworniały, niż go zapamiętaliśmy”. Mimo że od pierwszych spektakli Lupy, które wypromowały nad Wisłą austriackiego *enfant terrible*, minęło już ponad ćwierć wieku, nowego Bernharda ciągle się w Polsce publikuje i wystawia na scenie. Niedawno łódzki Teatr Jaracza pokazał „Plac Bohaterów”, a Sława Lisiecka przetłumaczyła właśnie dla Wydawnictwa Od Do dwie krótkie prozy wielkiego Austriaka: „Chodzenie” i „Amras”.

Morbus austriacus

Łódzkie przedstawienie oglądamy 30 lat po wiedeńskiej premierze, którą Bernhard przygotował z reżyserem Clausem Peymannem w 50. rocznicę Anschlusu Austrii i w stulecie narodowego Burgtheater. Kolejny raz rozbrajał tabu związku rodaków z ideologią nazizmu, opowiadał o wrogości do żydowskich współobywateli i piętnował mizerną kondycję moralną społeczeństwa. Odwaga tandemu Bernhard-Peymann szła w parze z przekonaniem, że sztuka, nawet jeśli jest finansowana przez państwo, powinna pozostawać

wobec tego państwa sceptyczna. Bernhard chciał pisać dla aktorów i przeciw publiczności. Niezrównanym mistrzem w zrozumieniu tej intencji był ulubiony aktor pisarza Bernhard Minetti, typowy *homo bernhardus*, którego część kariery przypadała na niechlubny okres wojny.

Histeryczne reakcje na wiedeńską premierę „Placu Bohaterów” dowodziły, że politycy i dziennikarze austriaccy z powodzeniem imitowali teatr pisarza. Dzisiejsza polska rzeczywistość wydaje się nieudolnie do tego nawiązywać. Pokazani niedawno w TVN lokalni fani Hitlera nie wiedzą zapewne, że bohaterowie Bernharda fetowali urodziny faszystów na długo zanim stało się to modne w lasach pod Wodzisławiem. I to w mniej groteskowej formie.

Nawet pamiętając o przestrodze Hannah Arendt, że zło jest zazwyczaj banalne, trudno nie dostrzec, że w Polsce mamy neonazistów na miarę naszych możliwości – ze swastyką z wafelków, podpałką do grilla oraz fonetycznym zapisem faszystowskiej pieśni. Nie znaczy to, że należy ich ignorować. Jednak Bernhard dużo bardziej od podziemnej skrajnej prawicy obawiał się problematycznych przekonań ukrytych za murami mieszczańskich domów, w tym ksenofobii i antysemityzmu elit. Ludzi, którzy sami siebie określają jako przyzwo-

itych i uczciwych obywateli. Takich jak budzący grozę prezes sądu i były oficer SS z „Przed odejściem w stan spoczynku” – innego „obrachunkowego” spektaklu Bernharda granego w łódzkim „Jaraczu”. Aby uczcić urodziny Himmlera, raz w roku zakłada on czarny mundur, a siostrę przebiegłą w obozowy pasiak. „Dobry z niego człowiek, wszyscy to mówią. Kto go zna, wie, że jest dobry” – opisuje brata druga siostra. Cała trójka wspólnie oplakuje „piękniejszą przeszłość”.

Sztuka przetrwania

Bernhard umiera kilkanaście tygodni po premierze „Placu Bohaterów”, 12 lutego 1989 r., i mimo niechęci znacznej części współrodaków szybko staje się dumną wizytówką austriackiej sztuki. Przed śmiercią jest u szczytu kariery i najwięcej czasu spędza w Wiedniu. Z Peymannem pracuje w Burgtheater, centrum Bernhardowskiej archeologii władzy, gdzie od środka rozszkabiają jeden z ostatnich symboli imperialnej władzy i dworskiego ceremoniału. Widuje się go w modnych kawiarniach – u Sachera, w hotelu Ambassador czy ulubionej Bräunerhof. Postacie z jego prozy dorosły, to już mężczyźni w średnim wieku, którzy

Thomas Bernhard, Salzburg, 1971 r.



→ podobnie jak Bernhard wiedzą, że ich czas jest ograniczony.

Zanim pod koniec życia dostąpi zaszczytów, Bernhard ciężko pracuje na swój sukces. Niejako na przekór swoim bohaterom – upadłym geniuszom w kryzysie twórczym, którzy często nie mogą przelać na papier tego, co mają w głowach – jest piszącą maszyną, która publikuje z żelazną regularnością. Zamawiane przez teatry sztuki zawsze są ukończone i oddane na czas. Kokieterystycznie twierdzi, że książki zaczął tworzyć z czystej przekory, niejako wbrew sobie, a także przeciw ulubionym autorom, od których był całkowicie uzależniony. Z podziwem czyta Musilę, Brocha, Czechowa, Kubina, ale też Pavese i Pounda. Nieprzecenioną inspiracją dla bohaterów skupionych na autoanalizie jest Paul Valéry i jego „Monsieur Teste”. Ale Bernhard nie lubi słowa „pisarz”. „Jestem kimś, kto pisze”, mówi.

Swoją warsztat wykuwa w salach szpitalnych górskich sanatoriów – już w młodości zmaga się z nieuleczalną chorobą płuc. Samotność i izolacja staną się znakiem rozpoznawczym wielu jego późniejszych tekstów. Ich bohaterowie uwięzieni są nie tylko w fizycznej przestrzeni – rodzinnych siedzibach, wieżach czy alpejskich zamkach – ale też we własnych głowach. Nie bez powodu niektórzy krytycy mówią o Bernhardowskim *Kopftheater* – „spektaklu własnego umysłu”, „tragicii świadomości”, „komedii intelektu”, dla których typowym motywem jest narrator uchwytany w akcie samoobserwacji lub aktor będący swoim własnym widzem.

Zamiłowanie do sztuczności rozbudza w Bernhardzie opera, klasyczny dramat i salzburski teatr marionetek. Już jako nastolatek bierze prywatne lekcje śpiewu, karierę tenora kończy jednak postępująca choroba. Różnicowanie i swego rodzaju trening we współczesnych sztukach zapewnia Bernhardowi w latach 50. praca krytyka w „Demokratischen Volksblatt”. W tym czasie pisuje sprawozdania ze słynnego festiwalu Salzburger Festspiele, recenzje filmowe, relacje z wystaw. Omawia nowe książki i studenckie produkcje Mozarteum, w którym sam niebawem podejmie naukę aktorstwa i reżyserii. Pisana dla tej samej gazety kronika kryminalna i anonimowe sprawozdania z sali sądowej wprowadzą go w świat dramatów, które toczą się poza teatralną sceną: przestępstw w okupowanym Salzburgu, ponurych warunków mieszkaniowych powojennych uchodźców i codziennych trosk zwykłego Austriaka.

Jako początkujący pisarz Bernhard ociera się w stolicy o autorów z Grupy Wiedeń-

skiej, bywa w lubianych przez artystów Café Raimund i Art Club. Jednak jako programowy samotnik tylko przelotnie zainteresowany jest awangardową sceną metropolii. Choć ówczesna bohema zachowuje estetyczny dystans do mainstreamu, to kariery literackie jej członków, odrzucających intratne posady prawnika lub architekta, możliwe są dzięki nagrodom, stypendiom i subsydiom skompromitowanego podczas wojny państwa. Bernhard piętnuje hipokryzję znajomych, atakując aspiracje oparte nie na zasługach, lecz sprytnych manewrach literackich oportunistów.

Jednocześnie sam wiele zawdzięcza protekcji i przyjaźni wpływowych mecenasów, w tym przede wszystkim Hedwig Stavianicek. Charakter tej relacji przez lata budzi niezdrowe zainteresowanie, generując liczne plotki i spekulacje. W młodości Bernhard przez kilka lat korzysta też ze wsparcia Gerharda Lampersberga, często bywając w Tonhof, znanej z otwartości dla artystów rezydencji kompozytora (Bernhard napisze także libretto do jednej z jego oper). Nie był to klasyczny układ patron-podopieczny. Bernhard i Lampersberg byli właściwie równoletkami, fascynacja była obopólna i wykraczała poza sprawy sztuki. Jeśli można wskazać tu jakąś asymetrię, to na pewno była to różnica majątku i statusu społecznego.

Kompleks pochodzenia

Przez całe życie Bernhard miał słabość do klasy wyższej i związków z potomkami europejskiej arystokracji. Urodzony poza Austrią i poza małżeństwem, latami dowodził swoich przyrodzonych praw i unieważniał status outsidera. Wysiłek dołączenia do elity i fascynacja austriacką socjetą walczyły w Bernhardzie z niechęcią, zaciekle krytyką i zamiłowaniem do ryzykownych towarzyskich gier. Wiele lat po spotkaniu Lampersberga Bernhard napisze „Wycinkę”, w której rozprawi się ze środowiskiem wiedeńskich intelektualistów i związanej z nimi cyganerii (w nowym stuleciu tekst na scenę Teatru Polskiego we Wrocławiu przeniesie Krystian Lupa). Kompozytor rozpozna się w powieściowym Auersbergerze – którego w książce Bernhard nazywa m.in. „wiecznie pijanym epigonem Webera” – i przy pomocy dziennikarza konserwatywnej „Die Presse” Hansa Haidera wytoczy Bernhardowi proces za złośliwe pomówienia. Pisarz zatriumfuje, kiedy objęta przez sąd zakazem dystrybucji „Wycinka” – z wkładką „Tę książkę skonfiskowano w Austrii” – stanie się bestsellerem w Niemczech, skąd

otoczona aurą środowiskowej satyry z powrotem trafi nad Dunaj.

Poza znanym kompozytorem „ofiarami” Bernharda stawały się inne prominentne figury austriackiego życia publicznego. W „Wycince” poza Lampersbergiem dokuczał znanej pisarce Jeannie Ebner. Z postacią jednego z tomów prozy autobiograficznej utożsamiał się biskup Salzburga. Duchowny rozpoznał się w przedstawionej jako wyjątkowo obrzydliwa postaci wuja głównego bohatera. W tej samej książce Bruno Kreisky (kanclerz w latach 1970-83) został scharakteryzowany jako „pensjonowany socjalista salonowy”. W innych utworach pisarz również nie oszczędził politykowi podobnie obelżywych inwektyw.

Nieuprawniona wyższość austriackich elit była dla Bernharda tylko kolejną formą prowincjonalizmu, do którego żywił przejętą od dziadka, pisarza Johanna Freumbichlera, głęboką antypatię. Atak na austriackie kołtuństwo ma podwójny sens. Z jednej strony Bernhard krytycznie przygląda się życiu wiejskich społeczności i ich pozornie bukolicznym cnotom, za którymi skrywa się parafialny stosunek do ojczyzny i związki z narodowym socjalizmem. Pozorna identyfikacja z przedstawicielami klasy ludowej kamufluje często protekcjonalizm, a „szary człowiek” – jak Höller w „Korekcie” – staje się obiektem studiów i myślowych eksperymentów. Z drugiej strony Bernhard obśmiewa pychę i nadęcie nobliwego establishmentu oraz nostalgię za sposobem życia habsburskich arystokratów. O ile w Polsce dopiero niedawno zaczęliśmy mierzyć się ze schedą po kulturze folwarku, o tyle Austriacy przez cały okres powojenny spierają się o „kompleks pochodzenia” – dziedzictwo imperialnego systemu klasowego, traumę marginalizacji po rozpadzie cesarstwa, problematyczną historię zarówno wielkości, jak i winy dawnego hegemonu.

Freudowski twist

Genealogia, cechy dziedziczne, wymieranie rodowej linii wydają się obsesją pisarza, a Austria i rodzina to u Bernharda często dwie strony tej samej monety. To, co odkrywają jego bohaterowie, to kultura, która ich stwarza, i którą oni z kolei współtworzą.

W „Amras” narrator studiuje biologię komórek i genetykę, a młodszy brat przeżywa po matce epilepsję. Uciążliwym dziedzictwem bywa – jak w „Chodzeniu” – choroba psychiczna, inny centralny motyw austriackiej kolektywnej wyobraźni. Przestrzeń tekstu to często rodzinne go-

spodarstwa, a geografia i pejzaż Bernhardowskiego świata zawarte są już w nazwach miejscowości: Altensam, Neuhaus, Wolfsegg, Kalkwerk... W centrum uwagi znajdują się przeważnie mężczyźni. Nie-szczęśli ojcowie projektują rozpad, wybierając na spadkobiercę kogoś, kto unicestwia przekazywane dalej dziedzictwo. Niepokorni synowie albo duszą się z braku intelektualnego życia, albo opuszczają dom i szans na rozwój szukają w kosmopolitycznych centrach daleko od Austrii: Oksfordzie, Cambridge czy Rzymie. Jak szanowany przez Bernharda Wittgenstein, rozdają lub trwonią spuściznę. Często wracają, bo nawet śmierć krewnych nie pozwala ostatecznie zerwać z rodziną – koturność pogrzebu na powrót umieszcza odszczepieńca w rodowym wyścigu pokoleń. Rewersem tej sytuacji jest niestety dramat ujarzmienia żon, córek i sióstr wrzuconych w piekło współbycia. Milcząca kobieta-ofiara sprowadzona zostaje do roli towarzyski tyranizującego i podszytego szaleństwem mężczyzny. Połączenie geniuszu, obłędu i kazirodczego pożądania powraca jak refren w stałym zestawie Bernhardowskich motywów.

Jako dojrzały artysta Bernhard zmagają się też z upiorami własnej rodziny. Egzorcyzmuje je w kilku tomach „Autobiografii”. Dziecięca odyseja między Heerlen w Holandii, Wiedniem i okolicami Salzburga dały Bernhardowi życiową lekcję oderwania od bliskich, szczególnie matki i ukochanego dziadka. Oboje umierają, kiedy przyszedł pisarz nie ma nawet 20 lat. Choć z przyrodnią siostrą i bratem do końca życia utrzymuje zżyły kontakt, to substytutem rodzinnych więzi stają się dla Bernharda często pary dobrych znajomych: Franz Josef i Christa Altenburgowie, Victor i Grete Hufnaglowie, Wieland i Erika Schmiedowie – tej ostatniej zawdzięczamy najbardziej znane fotografie Bernharda i jego domów.

Złośliwi twierdzili, że pisarz był „zastępczym mężem” dla żon swoich niektórych przyjaciół. Rzeczywistość jest prawdopodobnie mniej sensacyjna, niż chcieliby tropiciele brukowych skandali. Pisarz – wbrew łatce celebryty – z powodzeniem chronił bowiem swoją prywatność. Z życia intymnego uczynił tabu, kreując publiczny wizerunek osoby bezpłciowej i społecznej, zabarykadowanego na wsi mizantropa.

Wrocławskim obserwatorem mieszał szyki, tworząc literackie sobowtóry bezdzietnych kawalerów, którzy – jeśli nie popełnili samobójstwa – prowadzą nierówną walkę ze swoją śmiertelną chorobą. Ci zamknięci w szkatułkowych konstrukcjach

Z życia intymnego Bernhard uczynił tabu, kreując publiczny wizerunek osoby bezpłciowej i społecznej, zabarykadowanego na wsi mizantropa.

pozornie podobni do pisarza neurotycy mają obsesję na punkcie jednej idei, którą drążą aż do momentu, kiedy załamają się pod ciężarem poświęconego jej wysiłku.

Czy to komedia, czy to tragedia?

Postaci Bernharda mają coś z ożywionych manekinów, są wariacjami kilku modeli odbijanych na tej samej matrycy. Powtarzalność tematów i przywiązanie do nietypowej formy – choćby pedantycznych sygnałów przytoczenia – narażała pisarza na zarzut wtórności. Niektórzy krytycy traktowali go jak starego znajomego, który wciąż opisuje się swoimi dobrze znanymi sztuczkami.

Gdy spojrzeć na strategię Bernharda bardziej przychylnie, może się okazać, że cały jego dorobek to nieustanne „poprawianie tekstu”. Przypomina to intelektualny program powracającego u Bernharda w licznych odwołaniach Wittgensteina. W filmie „Drei Tage” Ferry’ego Radaxa z 1970 r., jednym z najczęściej cytowanych źródeł biograficznych o Bernhardzie, pisarz porównuje książkę do złośliwego guza, rozrastającej się rakowatej narośli. Kolejne warstwy tekstu nie służą opowiadaniu historii – tego Bernhard szczerze nie cierpiał – ale krytyce i rozwojowi własnych intelektualnych dociekań na każdym etapie procesu pisania. Program literacki Bernharda to zawiła sieć olśnień, ponawianych ustaleń i rewizji własnych myśli, powrót do porzuconych kiedyś wątków i przeformatowanie ram, w które można je ująć.

Przed kamerą Radaxa Bernhard mówi: „Jestem uważany za tzw. poważnego pisarza, podobnie jak Béla Bartók za poważnego kompozytora, a taka reputacja ciągnie się za człowiekiem... Jestem z tego absolutnie niezadowolony”. Własny dorobek ocenia z osobliwym poczuciem humoru – „Kalkwerk” nazywa „chłopską farsą”, „Dawnym mistrzem” daje podtytuł „komedia”. Choć jego książki postrzegano często jako zaproszenie do samobójstwa, z relacji znajomych wynika, że nie był przeciw ży-

ciu i nie miał obsesji końca, za to z powodzeniem obśmiewał chorobę. Kpił z czającej się za rogiem śmierci – podobno jedną z ulubionych zabaw, którą straszył i irytował znajomych, było udawanie martwego. Dwa światy, pomiędzy którymi tkwił Bernhard, to świat dyktatu okoliczności – głównie słabnącego oddechu – oraz rzeczywistość suwerennego projektu – witalności, woli przetrwania i radości życia.

Polskie doświadczenie teatralne pokazuje, że znalezienie innego klucza do odczytania Bernharda niż tonacja serio długo było bardzo trudne. Chyba dopiero „Wycinka” Krystiana Lupy (Teatr Polski we Wrocławiu, 2016 r.) w pełni ujawniła tragicomiczny potencjał tej literatury. Znamienne, że na polskich scenach ten błazeński wymiar odkrywają zwykle spektakle na temat teatru i samych artystów, jak często wystawiany „Komediant”. Losy tego tekstu pokazują, że wiele śmiałych spotkań innych polskich twórców z Bernhardem pozostaje w cieniu najbardziej docenianych przedstawień Lupy. Reżyser mocno osadził twórczość pisarza we własnym teatralnym świecie i odniósł sukces, uczłowieczając marionetkowe postaci, które przestały być nędznymi figurami zawieszonymi na nitkach języka, pamięci i kultury. Idąc po śladach pisarza, w „Kalkwerku” (Stary Teatr w Krakowie, 2004 r.) czy „Wymazywaniu” (Teatr Dramatyczny w Warszawie, 2001 r.), Lupa bada akt twórczy, zagłada do piekła wiecznego niespełnienia i nieustająco przekonuje, że „bełkot” Bernharda drąży coś ważnego.

W jednym z wywiadów Lupa przypomina jeszcze inną ważną lekcję tej literatury: „Bernhard wypowiada w pewnym momencie taką oto myśl, że rzeczywistość w tej chwili bardziej jest kształtowana przez nasze zaniedbania niż przez to, co robimy”. Nauka ta staje się szczególnie cenna w ostatnich dniach, kiedy niektóre zapisy nowej ustawy o IPN są „jak z Bernharda” – zapowiadają ściganie „kalających własne gniazdo” i zamykanie ust wszystkim, którzy głoszą niewygodną prawdę. A w tym, jak wiadomo, Austriak był niezrównanym mistrzem.

©

KAROL FRANCAK

Korzystałem z biografii Bernharda autorstwa Manfreda Mittermayera („Thomas Bernhard. Eine Biografie”, 2015) i Gitty Honegger („Thomas Bernhard. The Making of an Austrian”, 2012).

Thomas Bernhard **CHODZENIE. AMRAS**,
przeł. Sława Lisiecka, Wydawnictwo Od Do,
Łódź 2018

Doprawdy, nie wiem, co mu jest...

DARIUSZ KOŚIŃSKI

„Kordian” Juliusza Słowackiego to najgorzej przeczytane z najważniejszych polskich dzieł. Co gorsza: jeśli znalazło się wśród najważniejszych, to właśnie dlatego, że zostało tak źle przeczytane.

KORDIAN. SPISEK KORONACYJNY. Część pierwsza trylogii” to zaledwie trzeci, ukończony i ogłoszony dramat Juliusza Słowackiego – jednego z pięciu największych dramatopisarzy świata.

Posąg człowieka na posagu świata

Powtarzam to od lat jak Katon wyrok na Kartaginę – przy każdej okazji, ale ostatnio zacząłem dodawać, że z tej domniemanej piątki w zasadzie pewien jestem dwóch: Williama Shakespeare’a oczywiście i zupełnie nieoczywiście – Słowackiego. Różni ich wiele, przede wszystkim pozycja w świecie (włączając Polskę, gdzie Słowacki jest nieznany i wcale nie ceniony), wynikająca nie z różnic w jakości dzieła, ale z nieporównywalnej kulturowej siły rażenia języków: angielskiego i polskiego. Różni też oczywiście czas historyczny, styl, dynamika, giętkość języka i bujność wyobraźni.

W każdej z tych „konkurencji” Słowacki jest o niebo nowocześniejszy, co jednak – paradoksalnie – działa na jego szkodę. Nasza epoka woli wzdychać do utraconej mocy fabuły, wyrazistości konfliktów, woli charakterów i mistrzostwa retoryki, niż poddać się szaleństwu wyobraźni grającej na wielu rejestrach kulturowych naraz, tworzącej ludzi niejednoznacznych oraz rozgrywającej zapętlone w przypadki fabuły.

Zapał mnie unosi, a przecież od różnic ważniejsze są podobieństwa między Wilem a Julem – najgłówniejsze z nich zaś takie, że obaj są naprawdę rzadkimi mistrzami form dramatycznych, których sedno polega na oddawaniu głosu każdej postaci z osobna, tak by każda miała swoją rację, a żadna z tych racji nie wyjaśniała całości dramatu. Jego sens autor, aktor, reżyser i widz muszą znaleźć dla siebie, rozgrywając dramat po swojemu.

Globalnie uznanym arcydziełem tak rozumianego dramatu jest „Hamlet”, któ-

rego – jak wiadomo – nie da się wyjaśnić raz na zawsze. Arcydziełem lokalnym, polskim – właśnie „Kordian”. Otwarty, pozbawiony końcowych rozstrzygnięć, nieustannie przekreśla sam siebie do tego stopnia, że jego tytułowy bohater aż trzy razy wydaje się ginąć. Pełno w nim fragmentów słabo się uzasadniających w porządku tego, co wydaje się głównym tematem i najważniejszą linią akcji. Czytając go jako dzieło jednolite i usiłując nadać lekturze jednoznaczną spójność, nieodmiennie coś trzeba zamieść pod dywan. Arcydziałność po tym się właśnie poznaje: wypowiedzieć „Kordiana” w całości i w pełni można tylko wypowiadając „Kordiana”.

Myśli wielkiej trzeba z ziemi lub z błękitu

W dziejach polskiej kultury ważną rolę odegrał nie „Kordian”, ale chybiłoby wyobrażenie na jego temat. Pisany przeciwko Mickiewiczowi, już przez część współczesnych autorowi rodaków uznany został za dzieło Mickiewicza i od lat stawiany jest obok „Dziadów” jako drugi niekwestionowany przykład narodowego dramatu romantycznego. „Winkelriedyzm” uważa się za inne imię mesjanizmu, zaś podchorążego, który samotnie chciał zabić cara – za ideał bezkompromisowego zapaleńca. Wspomina się wprawdzie, że sił mu na wykonanie jego zamiaru nie starczyło, ale w niczym nie przeszkadza to interpretatorom i czytelnikom, którzy widzą w nim wcielenie etycznej bezkompromisowości. Jeśli tylko wyleczy się z egotyzmu i samotnictwa, zwiąże ze wspólnotą – osiągnie wielkie rzeczy, z ożywieniem i odbudową Polski na czele. Polska etyczna już bowiem w nim jest, tylko trzeba ją wydobyć i ukazać ludowi.

Czytam „Kordiana” zupełnie inaczej, jako dramat człowieka szukającego swojej drogi i nieznającego jej także w patriotycznym poświęceniu (tak: dla Kordiana

naród, Kościół i Wioletta są takimi samymi rozczarowaniami), ale to właśnie lektura podniosła i idealizująca postawę podchorążego-patrioty dominuje i decyduje o miejscu tego dramatu w polskiej kulturze. Dominuje też w teatrze, a różnice historyczne między kolejnymi odczytania-
mi da się sprowadzić do tego, że o ile dawniej (powiedzmy do 1939 r.) Kordiana przy aplauzie publiczności stawiano na piedestale jako prawdziwego (choć romantycznie nieskutecznego) patriotę czy rewolucjonistę, to po 1945 r. jego postawę coraz śmielej atakowano i wysmiewano.

Młodzieńcowi nie odmawiano wprawdzie szlachetności, ale negowano wybrany sposób i styl postępowania. Upraszczając, powiedziałbym, że w okresie kilkudziesięcioletnich już walk z tradycją romantyczną Kordian stał się ulubionym chłopcem do bicia tych, którzy chcą ją odrzucić jako ideę polityczną, jednocześnie pozostając pod wrażeniem jej etycznego ognia czy stopnia osobistego zaangażowania, jakie budzi.

Rozmnożyły się sfinksy

Nie inaczej jest w najnowszej scenicznej odpowiedzi na „Kordiana”, udzielonej w Teatrze Polskim w Poznaniu przez Jakuba Skrzywanka (reżyseria), Dariusza Kubiś (dramaturgia) i zespół zaproszonych



do współpracy aktorek i aktorów. Pięćoro z nich (w tym dwie kobiety) występuje jako Kordian, troje pozostałych wybrało inaczej: Alex Freiheit przyjęła żeńską formę imienia i działa na scenie jako Kordianka, Mariusz Adamski zdecydował się na określenie Nie-Kordian, zaś Sonia Roszczuk pojawia się jako Winkelried.

Imiona te nie są nazwami postaci czy ról, lecz określają stosunek aktorów do postaw, sposobów istnienia w świecie czy tematów, których wiązki tworzą dynamiczną całość opisywaną jako Kordian. Już zatem w samym punkcie wyjścia twórcy przedstawienia rezygnują z poszukiwania tak kiedyś (a i dziś przez niektórych) wysoko cenionej spójności i jednolitości postaci. Można w tej wielogłosowości Kordiana, rozpisanego na cały niemal zespół, widzieć jakąś strategię współczesnego teatru, ale w rzeczywistości jest to zabieg stuprocentowo zgodny z tekstem Słowackiego, w którym tożsamość Kordiana jest radykalnie niepewna. To bohater hiperdynamiczny, poszukujący sam siebie właśnie dlatego, że nie wybrał swojej społecznej roli, swojej persony. Więcej nawet: żadna z ról, jakie podsuwa mu świat, nie satysfakcjonuje go, nie daje spełnienia.

Rozpisując tę wielość postaci na zespół aktorski, twórcy w punkcie wyjścia ustawiają to, co wydaje mi się najważniejsze

– osobistą decyzję podejmowaną we własnym imieniu w odniesieniu do możliwości uruchamianych przez tytułową postać w trakcie jej wędrówki. Jak wynika z wypowiedzi twórców, odtwarzanych jeszcze przed początkiem przedstawienia, w pracy nad nim wiele zależało od decyzji aktorek i aktorów, rozstrzygających indywidualnie, jak chcą się odnieść do Kordiana i jego mitu. Dlatego traktowanie tego przedstawienia w kategoriach inscenizacji dramatu Słowackiego nie ma wiele sensu. Jednocześnie jest to teatralny „Kordian”, ale właśnie taki, jakim go widzą ci konkretni ludzie jako jednostki i jako grupa. To ich wybory decydują o kompozycji przedstawienia i o kształcie poszczególnych scen.

Dobrze pokazuje to pierwsza sekwencja, odnosząca się bezpośrednio do tekstu dramatu – rozmowa Laury i Kordiana. Nie patrz na siebie i niemal estradowo recytują kolejne kwestie zmontowane w dialog niekoniecznie miłosny, a na pewno pozbawiony namiętności. Te pojawiają się dopiero pod koniec, gdy w obliczu samobójczej decyzji Kordiana Laura, używając słów Księdza spowiadającego w akcie III bohatera skazanego na śmierć, odmawia swojej odpowiedzialności za jego nieszczęścia, zrywa wieloletnią projekcję czyniącą Laurę winną tego, że młody panicz wypalił sobie w głowę (puślując zresztą). Nie ma jej

zgody na obsadzenie w roli, w jaką wciskano ją od lat, i to jej decyzja staje się podstawą całej sceny. Kobięcy głos niezgody na podtrzymywane przez romantyzm mizoginistyczne schematy z całą stanowczością zabrzmi tuż przed zakończeniem w wystąpieniu Alex Freiheit – znanej w kręgach raczej dalekich od szacownych teatralnych scen jako feministyczno-punkowa wokalistka Siksa. Jej sceniczny performans protestu przeciwko wykorzystywaniu i seksualizacji kobiet, adresowany bezpośrednio do widzów, to z pewnością jeden z najmocniejszych punktów przedstawienia.

Nie da się go jednak sprowadzić wyłącznie do kobiecej reinterpretacji kordianicznej tradycji. Odpowiedzi Kordianowi udziela się tu z różnych pozycji i na różne tematy. Na przykład scena w Watykanie to okazja do rozegrania dwoistości stosunku do religii, zawieszonego między papieżem starym, łączonym z ledwo pamiętanym Janem Pawłem II (to jemu suflujący aktor podsuwa kwestie z tekstu Słowackiego, co wzmacnia wciąż prowokacyjną wymowę tej postaci), a młodym papieżem zacytowanym dosłownie z serialu Paola Sorrentino. Z pewnością będą widzowie, których taka i tak skomponowana opozycja oburzy, rzecz jednak w tym, że zestawienie tych dwóch natychmiast rozpoznawanych a radykalnie odmiennych obrazów stanowi inscenizację całkiem oczywistej diagnozy dotyczącej ram i sposobów współczesnego postrzegania Kościoła.

Nie będę z nimi

Jedna z najważniejszych kwestii, na które „Kordianowi” odpowiada ekipa Skrzywanka, pojawia się już na samym początku przedstawienia. Po długim oczekiwaniu na początek spektaklu, w przestrzeń sceniczną (scenografia i kostiumy Paula Grocholska), zabudowaną instalacją odwołującą do założenia poznańskiego placu Adama Mickiewicza (wraz z zamykającymi go słupami krzyży upamiętniających ofiary Czerwca '56), wychodzą wszyscy aktorzy we współczesnych strojach. Konrad Cichoń (jeden z Kordianów) zapowiada, że spektakl inicjuje obchody roku stulecia odzyskania niepodległości, a przed jego początkiem odczytany zostanie list od prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jest to pismo pełne typowych zdań o wielkości narodu, wyrazów czci dla jego bohaterów i nawoływań do wzmocnienia poczucia dumy, które zastąpić powinno pedagogikę wstydu. Z listu wynika, że jego autor (wątpię, by był nim prezydent) dawno nie czytał „Kordiana”, a z lekcji w liceum zapamiętał tyle, co większość Polaków – że to sztuka →

Alex Freiheit jako Kordianka, Teatr Polski, Poznań, styczeń 2018 r.



MAGDA HUECKEL / TEATR POLSKI

→ o bohaterach, walce i niepodległości. Jednak paradoksalnie ten list właśnie stanowi znakomite wprowadzenie do spektaklu, w którym pytania o niepodległość, naród i wielkość są traktowane zaskakująco poważnie.

Właśnie jako akt ustanawiania i wypowiadania swojej niepodległości deklaruje Siksa przejęcie bezkompromisowej postawy romantycznego bohatera i walkę z własnym carem, którym jest opowieść o gwałcie i powszechność wykorzystywania kobiet. Do takiej samej niepodległości nawołuje też widzów, przejmując w ten sposób pojęcie, któremu poświęcony ma być rok 2018, i czyniąc zeń synonim osobistej niezależności, rozumianej w duchu punkowo-anarchistycznym.

Jeśli Siksa performuje Kordiana przyszłości, to Kordiana przeszłości wprowadza na scenę chwilę wcześniej Wiesław Zanowicz, który grał już tę postać w Rzeszowie w roku 1978. Starszy od reszty obsady co najmniej o pokolenie, w opowieści o swojej skomplikowanej biografii, której częścią było podpisanie zgody na współpracę z SB, wprowadza do spektaklu ton rozliczenia z młodzieńczymi zapalami, zniszczonymi później przez podstępą niegodziwość świata wykorzystującego nasze błędy i słabości. Kordian przeszłości jest pełen goryczy, gdy wspomina uniesienia, jakie wywoływał w czasach tuż przed Solidarnościowym przełomem. Jeszcze go porywają przypominane słowa, jeszcze unosi się we wzniosłą deklamację, ale nie ma już sił, by bronić się przed szatańską argumentacją, że tylko wariat może mieć nadzieję na przezwyciężenie żelaznej logiki zła. To dopiero Siksa wykrzyczy jako swoją wiarę, że „każdy człowiek, który się za wolność poświęca, jest człowiekiem”.

A jednak w swoim buncie, w walce o swoją niepodległość Alex Freiheit pozostaje sama. Nie tylko dlatego, że publiczność skrupowana teatralnym konwenansem nie udzieli jej wsparcia. Przede wszystkim dlatego, że finał przedstawienia stanowi pogrzeb Kordiana, za którego trumną idą wszyscy aktorzy, łącznie z nią. Kondukt aktorów ubranych znów w codzienne stroje współczesne prowadzi Sonia Roszczuk, czyli Winkelried. Nie nosi już wprawdzie skóry białego niedźwiedzia, w której pojawiła się w finale zbiorowo recytowanego monologu na Mont Blanc. Jest ubrana w elegancką czerń. Ale to wciąż ta sama, mocno ambiwalentna upiorka zbiorowej ofiary. I to właśnie ona wypowiada

kończącą przedstawienie mowę pogrzebową, w której zbiorowe „my” deklaruje brak uznania dla wszystkiego, co wielkie, a nawet brak wszelkiego zainteresowania wielkością.

Najbardziej przeszkadza mi to „my”, które nagle zastępuje dominujące dotychczas mówienie w pierwszej osobie. Kim są owi „my”? W czym imieniu wygłaszana jest pogrzebowa oracja? Twórców przedstawienia? Taka odpowiedź byłaby najprostsza, choć to oznaczałoby przekreślenie wielogłosowości, która wydawała się budować ten spektakl. A może Winkelried mówi tu w imieniu pokolenia '89? To byłoby gorzej, bo nie tylko nie wydaje się, by twórcy mieli prawo reprezentować pokolenie, ale też właśnie w tej generacji wydaje się narastać skłonność do wielkich słów i narracji. To ta generacja maszeruje tysiącami swych przedstawicieli 11 listopada i to ona w swych pierwszych wyborach w życiu głosowała na polityków, którym wielkości wylewają się z ust nieustannie. Więc jeśli finałowa przemowa miałaby być deklaracją pokoleniową, to moim zdaniem byłaby fałszywa, jak wszystkie inteligenckie próby obsadzania samowyróżniającej się grupy w roli reprezentacji społeczeństwa.

A może jednak to, że deklaracja niezainteresowania wielkością pada z ust jedynie aktorki, która nie przybrała imienia Kordiana, pozwala potraktować ją zupełnie inaczej? Może to ani głos twórców, ani pokolenia, ale kolejny akt podstępnego przejęcia władzy przez Winkelrieda – twór szatański, który wychynął z ziemi, tej „ludów mogiły”, by opętać szukającego odpowiedzi młodego buntownika idącego przeciw światu? Nie wiem, czy takie były intencje, ale to, co wystawia się w ostatnim obrazie, wygląda przecież tak, że żywe Kordiany i Kordiani stoją nad pustą trumną, słuchając z ponurą miną mowy Winkelrieda.

20 lat od ogłoszenia rzekomej śmierci paradygmatu romantycznego ten obraz, i to właśnie czytany może wbrew zamiarom inscenizatorów, wydaje mi się bardzo trafny. Pogrobowe życie romantyzmu okazuje się wszak wyjątkowo bujne. Pomimo niekończących się pogrzebowych mów, Kordiany stoją na rodzinnych polach i najwyraźniej nie mają zamiaru zejść ze sceny. ©

DARIUSZ KOZIŃSKA

Juliusz Słowacki KORDIAN, reżyseria Jakub Skrzywanek, dramaturgia Daria Kubisiak, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 12 stycznia 2018 r.



Melizanda w krainie filistrów

DOROTA KOZIŃSKA

Katie Mitchell wyłożyła w Operze Narodowej kawę na ławę, solidnie i po mieszczańsku. Jej zdaniem wszystkie opery są o tym samym, czyli udręce kobiet w świecie patriarchy.

HISTORIA NIEOBECNOŚCI „PELEASA I MELIZANDY” na naszych scenach mogłaby posłużyć za kanwę osobnej opery o miłości niespełnionej. Wielbiciele arcydzieła Claude’a Debussy’ego (1862–1918) nie doczekali się przez sto lat ani jednej inscenizacji w Polsce. Na jubileusz prapremiery otrzymali produkt zastępczy na małej scenie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej:



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TW-ON

Karolina Sikora, Sophie Karthäuser, Magdalena Różańska i Laurent Alvaro w „Peleasie i Melizandzie”, Teatr Wielki – Opera Narodowa

wersję z dwoma fortepianami, dającą takie pojęcie o nowatorstwie partytury Debussy'ego jak tandetny oleodruk o Madonnie Sykstyńskiej Rafaela.

Na stulecie śmierci kompozytora dostaliśmy przedstawienie z Festiwalu w Aix-en-Provence, przygotowane w koprodukcji z warszawskim teatrem, ale we Francji grane w innej obsadzie, z innym dyrygentem, dopilnowane osobiście przez reżyserkę, która do TW-ON wysłała tylko asystenta.

Warto odnotować największy atut inscenizacji Katie Mitchell: porządnie przygotowaną stronę muzyczną. Orkiestra TW-ON, po wielu sezonach artystycznego bezkrólewia na przemian z rządami dyktatorów, od niedawna zbiera się pod batutą Grzegorza Nowaka, który wymógł na niej, żeby grała przynajmniej równo i czysto. W „Peleasie” za pulpitem stanął Patrick Fournillier, specjalista od opery francuskiej, który zdołał wyegzekwować interpretację nie tylko poprawną, lecz i stylową. Skompletowanie dobrej obsady wokalne w tym dziele graniczy z cudem: Debussy komponował je z myślą o nietypowych głosach i nietuzinkowych osobowościach wykonawców. Tym bardziej doceniam wyśmienitą kreację Bernarda Richtera (Peleas), choć jego tenor ma zbyt jasną barwę do tej roli; podziwiam muzykalność Sophie Karthäuser, choć partia Melizandy wymaga głębszego

sopranu; cieszę się ze świetnego występu Joanny Kędzior (Yniold) i nie będę narzekać, że dla pełnego efektu należałoby zatrudnić w tej roli sopran chłopięcy. Poza bezbarwnym Arkelem (Bertrand Duby) spektakl obył się bez wpadek obsadowych, muzyka – jak to u Debussy'ego – na przemian falowała, płynęła wartkim strumieniem i rozlewała się migotliwą taflą.

Tym bardziej zazdroścę melomanom, którzy mogli po prostu zamknąć oczy i śledzić narrację muzyczną w wyobraźni. Zarówno Maeterlinck, jak czerpiący inspirację z jego dramatu Debussy dołożyli wszelkich starań, by odrealnić tę opowieść. „Peleas i Melizanda” dzieją się wszędzie i nigdzie, w czasie baśniowym, w królestwie pełnym sekretów.

wGłówną postacią jest Golaud, osiłą narracji – daremne poszukiwanie „prawdy” o znajdzie z lasu. Niewinna, a przecież rozsądzająca wszelkie ramy miłość Peleasa i Melizandy doprowadzi do tragedii i zamknie kolejny cykl stworzenia. Kobieta znikąd umrze, ale odrodzi się w swojej córce – i wszystko się zacznie od nowa. Tylko to wynika z „Peleasa i Melizandy”. Reszta jest przerażającą tajemnicą, która nigdy nie będzie ujawniona.

Tymczasem Mitchell postanowiła wyłożyć ją kawa na ławę, solidnie i po mieszczańsku. Poszło tym łatwiej, że jej zda-

niem wszystkie opery – od „Alcyny” Händla po „Written on Skin” Benjamina – są o tym samym, czyli udręce kobiet w świecie patriarchy. Pewnie dlatego rozgrywa je zawsze tak samo: na kilku planach równocześnie, tworząc iluzję zamknięcia w klaustrofobicznym wnętrzu, przypominającym posiadłość rodziny z brytyjskiej klasy średniej. Narracja „Peleasa” pozornie odkleja się od rzeczywistości: w salonie wyrasta drzewo, Melizanda pojawia się w dwóch osobach, raz jest w ciąży, raz nie. Mitchell nie zawraca sobie głowy ani librettem, ani partyturą. Mnoży symbole wzięte skądinąd, lekceważąc symbole obecne w dziele: wodę, włosy, światło latarni, wpadające przez okno powietrze. Jej opera jest o Golaudzie brutalu, Melizandzie, której przeszkadzają uprawiać seks z Peleasem, maltretowanym Ynioldzie i obleśnym Arkelu. W finale banał przekracza granice absurdu: całość okazuje się nocnym koszmarem Melizandy.

Ciekawe, kiedy ze złego snu obudzą się rzekomi reformatorzy sztuki operowej. „Otwórzcie okno!” – powtórzę za bohaterką. Czas przewietrzyć ten duszny buduar. ©

Claude Debussy **PELEAS I MELIZANDA**,
reż. Katie Mitchell, Teatr Wielki – Opera
Narodowa w Warszawie, premiera
21 stycznia 2018 r.

Balzac tajnych służb

JAKUB MAJMUREK

Książki Johna le Carrégo ukazują napięcia zimnej wojny, zmierzchu Imperium, chaos współczesnego świata i zmęczenie szpiegów.

W SWOJEJ NAJNOWSZEJ POWIEŚCI, „Szpiegowskie dziedzictwo”, John le Carré (pseudonim Davida Cornwella) wraca do „Z przejmującego zimna” (1963), pierwszej książki, która przyniosła mu światowy sukces. Na przedstawione w niej wydarzenia patrzymy w „Szpiegowskim dziedzictwie” oczyma Petera Guillauma – trzecioplanowego bohatera powieści sprzed pół wieku. Guillam wielokrotnie pojawiał się w powieściach le Carrégo, jest uczniem i najwierniejszym towarzyszem George’a Smileya – czołowego szpiega uniwersum pisarza.

W nowej powieści Guillam jest wiekowy i zmęczony, pragnie spokojnie pobierać emeryturę, żyje na farmie w Bretanii z dala od szpiegowskiego rzemiosła. Nie bardzo zresztą wiadomo, komu miałyby dziś się przydać jego umiejętności – zimna wojna skończyła się dawno temu, jego strona wygrała. Jest to jednak gorzkie zwycięstwo. Zimnowojenny konflikt zostawił po sobie sieroty i kaleki, ofiary brutalnej gry toczonoj po obu stronach. Teraz przychodzi one upomnieć się o sprawiedliwość.

Skonfrontowany z ich cierpieniem Guillam zastanawia się, czy było warto robić wszystko to, co robił, by brytyjski wywiad wytrzymał konkurencję z Moskwą, Berlinem Wschodnim i innymi demoludami. Stawia sobie pytanie, czy gdyby Londyn uznał fakt zmierzchu własnej imperialnej potęgi i zostawił twardą, brudną grę z Sowietami „kuzynom” ze Stanów, rezultat zimnej wojny nie byłby z grubsza podobny? Czy Zachód by przegrał, gdyby on i jego koledzy zachowywali się w przeszłości mniej efektywnie, a bardziej przyzwoicie?

Anty-Bond

Klimat moralnej dwuznaczności i niepewności od początku był znakiem rozpoznawczym szpiegowskiej prozy le Carrégo. Pisarz sprawnie łączył sensacyjne intrygi z pytaniami o moralne koszty zimnej wojny. Dylematy te znał z pierwszej ręki. Przez kilka lat robił karierę w MI5 i MI6. Prowadził agentów na terenie Wielkiej Brytanii i zbierał informacje o tym, co dzie-

je się w Niemczech zachodnich, pracując pod przykrywką dyplomaty w brytyjskich placówkach w Bonn i Hamburgu. Ze służby odszedł po 1963 r. Sam podkreśla, że zajmował w niej bardzo poślednią pozycję, a to, co pisze o szpiegach, jest literacką fikcją, nie autobiografią.

Moralne zniuansowanie okazało się zupełną nowością w ramach gatunku. „Z przejmującego zimna” stoi na antypodach powieści Iana Fleminga i ich filmowych wersji, gdzie walka agenta 007 z Sowietami czy zagrażającą światu organizacją SPECTRE przedstawiana była jako narisowany grubą kreską pojedynek dobra ze złem.

U le Carrégo nie jest to takie proste. W „Z przejmującego zimna” brytyjski wywiad, by chronić swojego ulokowanego wysoko w Stasi agenta – zdemoralizowanego, sadystycznego dawnego nazistę – przyczynia się do śmierci trzech osób, w tym dwóch niewątpliwie prawych, ideowych komunistów żydowskiego pochodzenia. Le Carré w czasach zimnej wojny nigdy nie miał szczególnych komunistycznych sympatii – jako student w Oksfordzie współpracował z brytyjskim kontrwywiadem, donosząc o aktywności lewicowych grup na uczelni – jego bohaterowie przekonani są, że to raczej „ich strona” ma rację. W „Z przejmującego zimna” szlachetna brytyjska komunistka, Liz Gold, jest przerażona tym, co widzi za żelazną kurtyną – Niemcy wschodnie okazują się raczej wielkim obozem pracy niż rajem robotników. A przy tym Zachód – jak bardzo racja stałaby po jego stronie – posługuje się metodami, które muszą budzić zdumienie i wątpliwości u czytelników i bohaterów prozy pisarza.

Ci ostatni nie są supermanami w typie filmowego Bonda. Szpiegowskie rzemiosło jest u le Carrégo często żmudną, intelektualną pracą, przypominającą tę, jakiej podejmuje się historyk. W jego powieściach pełno jest scen, gdy bohaterowie długimi godzinami zagłębiają się w akta, dokumenty, protokoły z obserwacji i nagrania przesłuchań, szukając sprzeczności,

niejasności, punktów pozwalających podążać za prawdą ukrytą w labiryncie niejasnych zeznań.

Zdrada u zmierzchu Imperium

Szpieg ma jednak u le Carrégo także drugą twarz – zawodowego oszusta, ułudziela, który wykorzystuje swój urok osobisty, by skłonić innych do zdrady czy działania sprzecznego z ich własnym interesem. Zdrada i idąca za nią nieufność zatruwa świat Le Carrégo, rozkłada go od środka. W serii powieści o Smileyu brytyjski wywiad jest spenetrowany na kierowniczym poziomie przez pracującego dla Moskwy zdrajcę. Smiley demaskuje go w powieści „Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg” (1974) – odkrycie kreta nie jest jednak w stanie powstrzymać nieuniknionego zmierzchu znaczenia Wielkiej Brytanii w świecie i wewnętrznych chorób toczących jej instytucje.

Wątek kreta w najwyższych strukturach władzy nie jest wyłącznie literacką fikcją. W latach 30. XX w. radziecki wywiad skutecznie zrekrutował grupę studentów Cambridge, którzy zrobili później spektakularne kariery w brytyjskich służbach i nie tylko tam. Najbardziej znany z nich, Kim Philby, piął się w hierarchii brytyjskiego wywiadu, w pewnym momencie mówiło się o nim jako o przyszłym szefie MI6 – do momentu, gdy stało się jasne, dla kogo naprawdę pracuje. Philby uniknął jednak kary, uciekł do Związku Radzieckiego, gdzie otrzymał najwyższe odznaczenia i trafił na znaczki pocztowe. Inny ze szpiegów z Cambridge, Anthony Blunt, po pracy w MI5 w czasie II wojny został cenionym historykiem sztuki, specjalistą od włoskiego baroku, kustoszem kolekcji obrazów królowej. Za pracę na tym stanowisku otrzymał nawet szlachectwo. Odebrano mu je dopiero, gdy jego zdrada wyszła na jaw w czasach Thatcher.

Philby, Blunt i inni szpiedzy z Cambridge należeli co najmniej do klasy wyższej średniej, przed demaskacją chroniła ich klasowa solidarność kolegów, niezdolnych uwierzyć w kolejne dowody wskazujące na ich winę. Podobny mechanizm chroni zdrajcę z powieści le Carrégo. Pisarz, przyglądając się światowi brytyjskich służb, pisze także o brytyjskim systemie klasowym. W jego powieściach to klasy wyższe zawodzą, okazują się nadęte, prowincjonalnie pograżone w iluzjach na temat Imperium Brytyjskiego, które właśnie przestaje istnieć albo gotowe jest rzec się wszelkiej podmiotowości na rzecz Waszyngtonu.



Obie postawy opisuje kolejna po „Szpiegu” powieść z cyklu o Smileyu, „Jego uczniowska wysokość” (1977). Smiley odkrywa tam umieszczoną w Hongkongu, wymierzoną w komunistyczne Chiny operację Moskwy. Próbuje przejąć jej najcenniejszy zasób – ulokowanego wysoko w chińskich strukturach wojskowych agenta. Dawno już jednak minęły czasy, gdy Wielka Brytania była potęgą w Azji Wschodniej, Londyn nic nie może zrobić bez Amerykanów. Część nadzorujących pracę wywiadu urzędników żąda od Smileya, by od razu przekazał sprawę CIA, inna odmawia współpracy z „kuzynami”, w imię brytyjskiej suwerenności w Hongkongu. Ich przekonania na temat Imperium okazują się mrzonkami.

Co więcej, w kryzysie jest potęga nie tylko Zjednoczonego Królestwa, ale i całego Zachodu. Jeden z wątków powieści toczy się w oblężonym przez Czerwonych Khmerów Phnom Penh. Jedyne, co zachodnie demokracje są w stanie zrobić w sytuacji zbliżającego się zwycięstwa zbrodniczego reżimu, to wysłanie helikopterów do ewakuacji pracowników ich ambasad w kambodżańskiej stolicy.

W cieniu ojca

Stosunek pisarza do brytyjskiego systemu klasowego, jego instytucji i klasy wyższej nigdy nie był wyłącznie potępiający. Brytyjskie klasy wyższe tyleż odpychają, co uwodzą le Carrégo. Ma to być może swoje źródło w biografii pisarza, a konkretnie w postaci ojca – Ronalda Cornwella. Był zawodowym oszustem, przedsiębiorcą zaangażowanym w podejrzane interesy, polegające głównie na spekulacji, rolowaniu długów i wyciąganiu pieniędzy od naiwnych inwestorów. Dzieciństwo i młodość Johna to okresy życia na bardzo wysokiej stopie przeplatane wizytami wściekłych wierzycieli, egzekucjami komorniczymi, bankructwami, a nawet wyrokami więzienia dla ojca. Ronald podjeżdżał Bentleyem pod prywatną szkołę swoich synów, ofiarowywał drogie trunki dyrektorowi, a przy tym ciągle zalegał z czesnym. W efekcie, jak wspomina pisarz, jego rodzina żyła jednocześnie życiem „milionerów i biedaków”, należała zarówno do szanowanej wyższej klasy średniej, jak i podejrzanego półświatka.

Po każdej klęsce Ronald podnosił się jednak i zaczynał na nowo. Znajdował kolejnych bogatych i wpływowych przyjaciół, zawsze miał wokół siebie grono pięknych, młodych kobiet, które „przedstawiał” potencjalnym „kontrahentom”, oraz wiernych „dworzan”, gotowych dla niego →

→ klamać, oszukiwać, a nawet iść do więzienia za jego winy. Kariera Ronniego, łatwość, z jaką oszukiwał brytyjskie elity, pokazywała pisarzowi wszystko to, co było nie tak z brytyjskim społeczeństwem klasowym. A jednocześnie poszczególne wybory Davida Cornwella – ze służbą w wywiadzie i dyplomacji włącznie – można postrzegać jako ucieczkę przed podejrzanym światem ojca w pewność i uznanie, jakie dają tradycyjne, hierarchiczne, kontrolowane przez klasy wyższe instytucje.

Ojciec wraca w kolejnych postaciach złoczyńców w prozie pisarza. Najbardziej bezpośrednio Ronnie przedstawiony zostaje w autobiograficznym „Szpiegu doskonałym” (1986). Ronniemu nie umknęło to podobieństwo – groził synowi procesem, udobruchała go dopiero „darowizna” w wysokości kilkunastu tysięcy funtów. W bardziej literacko przetworzonej formie Ronald Cornwell wraca w pierwszej w pełni pozimnowojennej powieści, „Nocny menadżer”.

Głównym złoczyńcą jest tam Richard O. Roper – czarujący, doskonale ustosunkowany w brytyjskim establishmentie, pozbawiony skrupułów handlarz bronią. Korzystając z protekcji kolegów z rządu i pomocy bezwzględnie oddanych mu dworzan, Roper sprzedaje zachodnią broń najbardziej krwawym i skorumpowanym dyktatorom. Postać Ropera odżyła niedawno na telewizyjnym ekranie w świetnej roli Hugh Lauriego, w zrealizowanej przez BBC współczesniejszej (tłem jest arabska wiosna), serialowej adaptacji powieści.

Czas gniewu

Roper jest symbolem nowych czasów po rozpadzie ZSRR, gdzie dawną walkę dwóch ideologicznych bloków zastąpiły nagi cynizm i brutalna, pozbawiona skrupułów walka o własny interes. Le Carré okazał się błyskotliwym, pełnym pasji i gniewu kronikarzem tej rzeczywistości.

Jej portret odnaleźć można zwłaszcza w dwóch powieściach, „Wiernym ogrodniku” (2001) i „Pieśni misji” (2006). Obie osadzone są w Afryce. W pierwszej widzimy, jak korzystając z panującej w Kenii korupcji i cichej tolerancji zachodnich rządów wielkie koncerny farmaceutyczne trują mieszkańców kontynentu, dostarczając im przeterminowane leki i testując na nich swoje produkty. Druga toczy się w trakcie obserwowanej z punktu widzenia pochodzącego z Afryki brytyjskiego tłumacza tajnej konferencji, gdzie służby, bogaci przed-

siębiorcy i lokalni przywódcy dyskutują nad planami oderwania wschodnich części Konga i stworzenia z nich nowego państwa. Wszystko ma się odbywać pod szlachetnymi hasłami demokracji i praw człowieka, ale w rzeczywistości służy zapewnieniu korzystnych koncesji górniczych określonym grupom interesu.

Z wiekiem Le Carré staje się coraz bardziej politycznie radykalny, krytyczny wobec władzy korporacji, kultury chciwości, niekompetencji i zakłamania demokratycznych przywódców. Krytykował szczególnie ostro administrację Busha i kolejne brytyjskie rządy, zwłaszcza za ich wiernopoddaniczy stosunek do Waszyngtonu i odwracanie się od Europy. Świetnie władający niemieckim, zafascynowany niemiecką kulturą Le Carré stoi po stronie Brytanii uczestniczącej w europejskim projekcie. W „Szpiegowskim dziedzictwie” Smiley mówi, że jeśli walczył o coś w czasie zimnej wojny, to nie o kapitalizm, nie o Imperium, lecz o Europę. Brexit przekreśla i tę walkę pokolenia pisarza.

W czasie, gdy elity polityki i biznesu kompromitują się, zdaniem dużej części opinii publicznej, wojną w Iraku, torturami w Guantanamo, brexitem czy odpowiedzialnością na kryzys finansowy, ta silnie polemiczna, upolityczniona proza ciągle zajmuje miejsce na szczycie list bestsellerów. Sam Le Carré cieszy się zaś statusem żywego klasyka, poważnego pisarza, istotnego nie tylko w kategorii literatury gatunkowej – choć przez lata recenzenci protekcjonalnie zapewniali, że powieści autora „nie są oczywiście prawdziwą literaturą”.

Le Carré jest tymczasem twórcą o wielkiej kulturze literackiej, w swoich powieściach ciągle wraca do inspiracji literaturą niemiecką i Balzakiem. W wywiadzie z lat 60. mówił, że traktuje tajne służby jako „mikrokosmos brytyjskiego społeczeństwa, naszych społecznych postaw i próżności”. Tworzy isticie „balzowski” portret Wielkiej Brytanii ostatniego pół wieku. Jak zauważa biograf pisarza, Adam Sisman, widziana z dystansu proza pisarza układa się w wielki epicki fresk, przez sensacyjny gatunek ukazujący napięcia zimnej wojny, zmierzch Imperium i chaos świata po roku '89, z rozmachem i precyzją wyjątkową w wyśpiarskiej prozie. ©

JAKUB MAJMUREK

John le Carré **SZPIEGOWSKIE DZIEDZICTWO**, przeł. Jan Rybicki, Sonia Draga, Katowice 2018

Dzieci na śniegu

ANITA PIOTROWSKA

W jednym dziele zobaczymy apokaliptyczny rozmach, politykę i metafizykę, współczesną Rosję i cały świat.

ANDRIJ ZWIAGINCEW, POCZĄWSZY OD debiutanckiego „Powrotu” (2003), z powodzeniem łączy rozmaite skale. Twardy realizm niepostrzeżenie przechodzi u niego w biblijną przypowieść, społeczna satyra w filozoficzny traktat (patrz „Elena” czy „Lewiatan”), a każde niemal ujęcie w obiektywie Michaiła Kriczmana, z którym reżyser pracuje od samych początków, nabiera dodatkowego znaczenia. To dlatego oglądając filmy rosyjskiego reżysera już zawczasu wkładamy okulary zapraszające do innego wymiaru. Tak jest i tym razem, w przypadku nagrodzonego w Cannes i nominowanego właśnie do Oscara filmu „Niemiłość”, który niedawno wszedł do naszych kin.

Tytuł oznacza chorobę genetyczną, przenoszoną nieświadomie na kolejne pokolenia. Z powodu chronicznej niemiłości dwunastoletni Alosza któregoś dnia znika z domu. Czy jest to próba ukarania rodziców, zajętych utarczkami i romanсами na boku, czy może raczej kara zesłana „z góry”, nawołująca bohaterów do opamiętania się? Niechaj dla tych, którzy jeszcze nie widzieli filmu, pozostanie to do samego końca gorzką tajemnicą. Jedno wydaje się pewne: to z niemiłości, będącej także egoistycznie pojmowaną miłością, rodzą się niekochane dzieci. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć „zimny chów” uprawiany przez matkę Aloszy – ona też jest przecież dzieckiem niemiłości, o czym świadczą jej relacje z własną matką. Masza, ciężarna kochanka głównego bohatera, wygląda na jedyną, która rozpoznaje ten bezwzględny fatalizm. Rozdzierająca jest scena, w której słyszany za drzwiami mały Alosza słyszy, jak rodzice przerzucają się nim niczym kukłuczym jajem – nie pasuje on do nowego życia, które każde z nich chciałoby rozpocząć po rozwodzie.



AGAINST GRAVITY

Kadr z filmu „Niemilość”

WARTO ZOBACZYĆ W TV [10 – 16 II]

1. The Square



Komediodramat,
reż. Ruben Östlund,
Szwecja/Niemcy/
/Francja/Dania 2017,
Cineman VOD

Od 9 lutego w internetowej wypożyczalni filmów dostępny jest jeden z najlepszych europejskich tytułów minionego roku. Satyra na świat współczesnej sztuki to tylko pretekst, by opowiedzieć o sytuacji dzisiejszych elit, pozorujących społeczne zaangażowanie, a jednocześnie coraz bardziej oderwanych od realnych problemów.

2. „Alcione” wg Savalla



Opera, reż. TV François Roussillon,
Francja 2017,
Mezzo, 10 II, 20.30

Spektakl zarejestrowany na deskach paryskiej

Opéra-Comique jest adaptacją jednej z nielicznych oper w dorobku Marina Marais, napisanej w 1706 r. Jordi Savalla, od lat zafascynowany jego muzyką (wykonywał ją m.in. w filmie „Wszystkie poranki świata”), tym razem stanął za pulpitem, dyrygując grupą Le Concert des Nations.

3. Sonita



Dokumentalny, reż. Rokhsareh Ghaemmaghami, Iran/Niemcy/
/Szwajcaria 2015,
Canal+ Discovery,
11 II, 17.55

W wieku dziesięciu lat omal nie została wydana za mąż. Jako dziecko afgańskich uchodźców w Iranie nie mogła chodzić do szkoły. Mimo to bohaterka dokumentu postawiła na swoją największą pasję, czyli hip-hop. Dziś Sonita jest rozpoznawalną w świecie raperką, a film o niej otrzymał główną nagrodę na festiwalu w Sundance.

4. Odpowiednik



Serial, reż. Morten Tyldum, USA 2018,
HBO, 16 II, 20.10

J.K. Simmons w nowym dziesięcioodcinkowym serialu science fiction wciela się w postać szeregowego pracownika ONZ, który odkrywa, że jego agencja pracuje nad przejściem do rzeczywistości równoległej. Twórcą pierwszego odcinka jest pochodzący z Norwegii reżyser „Kumpli” i „Gry tajemnic”.

Tak jak w „Lewiatanie” przystawiał krzywe zwierciadło skorumpowanej rosyjskiej prowincji, tak w „Niemilości” Zwiagincew celuje bez pardonowo w moskiewską klasę średnią. Zenia prowadzi klinikę piękności, Borys pracuje w korporacji. Scenarzyści filmu kilkoma ruchami nakreślają portret rosyjskich „lemingów” – podłączonych non stop do smartfonów, zajętych spłacaniem i konsumowaniem kredytów, zobojętniałych na to, co dzieje się w kraju i na świecie. Gdzieś tam daleko płonie Donbas, ale „rodacy Puszkina i Putina” mają inne zmartwienia. Na przykład, jak rozwieść się z żoną, nie podpadając konserwatywnemu szefowi. Bogoozczyzniany koniunkturalizm, obyczajowa hipokryzja, feudalne zależności – to tylko niektóre z punktowanych w „Niemilości” elementów korporacyjnego folkloru. Zaginięcie Aloszy mogło być dla bohaterów wstrząsem, który wybudziłby ich z letargu codzienności. Tak przynajmniej życzyłby sobie widz spragniony finałowego *katharsis*.

Ale znajdziemy też u Zwiagincewa inną Rosję: prócz policji w poszukiwaniu chłopca włączają się oddolnie zorganizowane grupy wolontariuszy. W obliczu dysfunkcyjności państwa i rodziny to właśnie oni wykazują najwięcej energii, a na dodatek działają bezinteresownie. Po arcykrytycznym „Lewiatanie”, który ściągnął na reżysera gromy ze strony rosyjskiego ministerstwa kultury i sprawił, że „Niemilość” musiała być sfinansowana za pieniądze z zagranicy, Zwiagincew tym razem w przewrotny sposób ociepla wizerunek swojej ojczyzny, oddając sprawiedliwość tej garście aktywnych społecznie obywateli.

Lecz choć reżyser miewa czasem cięższą rękę do budowania politycznych metafor, o czym świadczą najdobitniej ostat-

nia scena filmu (ta z bieganiem w mieście po elektrycznej bieżni), jednocześnie potrafi się wzniesć ponad poziom doraźnych skojarzeń. We wspaniałym długim ujęciu, w którym kamera z wolna przenika przez okno i wychodzi na zewnątrz, by filmować saneczkujące na blokowisku dzieci, Zwiagincew sięga po potrójny cytat, czyli obraz „Myśliwi na śniegu” Pietera Bruegla przywołany ongiś w „Solaris” i w „Zwierciadle”. Kontynuuje w ten sposób stawiane przez Tarkowskiego „pytania o duszę” w odniesieniu do współczesności, nie tylko zresztą rosyjskiej. Zrzucony posowiecki hotel, który przeczesują w „Niemilości” poszukiwacze zaginionego chłopca, kojarzy się oczywiście z Żoną ze „Stalkera” – u Zwiagincewa to malownicze gruzowisko stało się tajną bazą dla emocjonalnych sierot. Jakby tego było mało, w filmie pojawia się także oznaczona dosłownie „zakazana strefa”, której bram dorośli bohaterowie nigdy nie przekroczą i nigdy nie odnajdą swojej Komnaty.

Zwiagincew od lat tworzy własną encyklopedię duszy rosyjskiej. Tym razem najwięcej miejsca zajmuje w niej uczucie złodowacenie i egzystencjalna próżnia, a katastroficznym prognozą i żarłocznym aspiracjom towarzyszy poczucie uwięzienia w zakłętym kręgu. „Niemilość” przemawia jednak najmocniej i najczyściej wtedy, gdy opowiada o tym wszystkim „po tarkowsku”, samym tylko pejzażem. Przyprószony śniegiem las na skraju osiedla żyje tutaj swoim życiem, pozostawiając wszystkich, szukających dla tej historii jakichś sensów i wyjaśnień, ze swą nieprzeniknioną tajemnicą. ©

NIEMIŁOŚĆ (Nielubow) – reż. Andriej Zwiagincew. Prod. Belgia/Francja/Niemcy/Rosja 2017. Dystryb. Against Gravity.

JAN

Klata:

Pójść do teatru (i wrócić)



SEZON TEATRALNY W PEŁNI, WIĘC MOŻE NIE będzie za późno podzielić się sposobami na udany wieczór w teatrze:

Przede wszystkim – trzeba się spóźnić! Nic nie robi tak dobrze na samopoczucie, jak mocne wejście do klimatycznie wyciemnionej już sali. Aktorzy coś mówią ze sceny, ale proszę sobie nie przeszkadzać (oni i tak są opłaceni z pieniędzy podatników), zażądać od obsługi widowni, żeby doprowadziła na należne miejsce, wyrzuciła „wejściówkowiczów” i posadziła nas tam, gdzie się należy. Po drodze koniecznie mocno się przepychać, najlepiej z plecakiem.

Pod żadnym pozorem nie wylączyć telefonu. Coś ważnego może się wydarzyć podczas spektaklu, a my nie zauważymy, i będzie głupio. Dobrze jest możliwie często sprawdzać media społecznościowe (ekran na maksa), albo chociaż co godzinę. Telefon oczywiście powinien początkowo tkwić możliwie głęboko, żeby

wszyscy docenili dowcipny dzwonek, zanim uda nam się odebrać. Po odebraniu trzeba konfidencjonalnie, acz zdecydowanie powiedzieć: „W teatrze”. A następnie: „Takie sobie”.

Nie zapominajmy, że spektakle są grane przeważnie w porze kolacji. Ponieważ regularne odżywianie to podstawa – weźmy ze sobą coś na osłodę, inaczej spadnie nam poziom cukru na „Orestei” i będzie tragedia. Cukierka lub czekoladkę należy rozpakowywać bardzo, ale to bardzo powoli – to musi potrwać. Papierek może nam następnie posłużyć do zabawy, jeśli nie wiemy, co robić z rękami. Aktorzy to docenią i będą grać szybciej, żeby szybciej wrócić do domu.

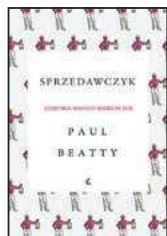
Jeśli jest się znanym i lubianym aktorem starszego pokolenia, pożądane jest możliwie częste artykułowanie głośnych, a dowcipnych uwag na temat gry młodszych kolegów, podupadającego scenicznego rzemiosła i generalnego zmierzchu cywilizacji białego człowieka. Dla wszystkich: koniecznie możliwie często, głęboko wzdychać. Czasem ziewnąć. Pielęgnować sprzeczności.

Najlepiej jest oczywiście mieć zdecydowane i ostatecznie nieodwołalne zdanie na temat teatru nie chodząc do teatru. I bardzo dobrze, w ten sposób na widowni jest mniej duszno.

P.S. Ludzie „z branży” to „zabie oczka” – nas obowiązuje więcej zasad zawodowych, których nie ujawnię, ale podstawową jest założenie, że to, co widzimy, po prostu nie mogło się udać – i rzeczywiście, jest tak, jak przewidywaliśmy. Po spektaklu należy pójść do kolegów/koleżanek i z wyrozumiałym (ale niezbyt szerokim, bo wtedy będzie szyderczo) uśmiechem na twarzy powiedzieć „Dziękuję, czegoś takiego w życiu nie widziałem”. ©

Lektor:

Powrót miasta Dickens



• Paul Beatty,
SPRZEDAWCZYK
tłum. Piotr Tarczyński,
Wydawnictwo Sonia Draga,
Warszawa 2018, ss. 336.

To jest książka śmieszna i straszna, znakomita i nieprawdopodobnie gęsta. Szalony monolog podkręconego marihuaną narratora, pełen surrealistycznych niemal obrazów, przynosi dojmująco realistyczny, choć świadomie przerysowany obraz świata.

CO TO ZA ŚWIAT? WSPÓŁCZESNA i dawna Ameryka widziana z perspektywy tak zwanej kwestii rasowej. Czarnoskóry narrator, Drops Ja, syn ekscentrycznego psychologa, który testował na nim swoje teorie, póki nie został zastrzelony przez policjanta podczas przypadkowej ulicznej sprzeczki, postanawia przywrócić do życia rodzinne miasto Dickens. „Dickens to miasto w południo-

wo-zachodniej części hrabstwa Los Angeles. Kiedyś było całkiem czarne, a teraz jest tam w pizdu Meksykanów. Choć niegdyś znano je jako światową stolicę morderstw, nie jest już tak chujowo, ale czeba być ostrożnym” – głosi anonimowy wpis w internetowej encyklopedii; niestety pewnego dnia zniknęło ono z mapy. Dodajmy, że powieściowe Dickens, kolebka gangsta rapu, jest

miejszem fikcyjnym, ma jednak swój pierwowzór, podobnie jak wiele fikcyjnych postaci, które pojawiają się na kartach „Sprzedawczyka”.

Narrator przyjmuje szczególną strategię: otóż drogą do odzyskania miasta okazuje się... przywrócenie segregacji rasowej, a nawet niewolnictwa. To ostatnie powraca w skromnym zakresie – jedynym niewolnikiem będzie stary Sorgo Jenkins, niegdyś dziecięcy aktor popularnego i cokolwiek rasistowskiego serialu. Działania „Sprzedawczyka” (bo to właśnie inna ksywa Dropsa) zaprowadzą go przed waszyngtoński Sąd Najwyższy i tam go poznamy, gdy paląc kolejnego jointa czeka na swoją rozprawę. Tyle wprowadzenia, bo tej książki opowiedzieć się nie da. Jest prowokacyjną satyrą wymierzoną we wszelkie stereotypy, włącznie z tymi, którymi próbuje się zamazać (zwykle w dobrej wierze) rzeczywiste problemy. Autoironiczną rozprawą z tożsamościowymi kłopo-

tami Afroamerykanów. No i fantastycznym kompendium wiedzy na temat wątku rasowego w politycznej i kulturowej historii Stanów Zjednoczonych. Tu czas na burzliwe okłaski dla tłumacza, Piotra Tarczyńskiego, który na nasze, czytelników, szczęście jest także amerykańistą. Nie tylko świetnie uporał się on z trudnym zadaniem, jakim było znalezienie polskiego odpowiednika dla nasyczonego slangiem, brawurowego stylu Dropsa, ale umożliwił nam odczytanie niezliczonych aluzji i odesłań, którymi jego monolog jest nasycony. Powieść z przypisami? Tym razem były one niezbędne, a są precyzyjne, rzeczowe i stanowią istotną pomoc w lekturze. Dzięki nim „Sprzedawczyk” – nagrodzony przed dwoma laty Bookerem jako pierwsza powieść amerykańska od czasu zmiany regulaminu, która dopuściła do tej nagrody autorów spoza Wielkiej Brytanii i Wspólnoty Brytyjskiej – ma i u nas wszelkie szanse na powodzenie. ©©

PAWEŁ

Bravo: Zdrowy pączek



STO MILIONÓW. TYLE PĄCZKÓW ZJADA SIĘ w Polsce w tłusty czwartek. Co do sztuki? Cóż, ścisłość w rachowaniu konieczna jest tylko, gdy chodzi o pieniądze – a i tu można śmiało założyć, że gdy Kazik żądał od Lecha Wałęsy zwrotu stu milionów, miał na myśli bezcenne nadzieje na lepsze życie, a nie konkretną sumę w słabej walucie.

Zmęczeni corocznym odbębnianiem rytualnego tematu żurnaliści zaokrąglają beztrószko jakąś liczbę wyciągniętą z pobieżnej lektury raportów z badań nad rynkiem, które same przecież operują naciąganą ekstrapolacją. Całą tę ich statystykę ma w małym palcu ekspedientka w cukierni na rogu. Taka nie potrzebuje Excela, żeby wiedzieć, że jutro sprzeda na oko sześć razy więcej pączków niż w poprzedni czwartek.

O ile oczywiście pracuje za tą ladą dłużej niż pół roku. Potrzeba korzystania z wyrafinowanych metod obserwacji oraz prognoz to uboczny skutek powolnego prucia się świata, gdzie wymiana dóbr i usług pociągała za sobą ustalone role oraz przynależną im znajomość rzeczy i niepisany kodeks zachowań. Kiedy wchodzę do jednej z piekarni i natykam się na panią, która ewidentnie pracuje tam od niedawna za karę i jest obrażona na sam fakt, że wszedłem do jej księstwa bez pukania, dopada mnie coś w rodzaju zdziwienia, jakbym trafił nie na ten spektakl, co trzeba. Przecież zapewnianie ludziom chleba winno napełniać dawcę rodzajem wewnętrznego ciepła. Tak jak od pani magister z apteki oczekuję zaciśniętych ust, ściszonego głosu i powagi przynależnej komuś, kto zarządza naszymi bólami.

Milion pączków w tę czy we w tę, na pewno zjemy ich w ten czwartek bardzo dużo. Czy za dużo? Na obszarze zakreślonym granicami tej strony panuje bezwzględna zasada niewtrącania się w to, ile kto czego zjada. Interesuje mnie raczej to, czy w ogóle istnieje coś takiego jak jeden zdrowy pączek w dzień, kiedy cukiernicy muszą ich wypieć kilka czy kilkanaście razy więcej niż zwykle?

Mieszkając przez 20 lat w sąsiedztwie cukierni, o nadejściu tłustego czwartku wiedziałem już od co najmniej wtorku, okolica pachniała intensywnie smażonym tłuszczem i rozgrzanym cukrem. Miałem powody, by wątpić w rzetelność tego przybytku – od kiedy się tam sprowadziłem, cała ulica, w ramach dobrosąsiedzkich powitań, ostrzegała mnie przed jego wątpliwej świeżości produktami. Ale nawet gdyby właściciel był aniołem uczciwości, to żadna ludzka siła nie pozwoliłaby mu zachować tej samej klasy przy wzmożonej produkcji w ten szczególny czas. Po prostu nie da się bez dodatków, sztuczek i sprytnych wybiegów.

„Śmierć jest w kotle, mężu Boży” – wołają uczniowie do Elizeusza, gdy ktoś do polewki dosypał „pnący dzikich kolokwint” (2 Krl 4, 39), które już w starożytności służyły jako środek oczyszczający. Cud Elizeusza polegał na tym, że dodawszy maki, uczynił strawę jadalną, ale scena ta zostaje w pamięci jako symbol i prefiguracja wszelkich lęków żywnościowych, jakie towarzyszą człowiekowi, od kiedy oddał karmienie w ręce obcych ludzi. Wpadł mi w ręce skan przepięknej książki opatrzonej tym mottem, dziełka wydanego w Londynie w 1820 r., będącego całkiem nowoczesnym w formie poradnikiem, jak sobie radzić z fałszowaną i podkręcaną chemicznie żywnością. Alun potasowy dodawany, by chleb był bielszy, witriol, czyli siarczan żelaza dla wzmocnienia piwnej piany, a także wyciąg z rybitrutki (!) indyjskiej dla pogłębienia smaku piwa, tetratlenek ołowiu – znany kiedyś jako mika, zanim nie zakazano używania jej do konserwacji metalu – dodawany jako barwnik do sera... czy wobec takich nazw zrobi na nas wrażenie wiadomość, że nawet połowa ówczesnej herbaty, jak twierdzi autor, składała się z suszonych liści tarniny? Tarnina zresztą była ulubienicą fałszerzy, wyciąg z jej owoców służył bowiem do pogłębiania barwy wina. Tak jest do dzisiaj, przyciemnianie wina (najczęściej koncentratem soku z winogron) to nadal najczęściej stosowana sztuczka w butelkach z masowego rynku, a lista innych dodatków dopuszczonych przez unijne przepisy przyprowadziłaby owego londyńskiego autora o palpitację.

Wkrótce po wydaniu książeczki – będącej natychmiastowym bestsellerem – musiał zaprzestać swoich badań i zwać z Anglii, ścigany przez pozwy ze strony zdemaskowanych fałszerzy i poprawiaczy. A może jednak była po ich stronie pewna racja? Jeden z nich w wywołanej publikacją dyskusji bronił się twierdząc, że skoro chleba ma być dużo i tanio, musi brać poślednią mąkę, z której nic nie wyrośnie, jak się nie doda tego i owego. Może więc warto, jeśli nie trzeba, poczekać z tym pączkiem do piątku? Chyba że w piątek sprzedają resztki z tego miliona...

©P



*Przełom karnawału i postu to dobry czas, by porozmawiać o nadziei i tęsknocie za zielenią. Jedyne naturalny jej przejaw, jaki przetrwał na targu czy w spiżarni, to kapusty, a zwłaszcza przepyszna **brukselka**. Pozostaje w tle jako nie całkiem szlachetne warzywo, tymczasem kilka lekkich zabiegów może z niej wydobyć książniczkę lutowych kolacji. Przede wszystkim nie wolno jej morderować w wodzie, krótkie 2-3 minutowe blanszowanie to tylko wstęp do tego, by przerzucić ją prosto*

*z wrzółki na patelnię z podgrzanym na paru łyżkach **oliwy** ząbkami **czosnku**, tam dalej dusimy pod przykryciem, podlewając niewielką ilością wody, w której się gotowała, kilkanaście minut, po czym na koniec posypujemy **wędzoną papryką** – albo, co ostatnio wymyśliłem, **bottargą**, czyli suszoną ikrą tuńczyka, i zostawiamy, aż się przegryzie. Równie dobrze wychodzi pieczona po przekrojeniu na pół – z tym że wtedy trzeba pamiętać, by naprawdę obficie ją polać oliwą. Kwadrans w 180 stopniach powinien wystarczyć – cały urok tej smakowitej kapustki tkwi w tym, że nie jest daniem dla bezzębnych.*

POCHWAŁA GŁUPOTY

Wiem, to wymaga wielkiej odwagi. Lepiej jednak byłoby nam wszystkim, gdyby chwalone i podziwiane było przyznanie się do niewiedzy i wycofanie się z własnych niepewnych poglądów.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

DZIŚ NARESZCIE BĘDZIE O CZYMŚ, NA CZYM NAPRAWDĘ SIĘ znam. O popełnianiu błędów, mówieniu o rzeczach, o których tak naprawdę niewiele wiem, i o trudnościach z przyznaniem się do tego.

Niestety, to nie tylko mój problem. Podziwiamy wytrwałość, szanujemy upór, cenimy tych, którzy nie zmienili zdania. Elastyczność nie jest cechą, którą cenimy u mądrych ludzi czy wielkich przywódców. Jeszcze gorzej jest z brakiem zdania na jakiś temat. Co to by był za celebryta, naukowiec albo polityk, który na każde pytanie odpowiadałby: „nie wiem”, „nie znam się”, „nie mam pojęcia”?

Można by wręcz powiedzieć, że wszyscy żyjemy w świecie zdominowanym przez opresywny system zmuszający nas do mądrości. Prawdziwej odwagi wymaga dziś bycie głupim. Warto się na nią zdobyć!

Prawdziwa dama zdania nie zmienia

Jest 10 października 1980 r. Wielka Brytania przechodzi kolejny już w krótkim czasie kryzys zaufania do instytucji publicznych. Członkowie rządzącej Partii Konserwatywnej drżą przed powtórką z niedawnej *Winter of Discontent*, kiedy to seria błędów politycznych, a także strajki, mrozy i społeczna wyobraźnia podsycana przez tabloidy doprowadziły do upadku laburzystowskiego rządu. Jeżeli jedna Zima Niezadowolenia mogła wynieść konserwatystów do władzy, to kolejna może ich równie łatwo obalić – rozumowano. W obliczu kryzysu wielu członków rządzącej partii, wspieranych przez szeroką publiczność, wzniosło na sztandary hasło „zawrócenia” (ang. *U-turn*) oraz liberalizacji dotychczasowej polityki cięć i konfrontacji ze związkami zawodowymi.

Wtedy właśnie na mównicę wychodzi Margaret Thatcher i wygłasza najsłynniejsze w swej politycznej karierze przemówienie. „Wszystkim tym, którzy z zapartym tchem czekają na ukochany przez media slogan o zawracaniu, mam do powiedzenia tylko jedno. Zawracajcie sobie, jeżeli chcecie. Dama nie zawraca” (*The lady's not for turning*).

Uwielbiamy takie historie. Niezłomność, upór czy konsekwencja umiejętnie powiązane ze szlachetnością (czy wręcz szlachectwem). To właśnie tego rodzaju momenty definiują po latach obraz wielkich politycznych przywódców. Aktywni politycy doskonale to wiedzą, chętnie więc demonstrują swoją niezłomność.

Ponad dwie dekady po słynnym przemówieniu Margaret Thatcher Tony Blair tłumaczył, że wyborcy nie wybaczą tchórzostwa, i przekonywał, że może jechać tylko w jedną stronę, bo „nie ma biegu wstecznego” (*I've not got a reverse gear*).

Politycy uwielbiają tego rodzaju metafory. Studia nad językiem polityków pozwalają ustalić repertuar charakterystyczny dla poszczególnych osób czy stronnictw.

Teresa Dobrzyńska, która przyglądała się językowi czasu przemiany ustrojowej, pokazywała na przykład, że Lech Wałęsa lubował się w metaforach dotyczących walki, ale też – podobnie jak przywoływani tu Thatcher czy Blair – do tych dotyczących podróży i kierowania pojazdami (rola maszynisty lub kierowcy). Uniwersalnym kodem, łączącym lewicę i prawicę, liberałów i konserwatystów okazują się często obrazy niezłomności, konsekwencji, często – co ciekawe – połączone właśnie z wizją podróży w ogóle czy wręcz konkretnie jazdy samochodem lub pociągiem.

Najciekawsze i najbardziej wartościowe w badaniach nad politycznymi metaforami wydawały mi się zawsze te fragmenty, które poświęcone były wprost technikom skutecznego ich rozbrajania. Jedną z nich jest konsekwentne rozwijanie użytej przez oponenta metafory. Przypadek Niezawracającej Damy i Premiera Bez Wstecznego aż się o taki zabieg dopomina.

Bo czy naprawdę chcielibyśmy podróżować z kierowcą, który nie potrafi zawracać? Czy wsiedlibyśmy do samochodu, który nie ma wstecznego biegu?

Nie odbieram politykom sprawczości. Politycy – i jest to jakąś miarą ich wielkości – kształtują metafory. Wykuwają sentencje, które przez dekady ugniatają zbiorową wyobraźnię. Ale jest też tak, że to metafory kształtują polityków. Zarówno bezpośred-



Andrzej Dudziński, z cyklu „Jerzy Pilch, Drugi dziennik albo autobiografia w sensie ścisłym” dla „Tygodnika Powszechnego”, 2013 r.

nio, w sposób przemysłany czy nieuświadomiany wpływają na język, w którym snują plany i komunikują się z wyborcami; jak i pośrednio – kształtując oczekiwania wyborców, do których politycy muszą się dostosować. Dlatego zawarte w języku (także obrazach, gestach) modele wyobraźni są równie ważne jak konkretne decyzje. A może nawet ważniejsze, bo są w stanie na lata wyznaczyć ramy debaty.

Cały ciężar podziwu przenieśliśmy na upór, konsekwencję, dążenie do celu. Samochody naszej wyobraźni pędzą, wyprzedzają, ale nigdy nie zawracają. Po co zmieniać kurs lub zwalniać, jeżeli obrona przez nas droga jest bez wątpienia słuszna?

Kant, Sokrates i teorie spiskowe

Od polityków przejdźmy do filozofów. Nie dlatego, żeby – dla odmiany – mieli być wolni od kultu konsekwencji ciężącego nad polityką. Wręcz odwrotnie. Wygląda na to, że przynajmniej jeden z nich wydatnie przyczynił się do rozwoju opresywnego systemu zmuszania do mądrości, w którym przyszło nam żyć.

„*Sapere aude*” – odważ się być mądrym. To (wyrwane z kontekstu) zdanie z Horacego zrobiło zawrotną karierę za sprawą Immanuela Kanta, który w dziele „Co to jest oświecenie” wychwalał zalety samodzielnego myślenia. „Miej odwagę posługiwać się własnym rozumem – pisał Kant. – Jeśli posiadam książkę, która zastępuje mi rozum, opiekuna duchowego, który zamiast mnie posiada sumienie, lekarza, który zamiast mnie ustala dietę, itd. – nie muszę sam o nic się troszczyć”. Istnieją więc jak gdyby dwie kasty ludzi, które czerpią korzyść z niedojrzałości. Ci, którzy żyją sobie dostatnio dzięki utrzymywaniu innych w stanie zależności, oraz tacy, którzy pozbyli się wszelkich trosk, obowiązek myślenia zrzucając na innych.

Intuicyjnie zapewne każdy z nas zgadza się z myślą Kanta. Oświecenie wytworzyło niezwykle silną „mitologię myślenia”, organizującą nasze życie, wpisując się przy tym w wielu aspektach w jeszcze starsze systemy wierzeń, związane choćby z mitologiami gnostyckimi i charakterystycznym dla nich poglądem, że wiedza ma moc wyzwolenia z niewoli. Samodzielność myśle-

nia w zasadzie zawsze uznajemy więc za coś godnego pochwały. I zwykle mamy rację.

Badania pokazują jednak, że samodzielne myślenie nie zawsze popłaca. Choć brzmi to niewiarygodnie, są sytuacje, w których głupota i niedojrzałość okazują się lepsze od mądrości i oświecenia.

Doskonale widać to na przykładzie teorii spiskowych czy ruchów związanych z tzw. „medycyną alternatywną”. Wpojona w toku edukacji znajomość podstawowych pojęć z zakresu fizyki czy biologii skłania zaskakująco wielu ludzi, wspartych Kantowską mitologią samodzielności, do podważania wszystkiego, co słyszą z ust lekarzy, klimatologów czy specjalistów od badania wypadków lotniczych. Dlaczego masz wierzyć jakimś ekspertom – przekonują niezliczone strony o spiskach i podręczniki poświęcone „ukrytym terapiom” – jeżeli możesz sam wszystko sprawdzić. Kantowskie wezwanie do odważnego, samodzielnego myślenia można by śmiało wydrukować na koszulkach wszelkich tropicieli spisków, zaraz obok „rząd kłamie”.

Alternatywne spojrzenie na kwestię indywidualnej mądrości proponuje inna legenda zachodniej filozofii – Sokrates we własnej osobie. W pewnym sensie mottem ojca założyciela głównego nurtu zachodniej filozofii mogłoby być: „odważ się być głupim”.

Kiedy Wyrocznia Delfijska ogłosiła, że nie ma nikogo mądrzejszego od niego, Sokrates zaczął obchodzić Ateny, rozmawiając z ludźmi uważanymi za mędrców. Każdy z nich okazywał się ostatecznie... głupi. Owszem, każdy z nich był, powiedzielibyśmy dzisiaj, ekspertem w swojej dziedzinie – polityce, rzemiośle czy poezji. Lecz z tego powodu wydawało im się, błędnie, że mają prawo, a nawet obowiązek wypowiadać się na każdym temat. Sokrates wcale nie uważa tych ludzi za mniej rozumnych od siebie! Twierdzi jedynie, że jego własną przewagą jest to, iż sam sobie nie przypisuje mądrości. Społeczna presja mądrości najbardziej uderza w tych, którzy naprawdę się na czymś znają. To oni wystawieni są na największą pokusę, by udawać, że znają się na wszystkim.

→

→ Od podstawówki wychowywani jesteśmy w świecie, w którym ceni się wiedzę i mądrość, nie pozostawiając semantycznej przestrzeni na opis niewiedzy i głupoty. Tymczasem smutna prawda jest taka, że wraz z postępem nauki i rozwojem specjalizacji coraz bardziej skazani jesteśmy na bycie ignorantami. Współczesny człowiek, choćby miał przed nazwiskiem całe mnóstwo stopni i tytułów, może mieć jako takie rozeznanie w jednej, bardzo wąskiej dziedzinie wiedzy.

Cała reszta rozległej ludzkiej wiedzy dostępna będzie dla niego tylko w sposób oparty na zaufaniu i przyznaniu się do własnej słabości i niemocy.

Dlatego tylko głupiec, który ma odwagę przyznać się do swej ignorancji, nie ryzykuje wpadnięcia w sidła pseudonauki. Bo pseudonaukowcy, tropiciele spisków czy cudowni uzdrowiciele usypiają naszą czujność właśnie przekonując, że jesteśmy tak mądrzy, że sami możemy wszystko rozstrzygnąć i dokonać wyboru, że musimy mieć zdanie na każdy temat, które wcale nie musi pokrywać się z opinią badacza, lekarza czy sądu.

W podobny sposób – wracając jeszcze na chwilę do polityki – można by zdefiniować populizm. Populista to polityk, który uwodzi wyborcę przekonując nie o swojej, lecz o jego mądrości: że na wszystkim zna się najlepiej, że nie potrzebuje żadnych ekspertów, że nigdy się nie myli. To podobieństwo nie jest przypadkowe. Wspaniały proces demokratyzacji wiedzy i nauki, którego negatywnym efektem ubocznym jest pseudonauka, jest przecież tylko częścią ogólniejszego trendu emancypacji i likwidowania (niektórych przynajmniej) społecznych nierówności. Dlatego właśnie tak ważne wydaje mi się stworzenie – w języku, którym się posługujemy, w strukturze instytucji publicznych, w kształcie mediów – pozytywnego klimatu dla bycia głupim i właściwego miejsca na głupotę. Jak pokazał już Sokrates, a współczesne badania nad populizmem i pseudonauką zdają się to potwierdzać – głupota wypierana, spychana na margines, ignorowana ma tendencję do strojenia się w szaty mądrości i wpychania się tam, gdzie wcale jej nie zapraszano.

Jak być głupim w sposób mądry?

Oczywiście nie chodzi o to, żeby po prostu być głupim, bo to żadna sztuka. Robimy to wszyscy przez 90 proc. czasu, nawet sobie tego nie uświadamiając. Chodzi o to, żeby być głupim mądrze, w sposób zorganizowany przez pewne procedury. Przepis na mądrą głupotę ma więc charakter zaleceń, które można stosować zarówno w działaniach indywidualnych, jak i wpisując, jako rodzaj procedur bezpieczeństwa, w reguły funkcjonowania instytucji – np. mediów, uniwersytetów, parlamentów – tak aby głupota znalazła w nich należne sobie miejsce. Oto on:

1. NIE NA KAŻDY TEMAT MUSZĘ MIEĆ ZDANIE

Walczy o prawo do nieposiadania zdania. Mądry człowiek wie, że poza domeną swej specjalizacji jest głupi. Szanujemy tych, którzy mają odwagę nie odpowiadać na zadane pytania, przyznawać się do niewiedzy i niezrozumienia skomplikowanych zagadnień. (Czego nie należy mylić z dumą z własnej ignorancji – ciekawość, otwartość, gotowość do zgłębiania nowych zagadnień są jak najbardziej do pogodzenia z mądrą głupotą!). Milczenie autorytetów – rodzinnych, lokalnych czy telewizyjnych – nie jest ich upadkiem, lecz świadectwem prawdziwej wartości. Otwarcie deklarowana niewiedza w 99 kwestiach powinna tyl-

**Wraz z postępem nauki
i rozwojem specjalizacji
coraz bardziej skazani
jesteśmy na bycie
ignorantami.
To smutna prawda.**

ko wzmacniać nasze zaufanie do eksperta, który wypowiedział się w jednej.

Prawo do nieposiadania zdania dotyczy w szczególności tych, którzy poddani są największej presji czy pokusie bycia autorytetem. Czasem trudno odmówić komentara. Współczesny system medialny buduje iluzję mądrości, która mami nie tylko widzów, ale też zapraszanych do studia czy na łamy gości. Wiem z praktyki.

Nie nadążam za współczesnymi serialami i niewiele o nich wiem. Po tym, jak na tych łamach napisałem tekst o „Młodym papieżu” Paola Sorrentino, w ciągu kilku dni zaproszono mnie do rozmowy o serialach w radiu, potem w telewizji, dzwoniłono z prośbą o komentarze. Za każdym razem temat był formułowany nieco bardziej ogólnie, a ja mogłem opowiadać w zasadzie cokolwiek, bazując na autorytecie, który wynikał głównie z poprzednich wystąpień. Przerwałem ten dziwaczny ciąg, bo z przerażeniem odkryłem, że mnie samemu zaczęło się wydawać, iż mam pojęcie o serialach. Słuchając radia i telewizji, mam nieustannie wrażenie oglądania podobnego mechanizmu: „Przecież nie zaprosiliby mnie do telewizji, gdybym nie miał nic mądrego do powiedzenia”. Więc mówię.

2. JEŻELI NIE MAM ZDANIA, TO NIE ZNACZY, ŻE NIE WIADOMO, JAK JEST

Nie mieć zdania też trzeba umieć. Jeżeli już naprawdę nie mamy pojęcia, co na jakiś temat sądzić, to chętnie ulegamy pokusie, by uznać, że pewnie nikt nie wie. Tymczasem przyznanie się do własnej głupoty ma sens tylko wobec uznania autorytetu innych. Choć poszukiwanie kompromisu i słuchanie „drugiej strony” to ważne wyznaczniki mądrej głupoty, prawda niekoniecznie leży pośrodku. Leży tam, gdzie leży – jak mawiał klasyk. Dlatego po deklaracji własnej niewiedzy zawsze warto zapytać o to, kto może wiedzieć. Poszukiwania wiedzy nie należy zastępować jakąś fałszywą próbą godzenia różnych stron.

„Szczepienia są potrzebne, ale nie lekceważymy tych, którzy domagają się prawa do nieszczepienia. Postaramy się pogodzić te stanowiska – tłumaczyła kilka miesięcy temu Beata Szydło na antenie Radia Maryja. – Są rodzice, którzy mają przeświadczenie, że szczepionka może ich dziecku zaszkodzić, ale są tacy, którzy są przekonani, że szczepienie uchroni przed chorobą. Nie umiem tego ocenić pod względem merytorycznym, bo nie jestem lekarzem”.

To dobry przykład wypowiedzi, w której po przyznaniu własnej niewiedzy fałszywa symetria zastępuje poszukiwanie prawdy. Znacznie lepiej byłoby jednoznacznie powiedzieć: „Nie wiem, więc ufam tym, którzy wiedzą. Nie internetowym tropicielom przebranym za autorytety, tylko lekarzom, naukowcom, komisjom eksperckim”. I odesłać chociażby do (byłego już) ministra Konstantego Radziwiłła, który na pewno miał swoje wady, ale w kwestii szczepień pozostawał, o ile mi wiadomo, konsekwentny i merytoryczny.

3. NIE ZAWSZE MUSZĘ MIEĆ RACJĘ

Mądra głupota to przede wszystkim gotowość uznania, że to, co wydaje nam się słuszne i prawdziwe, wcale takie być nie musi. Że coś, co powiedzieliśmy lub napisaliśmy, może też nam samym po jakimś czasie wydać się nieprawdziwe. Powracamy tym samym do politycznej metafory „zawracania”.

Człowiek świadomy własnej głupoty mówi więc zawsze tak, jakby nie był pewny. Choć dla naszych uszu przyzwyczajonych do peanów na cześć niezłomności brzmi to jak herezja – mówi tak, by zawsze być gotowym zmienić zdanie i odwołać swoje słowa.

Co ciekawe, taki sposób myślenia i mówienia ma wiele nieoczekiwanych zalet. Sprawia na przykład, że chętniej wysłuchają nas ci, którzy się z nami nie zgadzają. Jest także ważnym narzędziem poznawczym, ułatwiającym zrozumienie tych, którzy myślą inaczej, i wymuszającym coraz rzadszą cnotę rzetelności.

Skończyłem niedawno świetną książkę Lawrence’a Wrighta „Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary”. Czytało się to jak doskonały kryminał, jak materiał na kolejny serialowy superprzebieg – z rosnącym niedowierzaniem i poczuciem, że to zbyt dziwne, straszne czy niewiarygodne, by mogło wydarzyć się naprawdę.

Można jednak mieć niemal pewność, że każde słowo napisane przez Wrighta ma doskonałe potwierdzenie w źródłach. Gdyby tak nie było, i autor, i wydawca spędziliby najbliższe 200 lat (i trzy wcielenia), spłacając odszkodowania dla Kościoła Scjentologii znanego z pozywania swych krytyków. W jednym z rozdziałów Wright opisuje nawet – niezwykle inspirujący – proces weryfikowania faktów w redakcji „New Yorkera”, w ramach którego grupa przedstawicieli czasopisma (wraz z profesjonalnymi fact checkerami) konfrontowała swoje opinie z przedstawicielami Kościoła Scjentologii.

Z tej historii wylania się ważna maksyma dla wszystkich, którzy chcą się przyznać do swej głupoty. „Pisz zawsze tak, jakby mieli cię czytać prawnicy Kościoła Scjentologii” – biorąc pod uwagę, że możesz się mylić, i że każda pomyłka może cię wiele kosztować. Podawaj źródła, pisz, skąd czerpiesz wiedzę, sprawdzaj trzy razy, staraj się rzetelnie przedstawić argumentację swoich oponentów. (Już po publikacji książki Wrighta Kościół Scjentologii opublikował w internecie listę ponad 200 twierdzeń z książki Wrighta, które uznaje za błędne).

4. LUDZIE, KTÓRYCH NIE LUBIĘ, TEŻ MIEWAJĄ DOBRE POMYSŁY

I jeszcze ostatnia sprawa, szczególnie istotna we współczesnej Polsce, ale też w wielu innych krajach (np. USA), gdzie badacze odnotowują postępującą polaryzację debaty publicznej. Nasza rzekoma mądrość ma bardzo często zakorzenienie plemienne. (W ogóle zbyt mało zastanawiamy się nad tym, że wiedza ma raczej charakter społeczny niż jednostkowy!)? Mamy tendencję do uznawania za prawdziwe tego, w co generalnie „się wierzy” w naszych kręgach, i odrzucania tego, w co „wierzą” oni.

Tymczasem słuszność w konkretnych kwestiach może być w bardzo zaskakujący sposób rozłożona po różnych stronach politycznej barykady. Mądra głupota zwraca się więc także przeciw „myśleniu pakietowemu”, które każe oceniać słuszność pomysłów głównie na podstawie tego, czy wysunął je ktoś z „naszych”.

©

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Andrzej Dudziński „Przynieś mi głowę malkontenta” z cyklu „Według Goyi”, 2012 r.



STANISŁAW

Mancewicz:

Rodeo



NIESTETY ZADANIEM NASZYM NIE JEST smucić, ale śmieszyć. I całe szczęście, zrobiło się bowiem tak strasznie, że aż śmiesznie. Weźmy przez chwilę na tapetę ludzi naszej prawicy. Bo się stęskniliśmy.

W tym stęsknieniu, w próbach przywołania teraz twarzy naszych licznych kolegów z prawicy, a to ze sprężystych lat młodych, a to z czasów mniej dawnych, pełnych już to opuchnięć i obwiśnień, przypomnieliśmy sobie, że słowo „polityka” wypowiedane było przez nich zawsze ze szczególnym namaszczeniem i niemal dramatyczną powagą. Pojawiało się to słowo często, zwłaszcza po grecku. Padały przy okazji nazwiska największych mężów mniemających ongiś w tej kwestii, a cytaty z dzieł kolosalnych leciały słuchaczom na głowy złotym deszczem. Bardzo to było wszystko pożywne, piękne i wyłącznie – jak się okazało – teoretyczne i wykute na blachę.

Prawica, konserwatyzm, zasady, prawo, państwo – zaiste człowiek się o tym nasłuchał i tym solidnie pożywił, jak mało kto. Jest coś niesłychanie komicznego w dzisiejszości, że oto na nazywanie tego, co dziś owi uprawiają bądź usprawiedliwiają, muszą sobie znaleźć inne określenie, bo niczego takiego jak „polityka” po prostu nie ma ani w ich wykonaniu, ani w ich kręgu. Czynności tamże uprawiane nie mieszczą się w żadnej definicji polityki, czy to tej najgłupszej, czy najsolidniejszej. Jak to zatem nazwać? Nie wiadomo, bo w historii polityki, przynajmniej tej nowożytnej, mamy z taką sytuacją do czynienia po raz pierwszy.

Krajem rządzą zatem ludzie, którzy nie rozumieją znaczenia tego słowa – nie że źle, nie że słabo, a w ogóle. W zwarciu z kra-

jami w polityków wyposażonymi, co od jakiegoś czasu oglądamy na żywo, a zwłaszcza widzieliśmy w ostatnim tygodniu, jedynym sposobem komunikowania staje się płaczliwość, egzaltacja i rzewność. Wszystko to sublimuje bez żadnego kłopotu w agresję, a najchętniej w antysemityzm. Emocję, o którą tu najłatwiej od zawsze. Każdy, kto przeżył w Polsce życie, wie o tym świetnie. Żadne czary, eufemizmy, żadna polerka, picowanie rzeczywistości, robienie wielkich oczu, żadne ochy ani achy, robienie smutnych miniek nie pomogą. Jest, jak jest. Warto to sobie uzmysłowić, że polska tzw. prawica nie pasuje do żadnej prawicy zachodniego świata. Pocieszenie, że gdzieś bywa podobnie, jest złudzeniem. Wobec zdarzeń ostatnich śmiało można zatem użyć określenia: samoubój. Co im pozostaje? Zabawiać nas tu, na miejscu, na modłę już tu parę razy uprawianą, dodajmy – z sukcesem.

Czy w tym wszystkim jest jeszcze coś śmiesznego? Jest. Pełna pielucha po reakcji Amerykanów. Ameryka tu, co jest zresztą specjalnością polskiego interpretowania rzeczywistości za oceanem, to zlepek wyobrażeń wziętych z filmów wojennych, musicali, komiksów i fotek wujciów z Ameryki, słowem są to najsolidniej skomponowane uogólnienia i uproszczenia z dodatkami własnych snów, marzeń i fantazmów. Nawet gdy Ameryką rządzi Trump, interpretacje te – jak widać – nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Obraz Ameryki i jej reakcje są wymyślane przed telewizorem Gospodarka, który o tym kraju wie akurat tyle, ile dowiedział się z transmisji zawodów rodeo – chłop w kapeluszu jedzie na byku, a byk go strząsa. Tak to mniej więcej wygląda w wersji skomplikowanej.

Magia i złudzenia. Instynkty i odruchy. Lęki i pogańskie zamawianie. Kompleksy i mocarstwowe rojenia. Papkin i Artemiza. Histerie, nieudolności i amatorszczyzna, sentymenty, ale tylko wobec siebie, egoizm, chytrych na szmal i irracjonalne pomysły, a wszystko to wyposażone w przemoc bądź w prokuratora na zawołanie. Do tego idzie niezdolność kojarzenia własnych czynów z konsekwencjami, choć za to ostatnie byśmy chyba jednak ręki nie dali. Fredro i Gombrowicz. Marzec w lutym. Jest z czego się pośmiać, gdy w tym wszystkim pada słowo „polityka”. Słowo, którego przeciecz już nie ma. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



DOŁĄCZ DO GRONA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!



Prenumerata wydania papierowego to:

- numer ponad 2 złote taniej niż w kiosku*
- egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej
- oferty lojalnościowe dla Prenumeratorów
- pewność otrzymania każdego wydania

Zapraszamy!



CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

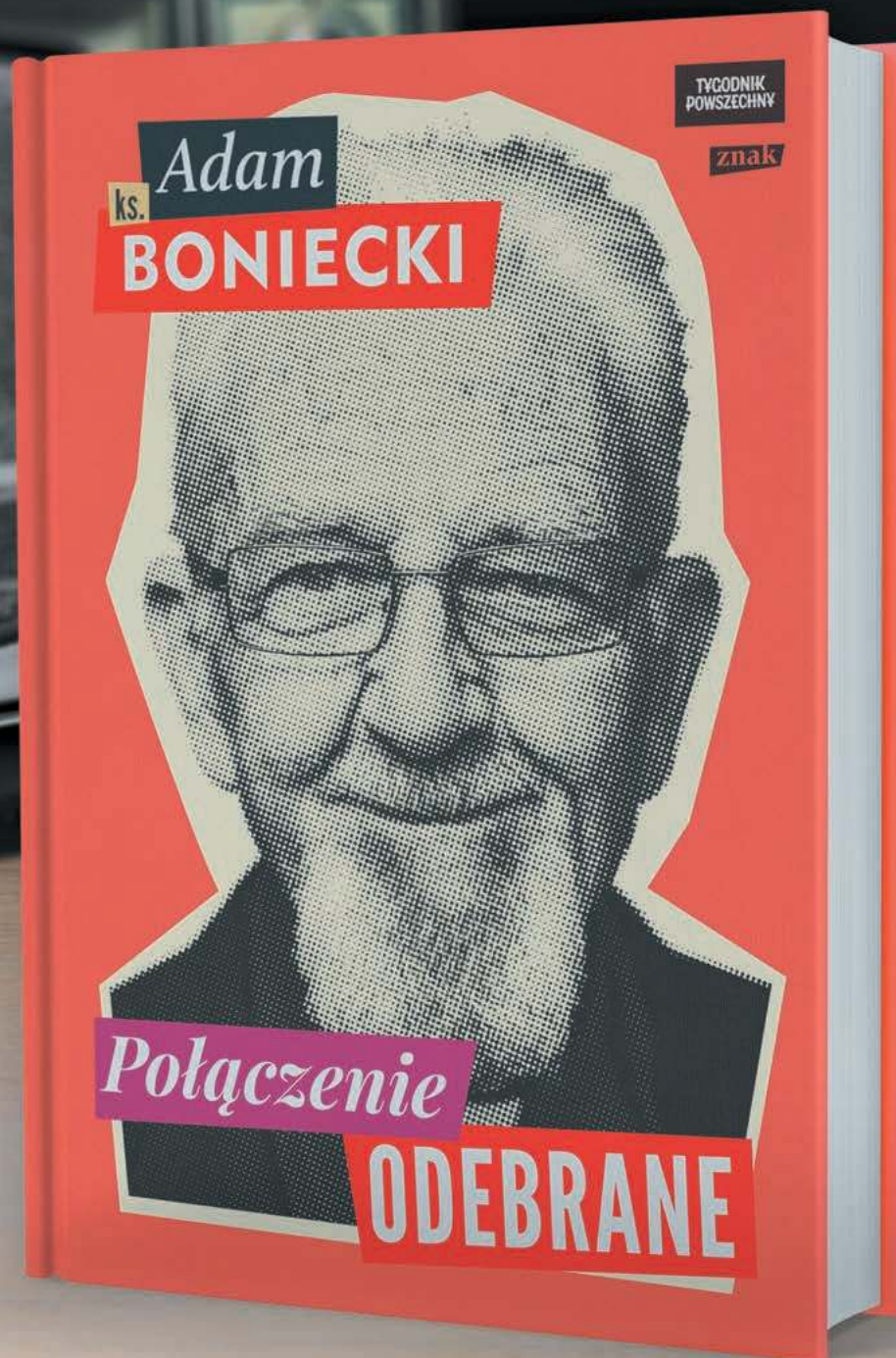
Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

* w rocznej prenumeracie ekonomicznej

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER
MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



Najważniejsze teksty ks. Bonieckiego

Szukaj w salonach **empik** i na **empik.com**